KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 2/100 Luty-Février 1956

INSTYTUT LITERACKI

Spis treści

[Simone Weil: Czy istnieje doktryna marksistowska? 5](#_Toc206229897)

[Aleksander Hertz: Robotnik, amerykański 24](#_Toc206229898)

[Paweł Hostowiec: Notatnik niespiesznego przechodnia 43](#_Toc206229899)

[Czesław Miłosz: Apollo Nałęcz Korzeniowski 53](#_Toc206229900)

[Rafał Malczewski: Wspomnienie o Ojcu 70](#_Toc206229901)

[Andrzej Bobkowski: Siódma 78](#_Toc206229902)

[Archiwum polityczne 85](#_Toc206229903)

[Londyńczyk: Kronika angielska 91](#_Toc206229904)

[Kronika kulturalna 97](#_Toc206229905)

[Londyńczyk: August Zamoyski 97](#_Toc206229906)

[Józef Czapski: Slavistica w Harvardzie 103](#_Toc206229907)

[“ Kultura” dla plastyków 108](#_Toc206229908)

[Kraj 109](#_Toc206229909)

[Jedzmy, nikt nie woła... 109](#_Toc206229910)

[P. H.: Z kraju milczenia 110](#_Toc206229911)

[Numer imprezy 1950 113](#_Toc206229912)

[Naukowe cwaniactwo 117](#_Toc206229913)

[Dwa końce kija 121](#_Toc206229914)

[Krajowe nowości wydawnicze 123](#_Toc206229915)

[Książki 125](#_Toc206229916)

[K. A. Jeleński: “Tristes Tropiques” 125](#_Toc206229917)

[Józef Łobodowski: Białe plamy na mapie 129](#_Toc206229918)

[Jean Guitton: “L’huile de la lampe” 141](#_Toc206229919)

[Listy do Redakcji 142](#_Toc206229920)

NAGRODA LITERACKA “KULTURY”

*Prace jury nad przyznaniem nagrody literackiej za rok* 1955 *dobiegają końca. Wynik będzie ogłoszony w numerze marcowym „Kultury".*

*Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę „Kultury"* 1956 *upływa* 31 *października br.*

NAGRODA MUZYCZNA “KULTURY”

*Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę mu­zyczną „Kultury" (warunki były ogłoszone w numerze* 10/96 z 1955 r.) *upływa* 1 *kwietnia* 1956.

DALSZE WPŁATY NA DOM “KULTURY”

J. Topolnicki, Montreal (Kanada) 1.500 fr.

Jan i Amelia Slastny, Kogarah, NSW (Australia) 2.200

M. W. K. (Australia) 3.750

Kazimierz Zamorski, Monachium (Niemcy) 1.000

T. Drymmer, Ottawa (Kanada) 350

Aleksander Grzonka, Caracas (Wenezuela) 7.000

Aleksander Kawałkowski, Paryż 5.000

1. Demciuch, Salisbury (Anglia) 1.000

Dr. Ewa Rajewska-Przesmycka, Fairford, n/Cirencester, Glos’

(Anglia) 1.000

Marian Kozielewski, Montreal (Kanada) 350

Stefania Kalużniacka, Detroit (USA) 750

Władysław Stefanik, Detroit, Mich. (USA) 1.750

Stanisław Fałda, Chicago, 111. (USA) 1.750

Kazimierz Marciniak, Kenosha, Wis. (USA) 1.500

Mieczysław Błaszkiewicz, Brooklyn, N.Y. (USA) (ponownie) 1.500 Marcin R. Wyczałkowski, Cheverly, Md. (USA) 3.500

Peter P. Yolles, Fort Tilden, N.Y. (USA) 3.500 ”

Inż. J. Lubański, Pine Grove, Calif. (USA) 2.100

M. Gliński, Springfield, Mass. (USA) 750

Karol Styczniewski, London, Int. (Kanada), z okazji 100-go

numeru „Kultury” 1.750

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Simone Weil: Czy istnieje doktryna marksistowska?

Wielu ludzi uważa się za przeciwników, albo zwolenników, albo zwolenników z zastrzeżeniami doktryny marksistowskiej. Nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać: czy Marks miał doktry­nę? Trudno sobie wyobrazić, aby rzecz, która obudziła tyle sporów, mogła nie istnieć. a jednak jest to częsty wypadek. Warto więc postawić i zbadać pytanie. Po uważnej rozwadze wypadnie, być może, odpowiedzieć negatywnie.

Powszechnie sądzi się, że Marks był materialistą. Nie był nim zawsze. w młodości miał zamiar wypracować filozofię pracy, w duchu właściwie bardzo bliskim Proudhon’a. Filozofia pracy nie jest materialistyczna. Grupuje ona wszystkie problemy odnoszące się do człowieka wokół aktu, który, stanowiąc bez­pośrednie i rzeczywiste uchwycenie materii, określa stosunek człowieka do antagonistycznego elementu. Element antagonistyczny to materia. Człowiek nie jest tutaj do niej sprowadzony, jest jej przeciwstawiony.

Idąc po tej drodze młody Marks nie rozpoczął nawet szkico­wać ogólnego zarysu. Dostarczył tylko kilku wskazówek. Proudhon, ze swojej strony, rzucił jedynie kilka błysków wśród wiel­kiej ilości dymu. Taka filozofia jest dotychczas do zrobienia. Jest być może konieczna. Jest być może szczególnie potrzebna w naszej epoce. Wiele znaków wskazuje, że w wieku ubiegłym formował się jej zarodek. Ale nic z niego się nie narodziło. Być może jest to twór zarezerwowany dla naszego stulecia.

Marksa jeszcze w młodości powstrzymał przypadek bardzo pospolity w XIX wieku: wziął siebie poważnie. Uległ rodzajowi mesjanistycznego złudzenia wierząc, że jemu przypadła decydu­jąca rola w zbawieniu ludzkiego gatunku. Odtąd nie mógł za­chować swojej zdolności do myślenia w pełnym sensie tego słowa. Porzucił filozofię pracy, która w nim kiełkowała, choć od czasu do czasu, coraz rzadziej, nadal umieszczał w swoich pismach formuły z niej czerpane. Nie będąc zdolnym wytworzyć doktryny, wziął dwa wierzenia najbardziej rozpowszechnione w swojej epoce, jedno i drugie ubogie, ogólnikowe, przeciętne i co więcej niemożliwe do pomyślenia razem. Jedno z nich to kult nauki, drugie to socjalizm utopijny.

Żeby je przyjąć razem, nadał im fikcyjną jedność przy po­mocy formuł, które, jeśli się pyta o ich treść, nie wykazują ostatecznie żadnej, poza stanem uczuciowym. Kiedy jednak autor zręcznie dobiera słowa, czytelnik rzadko jest tak nie­grzeczny, żeby stawiać podobne pytania. Im mniej jakaś for­muła ma treści, tym grubsza jest zasłona, która kryje niedo­puszczalne sprzeczności myśli.

Oczywiście nigdy nie było zamiarem Marksa wprowadzać publiczność w błąd. Publicznością, którą musiał wprowadzać w błąd, żeby móc żyć, był on sam. Dlatego otoczył rdzeń swojej koncepcji chmurami metafizycznymi, które, jeżeli im przyglądać się przez czas dłuższy, stają się przezroczyste ale odsłaniają pustkę.

Jednakże nie tylko sfabrykował sztuczną więź między dwoma systemami, które wziął gotowe; również je przemyślał. Jego umysł, o zasięgu niewystarczającym do wydania doktryny, był zdolny do pomysłów genialnych. Są w jego dziełach fragmenty zwarte, niezbicie prawdziwe, które zawsze będą miały swoje miejsce we wszelkiej doktrynie opartej na prawdzie. Nie tylko są one zgodne z chrystianizmem, ale są nieskończenie dla niego cenne. Powinny być przejęte od Marksa. Jest to o tyle łatwiejsze, że to, co dzisiaj nazywa się marksizmem, to jest prąd umysłowy, powołujący się na Marksa, nie zrobił z nich żadnego użytku. Prawda jest zbyt niebezpieczna żeby jej dotykać. To dynamit.

Kult nauki XIX wieku było to przeświadczenie, że nauka epoki, przy pomocy prostego rozwoju w kierunkach już określo­nych przez osiągnięte wyniki, dostareży całkowicie pewnej od­powiedzi na wszystkie bez wyjątku pytania, stawiane przez czło­wieka. Stało się natomiast inaczej: wziąwszy nieco rozpędu sama nauka się załamała. Ta, którą dzisiaj się ceni, jest już inną nauką. Tamta, dziewiętnastowieczna, została z szacunkiem złożona w muzeum z etykietką: nauka klasyczna.

Była ona dobrze skonstruowana, prosta i jednolita. Królo­wała w niej mechanika. Centrum stanowiła fizyka. Ponieważ w tej dziedzinie osiągnięto najświetniejsze wyniki, wpływała ona silnie na inne zakresy badań. Pomysł, żeby badać człowieka tak, jak fizyk bada materię nieożywioną, sam się narzucał i ta idea szeroko się rozpowszechniła. Myślano jednak o człowieku tylko jako o jednostce. Materia odtąd była ciałem, albo też sta­rano się określić odpowiednik psychiczny atomu. Ci, którzy rea­gowali przeciwko temu zajęciu się wyłącznie jednostką, wystę­powali też przeciwko kultowi nauki.

Marks pierwszy, — i jeżeli się nie mylę jedyny, bo nie kontynuowano jego poszukiwań — wpadł na podwójną myśl spojrzenia na społeczeństwo jako na podstawowy fakt ludzki i badania w nim, jak fizyk bada w materii, stosunków siły.

Jest to idea genialna, w pełnym sensie tego słowa. Nie jest to doktryna. Jest to instrument badań, poszukiwań, eksplo­racji i być może konstrukcji, niezbędny dla każdej doktryny, która nie ma rozpaść się na proszek,w zetknięciu z prawdą.

Marks, wpadłszy na ten pomysł, postarał się go wyjałowić o tyle, o ile to od niego zależało, przygniatając go nędznym scientyzmem epoki. Czy raczej Engels, znacznie od niego niższy i świadomy swojej niższości, dokonał za niego tej operacji; Marks jednak pokrył ją swoim autorytetem. Wynikł z tego system, według którego stosunki siły określające strukturę spo­łeczną warunkują całkowicie los i myśli ludzi. Taki system jest bezlitosny. Siła w nim jest wszystkim, nie zostawia on żadnej nadziei sprawiedliwości. Nie zostawia nawet żadnej nadziei, żeby dało się uchwycić umysłem sprawiedliwość w jej prawdzie, po­nieważ myśli są tylko odbiciem stosunków siły.

Marks jednak miał serce współczująco. Na widok niespra­wiedliwości rzeczywiście, można powiedzieć, fizycznie, cierpiał. Cierpienie to było tak silne, że odebrałoby mu zdolność do ży­cia, gdyby nie oczekiwał bliskiego i ziemskiego triumfu spra­wiedliwości całkowitej. Dla niego, jak dla wielu innych, po­trzeba była najważniejszym z dowodów.

Większość istot ludzkich nigdy nie podaje w wątpliwość myśli, bez której dosłownie nie mogliby żyć. Najcięższy wybór, przed jakim może znaleźć się człowiek, to wybór między prawdą i życiem. Kto chce zachować duszę, straci ją. To zdanie byłoby lekkomyślne, gdyby odnosiło się tylko do tych, co w żadnych okolicznościach nie godzą się umrzeć. Jest ich na ogół niewielu. Zdanie staje się straszliwe, kiedy się je stosuje do tych, co nie chcą się wyrzec swoich myśli, choćby były one fałszem, jeżeli czują, że bez nich musieliby się wyrzec życia.

Obiegową koncepcję sprawiedliwości w czasach Marksa da­wał socjalizm, który on sam nazwał utopijnym. Była ona uboga, jeśli chodzi o wysiłek myśli, ale głęboko ludzka i szlachetna jako uczucie, bo pragnęła wolności, godności, dobrobytu i wszel­kiego możliwego dobra dla wszystkich. Marks ją przejął. Starał się tylko ją uściślić, dorzucił idee interesujące, ale nic naprawdę pierwszorzędnego.

Zmienił sam charakter nadziei: prawdopodobieństwo oparte na postępie ludzkim nie mogło mu wystarczyć. Jego niepokój domagał się pewności. Nie buduje się pewności na człowieku. Jeżeli wiek XVIII miał chwilami to złudzenie, a miał je tylko chwilami, wstrząsy Rewolucji i wojny były dostatecznie okrut­ne, żeby z niego wyleczyć.

W poprzednich wiekach ludzie, którzy potrzebowali pewno­ści, wspierali ją na Bogu. Filozofia XVIII wieku i cuda tech­niki zdawały się dźwignąć człowieka tak wysoko, że stracono to przyzwyczajenie. Wkrótce jednak całkowita niewystarczalność wszystkiego co ludzkie stała się znów widoczna i odczuwano po­trzebę szukania podpory. Bóg nie był w modzie. Wzięto mate­rię. Człowiek tylko na moment może znieść myśl, że jest samot­ny w swoim pragnieniu dobra. Trzeba mu wszechpotężnego so­jusznika. Jeżeli nie wierzy się w daleką, milczącą, ukrytą wszechmoc ducha, pozostaje tylko oczywista wszechmoc materii.

Na tym polega nieskończona absurdalność wszelkiego mate­rializmu. Gdyby materialista mógł odrzucić wszelką troskę o dobro, byłby najzupełniej zgodny z sobą. Ale nie może. Sama istota człowieka nie jest niczym innym niż stałym dążeniem do dobra, którego człowiek nie zna. a materialista jest człowie­kiem. Dlatego nie potrafi uniknąć traktowania materii jako maszyny do fabrykacji dobra.

Zasadnicza sprzeczność w życiu ludzkim sprowadza się do tego, że człowiek, którego samą istotę stanowi dążenie do dobra, jest równocześnie poddany w całej swojej istocie, w swojej myśli I w swoim ciele, sile ślepej konieczności najzupełniej obojętnej na dobro. Tak już jest i dlatego żadna myśl ludzka nie może uniknąć sprzeczności. Sprzeczność nie jest bynajmniej zawsze oznaką błędu, czasem bywa oznaką prawdy. Wiedział to Plato. Należy jednak rozróżnić. Użytek, jaki się robi ze sprzeczności bywa dwojaki: dopuszczalny i niedopuszczalny.

Użytek niedopuszczalny polega na połączeniu dwóch myśli niezgodnych z sobą tak, jak gdyby były one zgodne. Użytek dopuszczalny polega, najpierw, kiedy dwie myśli niezgodne ze sobą pojawiają się w umyśle, na wyczerpaniu wszelkich środków inteligencji, aby wyeliminować przynajmniej jedną z nich. Jeżeli to okaźe się niemożliwe, jeżeli jedna i druga narzucają się jako oczywiste, należy uznać sprzeczność za fakt. Następnie należy się nią posłużyć jako narzędziem o dwuch ramionach, jak obcąźkami, żeby wejść w bezpośredni kontakt z transcendentną dzie­dziną prawdy niedostępnej zdolnościom ludzkim. Kontakt jest bezpośredni, choć dokonuje się za pośrednictwem, podobnie jak zmysł dotyku bezpośrednio odczuwa chropowatość stołu, po któ­rym prowadzi się nie rękę a ołówek. Kontakt jest rzeczywisty, chociaż należy do rzeczy z natury niemożliwych, bo chodzi o kontakt pomiędzy umysłem i tym, co nie jest możliwe do po­myślenia. Jest on nadprzyrodzony ale rzeczywisty.

Ten użytek dopuszczalny zrobiony ze sprzeczności, jako przejście do sfery transcendentnej, ma swój częsty odpowiednik, żeby się tak wyrazić, obraz, w matematyce. Gra on zasadniczą rolę w dogmacie chrześcijańskim, jak można z tego zdać sobie sprawę na przykładzie dogmatu Trójcy, Wcielenia’ czy na ja­kimś innym. Podobnie jest w innych religiach. Tu być może znajdujemy kryterium, które pozwala rozpoznać autentyczne tradycje religijne i autentyczne filozofie.

Przede wszystkim użytek zrobiony ze sprzeczności zasadni­czej, sprzeczności pomiędzy dobrem i koniecznością, czy też z od­ powiadającej jej sprzeczności między sprawiedliwością i siłą do­starcza nam kryterium. Nieskończony dystans, jak powiedział Plato, dzieli dobro od konieczności. Nie mają one nic wspólne­go. Są całkowicie różne. Chociaż jesteśmy zmuszeni przypisy­wać im jedność, ta jedność jest tajemnicza, pozostaje ona dla nas sekretem. Kontemplacja tej nieznanej nam jedności stanowi o autentycznym życiu religijnym.

Fabrykować odpowiednik fikcyjny, błędny, tej jedności tak, aby była ona uchwytna dla zdolności ludzkiego umysłu — to treść niższych form życia religijnego. Każdej formie autentycz­nej życia religijnego towarzyszy forma niższa, która z pozoru wspiera się na tej samej doktrynie, ale jej nie rozumie. Nie byłoby prawdą utrzymywać, że jest odwrotnie. Istnieją sposoby myślenia, które są właściwe tylko życiu religijnemu niższego gatunku.

Pod tym względem cały materializm, o ile przypisuje materii zdolność automatycznej fabrykacji dobra, powinien być zali­czony do niższych form życia religijnego. Sprawdza się to nawet w zastosowaniu do burżuazyjnych ekonomistów XIX wieku, apostołów liberalizmu, którzy mają akcenty naprawdę religijne kiedy mówią o produkcji. Sprawdza się to w większym jeszcze stopniu w zastosowaniu do marksizmu. Marksizm nie jest niczym innym niż religią, w najbardziej nieczystym sensie tego słowa. Ma on w szczególności tę cechę wspólną z wszelkimi niższymi formami życia religijnego, że używa się *go* stale, według jakże słusznego wyrażenia Marksa, jako opium dla ludu.

Zresztą spirytualizm taki jak Platona różni się od materia­lizmu tylko odcieniem, tylko nieskończenie małym pierwiastkiem. Plato nie mówi, że dobro jest automatycznym produktem ko­nieczności, ale że duch włada koniecznością przez perswazję, doradza jej obrócić na dobro większość rzeczy które się dzieją; a konieczność jest zwyciężona przez tę mądrą perswazję. Podob­nie Ajschylos powiada: „Bóg nie ucieka się do żadnego gwałtu, wszystko co boskie jest bez wysiłku. Mieszkając wysoko, mąd­rość umie jednak działać stamtąd, ze swego czystego tronu”. Tę samą myśl odnajdziemy w Chinach, w Indiach, w chrystianizmie. Wyraża ją pierwsza linia Ojcze Nasz, którą trzeba by było właściwie tłumaczyć: „Ojcze nasz, ojcze niebios”, a jeszcze pełniej wyrażają ją cudowne słowa: „Ojciec wasz, który jest ukryty”.

Udział nadprzyrodzonego tu na ziemi to sekret, milczenie, pierwiastek nieskończenie mały. Jednak działanie tego pier­wiastka nieskończenie małego jest decydujące. Prozerpina są­dziła, że nie zobowiązuje się do niczego kiedy, na wpół zmuszo­na, na wpół przekonana, zgodziła się zjeść jedno ziarnko gra­natu; ale od tej chwili już na zawsze inny świat był jej kró­lestwem i ojczyzną. Perła na polu jest prawie niewidoczna. Ziarnko gorczycy jest najmniejszym z ziaren.

Decydujące działanie nieskończenie małego pierwiastka jest paradoksem; inteligencja ludzka rozpoznaje je z trudem; natura jednak, która jest lustrem praw boskich, dostarcza na każdym kroku jego obrazów. a więc katalizatory, bakterie, fermenty. w stosunku do ciała stałego punkt jest czymś nieskończenie małym. Jednak każde ciało ma punkt, który więcej znaczy niż cała masa tak, że jeżeli podtrzymać je w tym punkcie, ciało nie pada. Punkt zetknięcia ostrołuków podtrzymuje z góry cały budynek. Archimedes mówił: „Dajcie mi punkt oparcia a po­ruszę ziemię”. Milcząca obecność nadprzyrodzonego tu na ziemi jest tym punktem oparcia. Dlatego w pierwszych wiekach po­równywano krzyż do wagi.

Gdyby jakaś wyspa, zupełnie odcięta od reszty świata, była zamieszkana tylko przez ślepców, światło byłoby dla nich tym, czym dla nas jest pierwiastek nadprzyrodzony. Jest się skłon­nym przypuścić, że światło byłoby dla nich niczym, że tworząc na ich użytek fizykę, w której nie byłoby miejsca na teorię światła, dostarczono by im całkowitego wytłumaczenia ich świa­ta. Bo światło nie uderza, nie popycha, nie waży, nie jest do zjedzenia. Dla nich jest po prostu nieobecne. a jednak nie da się go wyłączyć z rachunku. Tylko dzięki niemu drzewa i rośliny wzbijają się ku niebu mimo ciążenia. Tylko dzięki niemu dojrze­wają ziarna, owoce i wszystko co się je.

Łącząc dobro i konieczność w jedność transcendentną, rozwiązuje się zasadniczy problem ludzki w sposób niezrozu­miały. w szczególności jeżeli się dodaje jeszcze bardziej niezro­zumiałe przekonanie, że coś z tej jedności transcendentnej prze­nika do tych, którzy nie rozumiejąc jej, nie mogąc wobec niej zrobi żadnego użytku ani ze swojej inteligencji ani woli, patrzą na nią z miłością i upragnieniem.

To, co wymyka się zdolnościom ludzkim, nie może być z za­łożenia ani sprawdzone ani obalone. Wynikają jednak z tego konsekwencje dostrzegalne na poziomie ziemskim, który jest na­szym zdolnościom dostępny; te konsekwencje mogą być podda­ne sprawdzeniu. I, w rzeczy samej, ten dowód ma wagę. Dru­giego pośredniego sprawdzianu dostarcza powszechna zgodność ludzi w tym względzie. z pozoru religie i filozofie są tak różno­rakie, że ten dowód, zdawałoby się, nie istnieje; ta różnorod­ność doprowadziła nawet wiele umysłów do sceptycyzmu. Jed­nak uważniej przyjrzawszy się zagadnieniu dostrzegamy, że z wyjątkiem krajów, które poddały swoje życie duchowe impe­rializmowi, wszystkie religie mają za swoje ukryte centrum dok­trynę mistyczną; i chociaż doktryny mistyczne różnią się między sobą, nie tylko są po prostu podobne, ale absolutnie identyczne w szeregu punktów zasadniczych. Trzecim wreszcie sprawdzia­nem pośrednim jest doświadczenie wewnętrzne. Jest to, nawet dla tych, którzy sami zaznali tego doświadczenia, dowód po­średni w tym sensie, że wymyka się ono ich zdolnościom myślo­wym; chwytają tylko zewnętrzny pozór i wiedzą to. a zarazem wiedzą jakie jest tego znaczenie. w ciągu wielu ubiegłych wie­ ków istniała mała grupka istot ludzkich, najoczywiściej nie­zdolnych nie tylko do kłamstwa ale również do autosugestii i ich świadectwo w tej dziedzinie jest decydujące.

Tylko te trzy dowody są, jak się zdaje, możliwe, ale są one wystarczające. Można do nich dorzucić odpowiednik dowodu przez sprowadzenie do absurdu badając inne rozwiązania, te które fabrykują więź fikcyjną pomiędzy dobrem i koniecznością, na poziomie zdolności ludzkich. Mają one konsekwencje absur­dalne i absurdalność tę da się stwierdzić przy pomocy rozumu i doświadczenia.

Ze wszystkich rozwiązań niewystarczających, rozwiązania materialistyczne są niewątpliwie najlepsze, najbardziej użyteczne i tylko one, być może, zawierają fragmenty czystej prawdy. Materializm bierze pod uwagę wszystko z wyjątkiem pierwiast­ka nadprzyrodzonego. Jest to niemała luka, bo w nadprzyrodzo­nym wszystko jest zawarte i nieskończenie przewyższone. Jeżeli jednak nie włącza się do rachunku pierwiastka nadprzyrodzone­go, ma się rację będąc materialistą. Ten wszechświat, jeżeli od niego odjąć nadprzyrodzone, jest tylko materią. Opisując go tyl­ko jako materię, chw^yta się część prawdy. Opisując go jako kombinację materii i sił specyficznie moralnych, które należeć mają do tego świata, które mają istnieć na poziomic materii, fałszuje się wszystko. Dlatego dla chrześcijaństwa pisma Marksa są znacznie bardziej cenne niż pisma na przykład Woltera i En­cyklopedystów, którzy znajdowali sposób żeby być ateistami, nie będąc materialistami. Byli ateistami, nie w tym prostym sensie, że mniej czy więcej wyraźnie odrzucali pojęcie Boga osobowego, jak to robią niektóre sekty buddyjskie, które mimo to znają życie mistyczne, ale w tym sensie, że odrzucali wszyst­ko co nic jest z tego świata. Naiwni, wierzyli, że sprawiedli­wość jest z tego świata. Jest to niebezpieczne złudzenie, zawar­te w tym co nazywa się zasadami 1789 roku, wiarą laicką i tak dalej.

Pośród wszystkich form materializmu dzieło Marksa za­wiera niesłychanie cenną wskazówkę, chociażby on sam nie zro­bił z niej niemal żadnego rzeczywistego użytku, a jego zwolen­nicy jeszcze mniej. Jest to pojęcie materii nie-fizycznej. Marks, słusznie traktując społeczeństwo jako podstawowy fakt ludzki tego świata, zwracał uwagę tylko na materię społeczną; można jednak również, z kolei, stworzyć pojęcie materii psychologicz­nej; istnieją w psychologii współczesnej prądy idące w tym kie­runku choć samego pojęcia nie sformułowano. Powstrzymuje od tego pewna ilość rozpowszechnionych przesądów.

Idea jest następująca (jest ona niezbędna dla każdej poważ­nej doktryny, jest ona centralna). Pod powierzchnią zjawisk z dziedziny moralnej, czy to zbiorowych czy jednostkowych, istnieje coś analogicznego do samej materii. Coś analogicznego. Nie to co się nazywa materią. Dlatego systemy które Marks zaliczał do, jak to nazywał z odcieniem usprawiedliwionej po­ gardy, materializmu mechanicznego, systemy, które starają się wytłumaczyć myśl ludzką przy pomocy mechanizmu fizjologicz­nego, są głupstwem. Myśli są poddane mechanizmowi, który jest im właściwy. Jest to jednak mechanizm. Kiedy myślimy o materii, myślimy o mechanicznym systemie sił, poddanych śle­pej i niezwalczonej konieczności. To samo stosuje się do tej niedotykalnej materii, która stanowi substancję naszych myśli. Jest tylko bardzo trudno uchwycić tu pojęcie siły i ustalić prawa tej konieczności.

Nawet, jednak zanim się to osiągnie, jest rzeczą niezwykle użyteczną wiedzieć, że ta specyficzna konieczność istnieje. Poz­wala to uniknąć dwóch błędów, w które się wpada bez ustanku, bo ledwo ktoś pozbędzie się jednego, wpada w drugi. Pierwszy z nich powstaje kiedy ktoś wierzy, że zjawiska moralne są od­bitką przez kalkę zjawisk materialnych, na przykład że dobre samopoczucie moralne wynika automatycznie i wyłącznie z fi­zycznego dobrobytu. Drugi błąd powstaje, kiedy ktoś wierzy, że zjawiska moralne są niezależne, że może je wywołać auto­sugestia czy sugestia zewnętrzna, względnie akt woli.

Zjawiska te nie są poddane konieczności fizycznej a jednak są poddane konieczności. Oddziałują na nie zjawiska fizyczne, ale oddziałują w sposób szczególny, zgodny z prawami koniecz­ności, której zjawiska moralne są poddane. Wszystko co rzeczy­wiste jest poddane konieczności. Nic bardziej rzeczywistego niż wyobrażenia; to, co się sobie wyobraża nie jest rzeczywiste, ale stan w jakim znajduje się wyobraźnia jest faktem. z chwilą kiedy istnieje pewien stan wyobraźni, może on ulec zmianie tylko jeżeli wejdą w grę przyczyny zdolne mieć taki skutek. Te przyczyny nie mają żadnego bezpośredniego związku z rzeczami, które się sobie wyobraża; jednak nie rnogą być byle czym. Sto­sunek przyczyny do skutku obowiązuje równie ściśle w tej dzie­dzinie jak tam, gdzie chodzi o prawo ciążenia. Stosunek ten jest tylko trudniejszy do zbadania.

Popełnia się tutaj niezliczone błędy, które powodują mnó­stwo cierpień w życiu codziennym. Jeżeli na przykład dziecko mówi, że czuje się źle, nie idzie do szkoły a nagle znajduje dość siły, żeby bawić się z innymi dziećmi, rodzina oburza się, że dziecka skłamało. Powiada się wtedy: „ponieważ masz dość siły żeby się bawić, miałeś dość siły żeby iść do szkoły”. Ale dziecko mogło być najzupełniej szczere. Zatrzymało je w domu uczucie rzeczywistego wyczerpania, które znikło na widok to­warzyszy zabawy; urok zabawy zawierał podnietę, której nie zawierała nauka, nie mogąca mieć takiego skutku. Jest również naiwnością z naszej strony, jeżeli dziwimy się, że postanowili­śmy coś zrobić i nie dotrzymujemy postanowienia. Coś nas po­budziło do powzięcia postanowienia ale to coś nie było dosta­tecznie silne, żeby nas popchnąć do wykonania; a nawet może się zdarzyć, że sam akt powzięcia postanowienia wyczerpał pod­nietę i uniemożliwił nam nawet zacząć wykonywać co postano­ wiliśmy. Tak właśnie bywa często gdy chodzi o akcje wyjątko­wo trudne. Znany wypadek świętego Piotra może tu służyć za dobry przykład.

Ten rodzaj niewiedzy stale działa w stosunkach między rzą­dzącymi i rządzonymi, między klasami panującymi i masą, za­truwając życie społeczne. Na przykład właściciele fabryk znają dwa lekarstwa, żeby zapewnić szczęście robotnikom. Albo pod­nieść im zarobki, albo powiedzieć im, że są szczęśliwi i wygnać złośliwych komunistów, którzy twierdzą, że jest przeciwnie. Nie są zdolni zrozumieć, że z jednej strony szczęście robotnika po­lega przede wszystkiem na pewnym usposobieniu wobec pracy jaką wykonuje, że z drugiej strony to usposobienie nie może się pojawić, jeżeli nie zrealizuje się pewnych warunków obiektyw­nych, których się nie odkryje bez poważnych studiów. Ta pod­wójna prawda, właściwie przetransponowana, jest kluczem do wszystkich problemów praktycznych ludzkiego życia.

W grze tej konieczności, która rządzi myślami i czynami ludzi, stosunki między społeczeństwem i jednostką są bardzo złożone. Że jednak pierwsze miejsce należy się tu pierwiastkowi społecznemu, rzuca się w oczy. Marks miał słuszość, kiedy za­czął od stwierdzenia, że materia społeczna jest rzeczywistością, że istnieje konieczność społeczna, której prawa musimy przy­najmniej ogólnie ogarnąć zanim odważymy się myśleć o prze­znaczeniach ludzkiego gatunku.

Idea ta była oryginalna na tle jego epoki; z punktu widze­nia absolutnego oryginalna nie jest. Jest zresztą prawdopodob­ne, że żadna prawda nie jest naprawdę oryginalna. Jak się zdaje, istotnym zamiarem Machiawela było opracować mechanikę sto­sunków społecznych. Jeszcze jednak dawniej Plato stale zdawał sobie sprawę jak rzeczywista jest społeczna konieczność.

Plato odczuwał szczególnie żywo, że przeszkodę, na jaką natrafia dusza w dążeniu do dobra, stanowi bardziej materia społeczna niż ciało ludzkie. Taka jest również myśl chrześci­jaństwa. Święty Paweł mówi, że nie z ciałem trzeba walczyć ale z diabłem, a diabeł dla niego przebywa w materii społecznej, ponieważ mógł powiedzieć do Chrystusa, pokazując mu króles­twa tego świata: „Dam ci całą tę potęgę i chwałę, która z tym jest połączona, gdyż one są mi poddane”. i nazywa się go księciem tego świata. Ponieważ jest ojcem kłamstwa, materia społeczna jest największą wylęgarnią i hodowlą kłamstwa i błę­du. To również było myślą Platona. Porównywał społeczeństwo do olbrzymiego zwierzęcia, któremu ludzie muszą służyć i któ­rego odruchy badają, żeby według nich kształtować swoje prze­konania o tym co dobre i co złe. Chrześcijaństwo zachowało ten obraz. Bestia Apokalipsy jest siostrą bestii Platona.

Samym sednem myśli Platona a również myśli chrześcijań­skiej jest pewność, że ludzie są absolutnie niezdolni do innych opinii o dobrem i złem niż tych, jakie są dyktowane przez od­ruchy wielkiego zwierzęcia, z wyjątkiem dusz predestynowa­ nych, które Łaska nadprzyrodzona kieruje ku Bogu. Jeżeli nie rozwinął on tak jak mógłby tej myśli, chociaż odnajdujemy ją **we** wszystkim co pisał, to zapewne dlatego że, jak wiedział, zwierzę jest złośliwe i mści się. Jest to temat do refleksji prawie niezbadany. Nie jest to bynajmniej prawda oczywista; jest to prawda głęboko ukryta. Ukryta w szczególności przez konflikty opinii. Jeżeli dwoje ludzi gwałtownie spiera się o to co jest dobre a co złe, trzeba wierzyć, że oboje są ślepo poddani opinii otaczającego ich społeczeństwa. Ten, kto rozmyśla o tych kilku liniach Platona, odczuwa żywą pokusę, żeby tłumaczyć wpły­wem zwierzęcia opinie ludzi z którymi dyskutuje, tłumacząc swoje własne poprawną wizją sprawiedliwości i dobra. Nie ro­zumie się prawdy sformułowanej przez Platona zanim nie za­stosuje się jej do siebie samego.

W istocie, jeżeli weźmiemy daną epokę, daną całość spo­łeczną, różnice opinii są znacznie mniejsze niż mogłoby to się wydawać. Jest znacznie mniej różnic niż konfliktów. Najgwał­towniejsze walki prowadzą ze sobą ludzie, którzy myślą dokład­nie albo prawie dokładnie to samo. Nasza epoka obfituje w para­doksy tego rodzaju. Wspólnym tłem różnorodnych prądów’ opinii w danej epoce jest opinia wielkiego zwierzęcia tej epoki. Tak na przykład od dziesięciu lat każde ugrupowanie politycz­ne, aż do najmniejszych grupek, oskarżało wszystkie inne bez wyjątku o faszyzm I z kolei było podobnie oskarżane; z wyjąt­kiem oczywiście tych, które traktowały ten epitet jako pochwałę. Prawdopodobnie zresztą ten epitet był zawsze częściowo uspra­wiedliwiony. Wielkie zwierzę europejskie XX wieku ma wyraź­ną skłonność do faszyzmu. Innym zabawnym przykładem jest sprawa ludów kolorowych. Każdy kraj wzrusza się niezmiernie losem ludów zależnych od innych krajów, ale oburza się jeżeli ktoś poda w wątpliwość doskonałe szczęście, jakim cieszą się ludy jemu podległe. Można znaleźć wiele podobnych wypadków, gdzie pozorna różnica postaw jest właściwie ich tożsamością.

Z drugiej strony, ponieważ zwierzę jest olbrzymie a ludzie malutcy, każdy z nich zajmuje inne miejsce w stosunku do zw'ierzçcia. Idąc za obrazem Platona można to tak przedstawić, że wśród ludzi zajętych jego czyszczeniem, jeden zajmuje się kolanem, inny pazurem, inny szyją, jeszcze inny karkiem. Zwie­rzęciu może się podobać, że łaskocze się go w podbródek czy poklepuje po karku. Jeden z jego podwładnych będzie utrzymy­wał, że łaskotanie jest największym dobrem, inny że poklepy­wanie. Inaczej mówiąc, społeczeństwo składa się z grup, które krzyżują się na wszystkie możliwe sposoby, a moralność spo­łeczna zmienia się zależnie od grupy. Nie da się znaleźć dwóch jednostek, których środowiska społeczne byłyby naprawdę iden­tyczne; środowisko każdej jednostki jest wynikiem wzajemnego nakładania się na siebie grup i ten splot nie powtarza się nigdy. Tak więc pozorna oryginalność jednostki nie przeczy tezie, że myśl jest całkowicie poddana opinii społecznej.

Jest to właśnie teza Marksa. Jedyne co go różni od Platona w tym zakresie to to, że nie zna on możliwości wyjątków, jakie tworzy nadprzyrodzone działanie Łaski. Część jego badań pozostaje prawdziwa mimo tej luki, jednak, z powodu tej luki, reszta jest tylko zbiorem słów.

Marks starał się określić mechanizm opinii społecznej. Klu­cza dostarczyło mu zjawisko moralności zawodowej. Każda gru­pa zawodowa fabrykuje sobie moralność, na mocy której ten co wykonując swój zawód, podporządkowuje się zasadom, jest poza zasięgiem zła. Jest to potrzeba prawie elementarna, bo napię­cie, jakiego wymaga jakakolwiek praca, jest już tak samo w so­bie znaczne, że gdyby jeszcze dołączyła się do niego troska o dobro i zło, byłoby nie do zniesienia. Żeby się od tego uchro­nić, trzeba zbroi. Moralność na użytek zawodu odgrywa tę rolę.

Na przykład lekarz, któremu powierzą skazanego na śmierć, na ogół nie stawia sobie niepokojącego pytania, czy dobrze jest tego człowieka wyleczyć. Jest powszechnie przyjęte, że rzeczą lekarza jest leczyć. Również niewolnicy rzymscy mieli moral­ność na swój użytek, według której niewolnik nie może zrobić nic złego, jeśli słucha swego pana, albo działa w jego interesie. Była to, oczywiście, moralność propagowana przez panów; zo­stała jednak w znacznym stopniu przejęta przez niewolników i dlatego bunty niewolników zdarzały się względnie rzadko, jak na ich liczbę i ich straszliwy los. w czasach kiedy wojna była zawodem, wojskowi wytworzyli moralność, według której wszel­ki czyn wojenny, zgodny ze zwyczajami wojny i użyteczny dla zwycięstwa, jest uprawniony i dobry; łącznie na przykład z gwałceniem kobiet i mordowaniem dzieci, kiedy zdobywa się miasto, bo swoboda dana żołnierzom w takich okolicznościach jest niezbędna dla morale wojsk. Handlowi odpowiada moral­ność, która uważa kradzież za najgorszą ze zbrodni, a wszel­ką korzystną wymianę jakiegoś przedmiotu na pieniądze za dobrą i uprawnioną. Wspólną cechę tych moralności wyraził Plato w ostatecznej formule: „Nazywają sprawiedliwymi i pięk­nymi rzeczy konieczne, gdyż nie wiedzą jak wielki jest w rzeczy­wistości dystans, który dzieli esencję tego co konieczne od esencji tego co dobre”.

Według Marksa atmosfera moralna danego społeczeństwa, atmosfera, która przenika wszędzie i łączy się ze szczególną moralnością każdego środowiska, sama składa się z mieszaniny moralności grupowych, przy czym doza wkładu wyraża wiernie ilość władzy jaka jest w ręku każdej grupy. Tak więc, zależnie od tego, czy społeczeństwem władają właściciele wielkich przed­siębiorstw rolnych, czy wojskowi, czy kupcy, czy przemysłowcy, czy bankierzy, czy biurokraci, atmosfera moralna będzie nosiła piętno moralności zawodowej czy to właścicieli ziemskich, czy to wojskowych i tak dalej. Ta koncepcja świata znajdzie wyraz wszędzie, w polityce, w prawie, nawet w abstrakcyjnych I z po­zoru bezinteresownych spekulacjach intelektualistów. Każdy bę­ dzie jej poddany, ale nikt nie będzie zdawać sobie z tego spra­wy, bo każdy będzie uważać, że nie chodzi o szczególną koncep­cję ale o sposób myślenia wrodzony naturze ludzkiej.

Wszystko to jest w dużej mierze słuszne i łatwe do spraw­dzenia. Żeby zacytować tylko jeden przykład, nie mało nas dzi­wi waga, jaką przywiązuje do kradzieży francuski kodeks kar­ny. Jeżeli dołącza się pewne okoliczności obciążające, karze się ją surowiej niż gwałcenie dzieci. Jednak ludzie, którzy uło­żyli kodeks, mieli nie tylko pieniądze, mieli również dzieci, któ­re pewnie kochali; gdyby musieli wybrać między utratą całej swojej fortuny i zgwałceniem przez kogoś ich dzieci, nie woleliby, wolno nam przypuścić, swoich pieniędzy. Jednak redagu­jąc kodeks, byli tylko, niezależnie od swojej woli, organami społecznych odruchów; w społeczeństwie opartym na handlu, kradzież jest aktem najbardziej antyspołecznym. Natomiast uwo­dzenie kobiet, na przykład, jest rodzajem handlu, z trudem więc tylko i nieśmiało zdecydowano się je karać.

Tyle jednak faktów zdaje się przeczyć teorii, że zostałaby ona natychmiast obalona, gdyby nie wprowadzić odcieni, jakie nadaje działanie czasu. Człowiek jest konserwatystą i przeszłość zdolna jest trwać na mocy swego własnego ciężaru. Na przykład znaczna część kodeksu pochodzi z czasów, kiedy handel miał znacznie większe niż dzisiaj znaczenie; tak więc, biorąc ogólnie, atmosfera moralna społeczeństwa zawiera elementy, które zo­stały po klasach niegdyś dominujących, choć znikły już one, albo przeżywają mniejszy lub większy upadek. Twierdzenie od­wrotne jest również prawdziwe. Jak szef opozycji, przeznaczony do tego, żeby stać się premierem, ma już swoją klientelę, tak klasa mniej czy bardziej słaba, ale przeznaczona do tego, żeby wkrótce objąć władzę, ma już dokoła siebie zarys prądu idej, który będzie dominować z nią i dzięki niej. w ten właśnie sposób Marks wyjaśniał socjalizm swojej epoki, łącznie ze zjawis­kiem, któremu na imię Marks. Uważał siebie za jaskółkę, któ­rej już sama obecność zapowiadała bliskość wiosny, to jest re­wolucji. Był sam dla siebie przepowiednią.

Następny krok Marksa w jego próbie wyjaśnienia polegał na szukaniu mechanizmu społecznej władzy. Ta część jego myśli jest niezwykle słaba. Uważał za możliwe twierdzić, że stosunki władzy w danym społeczeństwie, jeżeli się abstrahuje od śladów przeszłości, zależą wyłącznie od technicznych warunków produk­cji. Przy danych warunkach produkcji, społeczeństwo ma struk­turę, która zapewnia mu maksimum produkcji. Starając się pro­dukować coraz więcej, polepsza ono warunki produkcji. Te więc warunki ulegają zmianie. Nadchodzi moment kiedy następuje zerwanie ciągłości, tak jak woda, którą się stopniowo podgrze­wa, zaczyna się nagle gotować. Nowe warunki wymagają no­wej struktury. Dokonuje się rzeczywista zmiana władzy, za któ­rą idzie w pewnym odstępie I z towarzyszeniem mniej czy bar­dziej gwałtownych okoliczności, odpowiadająca jej zmiana po­ lityczna, prawna, ideologiczna. Kiedy okoliczności są gwałtow­ne nazywa się to rewolucją.

Jest w tym myśl słuszna, ale, przez szczególną ironię, cał­kowicie sprzeczna z postawą polityczną Marksa. Gdyż rewolucja widoczna nie zdarza się nigdy inaczej niż jako sankcja udzielo­na rewolucji niewidocznej, która już się dokonała. Jeżeli jakaś warstwa społeczna hałaśliwie obejmuje władzę znaczy to, że w cichy sposób już sprawowała tę władzę, w każdym razie w znacznym stopniu, w przeciwnym wypadku nie miałaby nie­zbędnej siły, aby ją objąć. Jest to oczywistość jeżeli się uważa, że społeczeństwem rządzą stosunki siły. Potwierdziła to całkowi­cie Rewolucja francuska; jak to sam Marks wykazał, oficjalnie dała ona burżuazji władzę, którą ta posiadała już faktycznie conajmniej od czasów Ludwika XIV. Potwierdzają to również świeższe rewolucje, które poddały całe życie narodowe w wielu krajach mocy państwa. Już poprzednio państwo znaczyło tam wiele i było prawie wszystkim.

Oczywistą, jak się zdaje, konsekwencją dla zwolenników rewolucji robotniczej byłoby zamiast rzucać robotników w przy­godę politycznej rewolucji, szukać czy nie istnieją metody zdol­ne doprowadzić ich powoli i stopniowo, prawie niewidocznie, do zdobycia wielkiej części rzeczywistej władzy społecznej; trzeba by wtedy było zastosować te metody jeżeli takie są, albo wy­rzec się rewolucji robotniczej jeżeli ich nie ma. Choć jednak ta konsekwencja jest oczywista, Marks jej nie widział a dlatego, że nie mógł jej widzieć nie tracąc tego, co było dla niego samą racją życia. Nie dostrzegli jej z tego samego powodu jego ucz­niowie, czy to reformiści czy rewolucjoniści. Dlatego też można powiedzieć, nie obawiając się przesady, że jako teoria rewolucji robotniczej marksizm jest niczym.

Reszta jego teorii przekształceń społecznych opiera się na szeregu nieporozumień. Pierwszym z nich było zastosowanie do historii ludzkości zasady Lamarcka „funkcja stwarza organ”; tej zasady według której żyrafa miała tak długo próbować jeść banany aż szyja jej się wydłużyła. Jest to rodzaj wyjaśnienia, które, nie dostarczając nawet żadnej wskazówki jak zabrać się do rozwiązania problemu, daje fałszywe poczucie, że jest on rozwiązany i sprawia, że nie można go postawić. Sam problem to wiedzieć jak się to dzieje, że organy zwierząt są dostosowane do potrzeb; zakładając zamiast odpowiedzi skłonność do adap­tacji cechującą życie zwierzęce wpada się w błąd, który Molier, tam gdzie mówi o własnościach usypiających opium, ośmieszył na zawsze.

Darwin oczyścił problem, wprowadzając proste i genialne pojęcie warunków egzystencji. Jest rzeczą zdumiewającą, że są na ziemi zwierzęta. z chwilą jednak kiedy są, nie jest zdumie­wające, że ich organy odpowiadają koniecznościom ich życia, gdyż inaczej nie mogłyby żyć. Nie możemy się spodziewać, że odkryjemy kiedyś w jakimś zakątku świata gatunek, żywiący się wyłącznie bananami, ale z powodu nieszczęśliwego braku przystosowania, nie mogący ich jeść.

Jest to jedna z tych oczywistości zbyt oczywistych, których nikt nie widzi, dopóki nie ukaże ich palcem genialna intuicja. Zresztą znali to Grecy, tak jak to dzieje się z prawie wszystki­mi naszymi ideami; zapomniano o tym następnie. Darwin był współczesnym Marksa. Marks jednak, jak wszyscy czciciele nauki, był w dziedzinie nauki bardzo spóźniony. Zdawało mu się, że dokonuje pracy naukowej, przenosząc po prostu naiw­ności Lamarcka w sferę społeczną.

Dodał nawet jeszcze większy stopień dowolności utrzymu­jąc, że funkcja nie tylko stwarza organ zdolny do jej wykony­wania, ale że również, traktując to ogólnie, jako całość, organ zdolny do jej wykonywania w sposób najbardziej skuteczny. Jego socjologia jest oparta na postulatach, które, jeżeli się je zbada rozumowo, wykazują swoją bezpodstawność, a w zestawieniu z faktami są wyraźnie fałszywe.

Sądzi on przede wszystkim, że w danych warunkach tech­nicznych produkcji społeczeństwo ma taką strukturę, która zdol­na jest wykorzystywać te warunki do maksimum. Dlaczego? Na mocy jakiej konieczności ma się tak dziać, że zdolność pro­dukcyjna jest wykorzystywana do maksimum? Naprawdę nikt nie ma pojęcia czym może być takie maksimum. Jest tylko wi­doczne, że we wszystkich społeczeństwach było zawsze dużo marnotrawstwa. Ta jednak idea Marksa wspiera się na poję­ciach tak niejasnych, że nawet nie da się wykazać jej fałszu, bo nie da się jej uchwycić.

Po drugie, społeczeństwo ma stale dążyć do polepszenia produkcji. Jest to postulat ekonomistów' liberalnych, przeniesio­ny z jednostki na społeczeństwo. Można go przyjąć z zastrzeże­niami; jednak istniało wiele społeczeństw', w których w ciągu wielu wieków ludzie starali się żyć tylko tak, jak żyli ich przod­kowie.

Po trzecie, ten wysiłek ma działać na same warunki produk­cji a działać zawsze w kierunku polepszenia. Jeżeli się zastano­wić nad tą tezą, widzi się, że jest ona dowolna, jeżeli porównać ją z faktami widzi się, że jest fałszywa. Nie ma żadnego po­wodu, aby starając się wydobyć więcej z warunków produkcji rozwijano je coraz więcej. Równie dobrze można je wyczerpać. Zdarza się to często. Jest to na przykład wypadek kopalni czy pola. Na to samo zjawisko natrafiamy w wielkiej skali w różnych okresach i powoduje ono groźne kryzysy. Jest to historia kury, co znosiła złote jajka. Èzop o wiele więcej o tym wiedział niż Marks.

Po czwarte, kiedy to polepszenie przekroczyło pewien sto­pień, struktura społeczna, dotychczas najbardziej skuteczna z punktu widzenia produkcji, przestaje być najbardziej skutecz­na; i tylko na mocy tego, według Marksa, społeczeństwo nieuniknienie zarzuca tamtą strukturę i przyjmuje inną, która bę­dzie najbardziej skuteczna.

To już szczyt dowolności. Chwila uwagi wystarczy, żeby zaprzeczyć. Pośród wszystkich ludzi, którzy w wiekach ubieg­łych brali udział w przemianach politycznych, socjalnych, eko­nomicznych, nie znajdzie się na pewno ani jednego, który by po­wiedział: „Spowoduję zmianę struktury społecznej, żeby obec­na zdolność produkcyjna została wykorzystana do maksimum”. Nie widzi się również żadnych śladów7 automatycznego mechanizmn, który by w7ynikał z praw społecznej konieczności i powo­dował przemianę wtedy, kiedy zdolność produkcyjna nie jest wykorzystana w pełni. Ani Marks ani marksiści nigdy nic do­starczyli w tym względzie najmniejszej wskazówki.

Czy trzeba więc przyjąć, że za historią ludzkości kryjc się duch wszechpotężny, mądrość, która czuwa nad biegiem wy­padków i kieruje nimi? Marks wtedy, nie wyznając tego, byłby zwolennikiem prawdy, którą znał Plato. w żaden inny sposób nic da się wytłumaczyć jego koncepcji. Pozostajc ona jednak nadal dziwna. Dlaczego ten duch ukryty miałby czuwać nad interesami produkcji? Duch jest tym, co dąży do dobra. Pro­dukcja nie jest dobrem. Tylko przemysłowcy XIX wieku mie­szali te pojęcia. a przecie duch, który rządzi losami ludzkiego gatunku, nie jest duchem przemysłowca XIX wieku.

Wytłumaczenie znajdziemy w fakcie, że wiek XIX miał obsesję produkcji, a zwłaszcza postępu produkcji; Marks ulegał niewolniczo wpływowi swojej epoki. Ten wpływ kazał mu za­pomnieć, że produkcja nie jest dobrem. Zapomniał również, że nie jest ona jedyną koniecznością, co doprowadziło go do innego absurdu: przeświadczenia, że produkcja jest jedynym źródłem stosunków siły. Marks po prostu zapomina o wojnie. Tak samo nie pamiętała o niej większość jego współczesnych. Ludzie XIX wieku, choć karmili się piosenkami Berangera i obrazami Epinalu na cześć Napoleona, prawie zapomnieli o istnieniu woj­ny. Marks postarał się raz stwierdzić krótko, że właściwości wojny zależą od warunków produkcji; nie widział jednak od­wrotnego związku, dzięki któremu warunki produkcji są pod­porządkowane właściwościom wojny. Człowiekowi może grozić śmierć czy to ze strony natury czy ze strony innego człowieka i siła sprowadza się ostatecznie do zagrożenia śmiercią. Roz­ważając stosunki siły należy zawsze ujmować siłę w jej pod­wójnym aspekcie: jako potrzebę i jako broń.

Skutkiem tego pominięcia w pismach Marksa jest śmieszny chaos, w jaki wpadają środowiska marksistowskie, kiedy chodzi o wojnę i problemy odnoszące się do wojny i pokoju. Nie ma w tym, co nazywa się doktryną marksistowską, dosłownie nic, co by wskazywało, jakie stanowisko ma zająć marksista wobec tych spraw. w takiej epoce jak nasza, jest to luka całkiem po­ważna.

Jedyną wojną, wziętą pod uwagę przez Marksa, jest woj­ na społeczna, otwarta czy podziemna, pod nazwą walki klas- Robi z niej nawet jedyną zasadę historycznego wyjaśnienia. Ponieważ, z drugiej strony, rozwój produkcji jest również jedy­ną zasadą historycznego rozwoju, trzeba przypuścić, że te dwa zjawiska są jednym. Ale Marks nie mówi w jaki sposób jedno sprowadza się do drugiego. Na pewno uciśnieni którzy się bun­tują, czy rządzeni którzy chcą stać się rządzącymi nigdy nie myślą o podniesieniu zdolności produkcyjnej społeczeństwa. Je­dyna więź, jaką można sobie wyobrazić, polegałaby na tym, że stały protest ludzi przeciwko hierarchii społecznej utrzymuje społeczeństwo w stanie płynności, niezbędnej do tego, aby siły produkcyjne mogły je według swoich potrzeb kształtować.

W takim wypadku walka klas nie jest zasadą działającą, ale tylko warunkiem negatywnym. Zasadą działającą pozostaje ten tajemniczy duch, który czuwa nad tym, aby produkcja utrzy­mała się na maksymalnym poziomie, duch — którego marksiści nazywają czasem w liczbie mnogiej siłami produkcyjnymi. Trak­tują tę mitologię bardzo poważnie. Trocki napisał, że wojna 1914 roku była w rzeczywistości buntem sił produkcyjnych prze­ciwko ograniczeniom systemu kapitalistycznego. Można długo rozmyślać nad tą formułą i pytać o jej sens, po to tylko, żeby zostać wreszcie zmuszonym do przyznania, że nic ona nie znaczy.

Zresztą Marks miał słuszność uważając dążenie do wolności i dążenie do dominacji za dwie sprężyny, wprawiające stale w ruch życie społeczne. Zapomniał tylko wykazać, że wyjaśnia je materialistyczna zasada. Co nie jest oczywiste. Dążenie do wolności i dążenie do dominacji są dwoma faktami ludzkimi, które da się interpretować na szereg sposobów.

Co więcej, te dwa fakty sięgają znacznie dalej niż stosunek uciskanego do uciskającego, na który Marks zwracał wyłącznie uwagę. Nie można używać pojęcia ucisku, zanim nie zrobi się poważnego wysiłku aby go zdefiniować, gdyż nie jest ono jasne. Marks nie zadał sobie tego trudu. Ci sami ludzie należą do uciskanych pod pewnymi względami, do uciskających pod in­nymi, albo chcą należeć do uciskających i ta chęć może być silniejsza niż chęć wolności; ze swojej strony ci, co uciskają myślą znacznie mniej o utrzymaniu swoich podwładnych w po­słuszeństwie niż o zdobyciu władzy nad podobnymi sobie. Powstaje dzięki temu nie analogia bitwy, w której walczą ze sobą dwa obozy, ale jakby niesłychanie złożone skrzyżowanie sił par­tyzanckich oddziałów. To skrzyżowanie sił podlega jednak pra­wom. Prawa te są nadal do odkrycia.

Jedynym rzeczywistym wkładem Marksa do nauki społecz­nej jest teza, że taka nauka jest potrzebna. To dużo; to niesłycha­nie dużo, ale jesteśmy wciąż w tym samym punkcie. w tytule „socjalizm naukowy”, który nadał sobie marksizm, przymiotnik „naukowy” nie odpowiada niczemu prócz fikcji. Chciałoby się powiedzieć bardziej brutalnie: niczemu prócz kłamstwa, jednak ni Marks ni większość jego uczniów nie chcieli kłamać. Gdyby ci ludzie nie oszukiwali przede wszystkim siebie, trzeba byłoby nazwać oszustwem operację, przy pomocy której zużyli na swo­ją wyłączną korzyść szacunek, jaki ludzie współcześni mają dla nauki.

Marks był niezdolny do prawdziwego wysiłku myśli nauko­wej, bo to go nie interesowało. Tego materialistę interesowała tylko sprawiedliwość. Interesowała aż do obsesji. Miał tak jasny obraz konieczności społecznej, że mogło go to doprowadzić do rozpaczy, gdyż konieczność jest dostatecznie potężna nie tylko aby uniemożliwić ludziom sprawiedliwość, ale nawet nie po­zwolić im jej sobie pomyśleć. Nie chciał rozpaczy. Czuł z nie­słychaną mocą, że żądza sprawiedliwości w człowieku jest czymś zbyt głębokim, żeby ją odrzucić. Schronił się w marzenie, w którym sama materia społeczna bierze na siebie dwie funkcje, odmówione przez nią człowiekowi, a więc nie tylko realizuje ale poczyna w myśli sprawiedliwość.

Temu marzeniu nadał etykietkę materializmu dialektyczne­go. To było dosyć, żeby przykryć je zasłoną. Pustka tych słów jest niemal nie do przeniknięcia. Można bawić się, choć jest to zabawa okrutna, pytając marksistę co one znaczą.

Szukając starannie znajdzie się jednak rodzaj znaczenia. Plato nazywał dialektyką ruch duszy, która na każdym etapie, żeby wzbić się w sferę wyższą, wspiera się na nieprzezwyciężalnych sprzecznościach tej sfery, w której się znajduje. u kresu tej wspinaczki osiąga kontakt z dobrem absolutnym.

Obraz sprzeczności w materii to zderzenie się sił, zmierza­jących w przeciwnym kierunku. Marks po prostu przypisywał materii społecznej ruch ku dobru, który Plato opisał jako ruch myślącej istoty, przyciąganej w górę przez nadprzyrodzone dzia­łanie Łaski.

Łatwo spostrzec jak do tego doszedł. Przyjął najpierw dwa fałszywe poglądy, mocno ugruntowane wśród burżuazji jego czasu. Jeden, to pomieszanie pojęć produkcji i dobra, a co idzie za tym postępu produkcji i postępu ku dobru; drugi, to całkiem dowolne uogólnienie, dzięki któremu robi się z postępu pro­dukcji tak wyraźnego w XIX wieku, stałe prawo historii ludz­kiego gatunku.

Jednak Marks, w przeciwieństwie do burżuazji, nie był szczęśliwy. Torturowała go myśl o nędzy, jak musi torturować każdego, kto nie jest pozbawiony wrażliwości. Potrzebował jako kompensaty czegoś katastroficznego, sądu, kary. Nie mógł przedstawić sobie postępu jako ruchu ciągłego. Widział go jako szereg gwałtownych, wybuchowych wstrząsów. Byłoby rzeczą bezużyteczną pytać, kto miał rację, on czy burżuazja. Samo to pojęcie postępu, czczone w XIX wieku, nie ma sensu.

Grecy używali słowa dialektyka, kiedy myśleli o zaletach sprzeczności przychodzącej z pomocą duszy, którą przyciąga w górę Łaska. Ponieważ Marks ze swojej strony łączył w jedno materialny obraz sprzeczności i materialny obraz zbawienia duszy, czy, inaczej mówiąc, zderzenie sił i postęp produkcji, miał być może słuszność używając słowa dialektyka. Jednakże to słowo, sprzężone ze słowem materializm, ukazuje swoją ab­surdalność. Jeżeli Marks tego nie czuł, to dlatego, że zapoży­czył słowa nic od Greków ale od Hegla, który już używał go bez wyraźnie określonego znaczenia. Co do publiczności, to nie raziło jej to wcale; myśl grecka nie jest dziś dostatecznie żywa. Przeciwnie, dobór słów był całkiem niezły, bo ludzie sobie mó­wili: „To musi coś oznaczać”. Kiedy czytelnicy czy słuchacze są już w tym stadium, są bardzo wrażliwi na sugestię.

Zdarzało się niegdyś dość często na uniwersytetach ludo­wych, że robotnicy, zwracając się do intelektualistów nazywa­jących siebie marksistami, powiadali z rodzajem nieśmiałej łap­czywości: „Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, co to jest materializm dialektyczny”. Należy wątpić, czy kiedykolwiek otrzymali zada­walającą odpowiedź.

Co do mechanizmu dzięki któremu konflikty społeczne auto­matycznie produkują absolutne dobro, koncepcja Marksa nic jest łatwa do uchwycenia; wszystko to jest bardzo mało do­kładne.

Ponieważ źródłem społecznego kłamstwa są grupy walczące o dominację czy wyzwolenie, zniknięcie tych grup obaliłoby kłamstwo i człowiek żyłby w sprawiedliwości i prawdzie. Dzięki jakiemu mechanizmowi grupy te mogą zniknąć? To zupełnie proste. Za każdym razem kiedy dokonuje się społeczna przemia­na, grupa dominująca upada i grupa niższa w stosunku do niej zajmuje jej miejsce. Pozostaje tylko uogólnić to dalej; cała nauka i nawet cała myśl XIX wieku miała ten wradliwy zwyczaj ekstrapolacji bez kontroli; z wyjątkiem matematyki nie znano prawie pojęcia granicy. Jeżeli za każdym razem grupa umiesz­czona niżej wznosi się i staje się dominująca, to pewnego dnia przyjdzie kolej na najniższą ze wszystkich; odtąd nie będzie już niższych, nie będzie więcej ucisku ani struktury społecznej zło­żonej z wrogich sobie grup, ani kłamstwa. Ludzie posiądą spra­wiedliwość a ponieważ ją posiądą, będą ją znali taką jaka na­prawdę jest.

W ten właśnie sposób trzeba rozumieć te ustępy, w których Marks zdaje się zupełnie wyłączać same pojęcia sprawiedliwości, prawdy i dobra. Dopóki sprawiedliwość jest nieobecna, człowiek nie jest zdolny jej pomyśleć, a tym bardziej jej zapewnić, może ona przyjść do niego tylko z zewnątrz. Ponieważ społeczeństwo jest zepsute, zatrute, a trucizna społeczna przenika we wszyst­kie myśli wszystkich ludzi, cokolwiek ludzie sobie pomyślą, na­dając temu nazwę sprawiedliwości, będzie kłamstwem. Ktokol­wiek mówi o sprawiedliwości, prawdzie czy o jakimś walorze moralnym, kłamie albo pozwala się oszukiwać kłamcom. Jak więc służyć sprawiedliwości jeżeli się jej nie zna? Jedynym środ­kiem, według Marksa, jest przyśpieszyć działanie tego mecha­ nizmu, zawartego w samej strukturze materii społecznej, który automatycznie przyniesie sprawiedliwość ludziom.

Trudno jest zdać sobie naprawdę sprawę czy Marks sądził, że rola proletariatu w tym mechanizmie, zbliżająca go do przy­szłego społeczeństwa, pozwala uchwycić i proletariatowi i pisa­rzom czy działaczom z nim sprzymierzonym, jakby pierwszy błysk prawdy; czy też uważał proletariat jedynie za ślepy instru­ment tej istoty rzeczy, którą nazwał historią. Zdaje się, że jego myśl wahała się w tym punkcie. Zapewne jednak traktował pro­letariat łącznie z jego sprzymierzeńcami i wodzami pochodzą­cymi z zewnątrz, przede wszystkim jako instrument.

Za sprawiedliwe uważał nie to, co ukazuje się umysłom zafałszowanym przez kłamstwo społeczne, ale wyłącznie to, co może przyspieszyć powstanie społeczeństwa bez kłamstwa; w tej dziedzinie wszystko co jest skuteczne, bez najmniejszego wy­jątku, jest najzupełniej sprawiedliwe i dobre, nie samo w so­bie, ale w stosunku do końcowego celu.

Tak więc Marks powracał wreszcie do tej moralności gru­powej, której nie znosił do tego stopnia, że nienawidził spo­łeczeństwa. Jak niegdyś feodałowie, jak w swoim czasie ludzie interesów, sfabrykował sobie moralność, która wynosiła ponad dobro i zło działalność grupy społecznej do której należał, to jest grupy rewolucjonistów zawodowych.

Dzieje się tak zawsze. Wpada się zawsze w ten rodzaj wa­dy, która jest nam najbardziej nienawistna, której obawiamy się panicznie, jeżeli nie szukamy źródeł dobra tam gdzie są. Jest to pułapka stale grożąca każdemu człowiekowi i jest tylke jeden środek, żeby się przed nią uchronić.

Ten mechanizm, który, jak Marks sobie wyobrażał, zdolny jest stworzyć raj, jest czymś oczywiście dziecinnym. Siła jest stosunkiem; ci, którzy są silni, są silni wobec słabszych. Ci, którzy są słabi, nie mają możliwości zdobycia społecznej wła­dzy; ci, co zdobywają społeczną władzę siłą, tworzą zawsze, już zanim to się dokonało, grupę, która włada masami ludzkimi. Materializm rewolucyjny Marksa polega z jednej strony na za­łożeniu, że o wszystkim rozstrzyga wyłącznie siła, z drugiej strony na założeniu, że nadejdzie nagle dzień, kiedy siła będzie po stronie słabych. Nie że niektórzy, ci co byli słabi, staną się silni; taka zmiana zdarzała się zawsze. Ale że cała masa słabych, pozostając masą słabych, będzie miała siłę po swojej stronie.

Jeżeli absurdalność tego nie rzuca się w oczy, to dlatego, że w liczbie widzi się na ogół siłę. Jednak liczba jest siłą tylko w rękach tego, który nią rozporządza, a nie w rękach tych, co składają się na liczbę. Jak energia zawarta w węglu jest siłą tylko wtedy, kiedy przekształci ją maszyna parowa, tak energia, zawarta w masie ludzkiej jest siłą tylko dla grupy zewnętrznej wobec masy, znacznie mniejszej, która weszła z masą w związki możliwe zapewne do zdefiniowania po przeprowadzeniu poważ­nych badań. Wynika z tego, że siła masy jest wykorzystywana w zamiarach, które są wobec niej zewnętrzne, zupełnie tak sa­mo, jak siła wołu w zamiarach rolnika, siła konia w zamiarach jeźdźca. Ktoś może zrzucić jeźdźca na ziemię i zająć jego miej­sce na siodle, następnie zostać z kolei zrzuconym; może się to powtórzyć sto i tysiąc razy; konia jednak zawsze będzie pod­niecać ostroga. a jeżeli koń sam zrzuci jeźdźca, inny jeździec wkrótce znajdzie się na siodle.

Marks wszystko to dobrze wiedział; wyłożył to znakomicie jeśli chodziło o państwo burżuazyjne; wołał jednak o tym za­pomnieć, kiedy chodziło o rewolucję. Wiedział, że masa jest sła­ba i że stanowi siłę tylko w rękach kogoś innego; bo gdyby było inaczej, nigdy nie byłoby ucisku. Dał się przekonać wy­łącznie uogólnieniu; osiągał granicę, dzięki tej ciągłej zmianie, która co pewien czas zapewnia mniej silnym miejsce, dotychczas zajmowane przez bardziej silnych. Próbować osiągnąć granicę jeżeli się ma stosunek dwóch danych i jedną z danych się prze­kreśla jest rzeczą absurdalną. To jednak słabe rozumowanie wystarczyło Marksowi, bo wszystko wystarcza jako argument temu, który czuje, że gdyby siebie nie przekonał, nie mógłby żyć.

Idea, że słabość jako taka, pozostając słabością, może sta­nowić siłę, nie jest nowa. Jest to właśnie idea chrześcijańska a ilustruje ją krzyż. Chodzi tu jednak o siłę zupełnie innego ro­dzaju niż ta, jaką rozporządzają silni; jest to siła nie z tego świata, nadprzyrodzona. Działa ona tak, jak pierwiastek nad­przyrodzony, skutecznie ale w ukryciu, milcząco, ukazując się jako nieskończenie mała; i jeżeli jej promieniowanie przenika w masy, nie przebywa ona w nich, ale w niektórych duszach. Marks przyjmował tę sprzeczność słabości silnej, nie przyjmu­jąc pierwiastka nadprzyrodzonego, tylko dzięki któremu ta sprzeczność mogłaby stać się sprzecznością dopuszczalną.

Marks również czuł prawdę, prawdę zasadniczą, kiedy zro­zumiał, że człowiek pojmuje sprawiedliwość tylko jeżeli...

(Tu urywa się rękopis, napisany w Londynie w roku 1943, to jest w roku śmierci Simone Weil).

*Simone WEIL*

(Przełożył *Czesław MIŁOSZ)*

Tytuł oryginału: „Y a-t-il une doctrine marxiste?”   
Copyright by Librairie Gallimard, Paris.

**Aleksander Hertz: Robotnik, amerykański**

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE”)

**I**

W grudniu roku 1955 zaszedł w Ameryce fakt dużego zna­czenia: na zjeździe w New Yorku połączyły się dwie wielkie centrale robotniczego ruchu zawodowego — Amerykańska Fe­deracja Pracy (American Fédération of Labor — AFofL) i Kon­gres Organizacji Przemysłowych (Congress of Industrial Organizations — CIO). Po równo dwudziestu latach rozłamu — ame­rykański robotniczy ruch zawodowy znów stał się jednolity. Jest to wydarzenie doniosłe i dla amerykańskiego świata pracy i dla całego życia Stanów Zjednoczonych, w którym rola ruchu za­wodowego jest bardzo znaczna I w przyszłości — zapewne — będzie coraz większa. a że cokolwiek ważnego dzieje się w Sta­nach Zjednoczonych ma dziś wpływ i na resztę świata, przeto przyjąć możemy, że powstanie nowej centrali zawodowej w ja­kiejś mierze zaważy i na dalszej historii naszej epoki.

Amerykański ruch robotniczy jest *amerykańskim* ruchem robotniczym. Tautologia ta stwierdza zasadniczą prawdę: ame­rykańskiego ruchu robotniczego, jego dziejów, rozłamów i połą­czeń się, jego specyficznych właściwości, nie można zrozumieć w oderwaniu od całokształtu cywilizacji amerykańskiej, jej dzie­jów i cech specyficznych. Ten ruch robotniczy jest tak różny od równoległych ruchów robotniczych w innych krajach, jak różna jest cała cywilizacja amerykańska od cywilizacji reszty świata. Cudzoziemski obserwator amerykańskiego świata pracy, który w swych poszukiwaniach będzie opierać się na analogiach z krajami innymi, daleko tu nie zajdzie. Analogie te będą po­wierzchowne i łatwo doprowadzą do zagubienia rzeczy istotnej — amerykańskości amerykańskiego świata pracy i jego do­świadczeń organizacyjnych i historycznych.

Ta amerykańskość wypowiada się I w rozłamie, który miał miejsce przed dwudziestu laty, I w powstaniu nowej zjednoczo­nej organizacji. Dla wyjaśnienia tych spraw nie możemy unik­nąć krótkiej ekskursji w przeszłość.

Jak na kraj, w którym nie wiele instytucji i prądów społecz­nych może poszczycić się dłuższymi dziejami, amerykański ruch robotniczy ma stosunkowo długą historię. Początki jej sięgają przedindustrialnego okresu rozwoju Stanów Zjednoczonych. w końcu wieku osiemnastego stolarze i szewcy w Filadelfii, drukarze w New Yorku oraz krawcy w Baltimore zrzeszyli się w organizacje, które można by było nazwać związkami zawo­dowymi w dzisiejszym rozumieniu. w roku 1799 szewcy w Fila­delfii zorganizowali pierwszy strajk i wyszli z niego zwycięsko. Takie zrzeszenia powstawały I w innych miastach amerykań­skich I w roku 1836 liczyły łącznie 300 tysięcy członków.

Po Wojnie Domowej, gdy Stany Zjednoczone weszły w ok­res wzmożonej industrializacji, amerykański ruch zawodowy za­czął przybierać coraz poważniejsze rozmiary. w roku 1869 w Filadelfii został założony Zakon Rycerzy Pracy (The Order of the Knights of Labor) — pierwsza prawdziwie masowa orga­nizacja, skupiająca różne związki lokalne i wszelkie zawody. w roku 1886 Zakon liczył już przeszło 700 tysięcy członków. Że nie była to jednak organizacja prawdziwie zwarta i mocna, o tym świadczy, iż przegrany w tym roku strajk kolejowy znisz­czył ją zupełnie, tak że koło roku 1900 przestała ona w ogóle istnieć.

Jednakże w roku 1886 została utworzona inna organizacja zawodowa, która okazała się znacznie trwalsza i umiała osiąg­nąć nieskończenie lepsze wyniki. Była nią właśnie Amerykań­ska Federacja Pracy. a powodzenie swoje zawdzięczała ona w bardzo dużym stopniu talentom swego organizatora i wielo­letniego prezydenta — Samuela Gompersa.

Postać Gompersa stała się częścią historii amerykańskiej, weszła do amerykańskiego folkloru i tradycji. Było coś z ame­rykańskiej „success story” w tym wyniesieniu się robotnika fabryki cygar, żydowskiego emigranta z Holandii, do roli wiel­kiego przywócy robotniczego, człowieka, z którego zdaniem liczyli się prezydenci Stanów Zjednoczonych I o którego względy zabiegali politycy z obu partii politycznych. Gompers może po­służyć za klasyczny przykład emigranta, który w Ameryce zna­lazł Ziemię Obiecaną, miejsce dla siebie i swoich uzdolnień. Ale też nawzajem i to, co on dał Ameryce, było bardzo wielkie.

Gompers rozumiał Amerykę, stał się Amerykaninem I w ca­łej swej działalności umiał odnaleźć drogi i metody dla Ameryki właściwe. Autorytet jego był tak wielki, że amerykański ruch robotniczy uparcie trzymał się drogi gompersowskiej nawet wte­dy, gdy zmienione warunki wymagały zupełnie innych sposobów działania. Gompers żył bardzo długo, do końca życia stał na czele AFofL i wychował zastęp działaczy, którzy wiernie — zbyt wiernie — trzymali się jego wskazań.

Działalność Compensa przypadła na czasy, gdy Stany Zjed­noczone w szybkim tempie przetwarzały się w najbardziej zindustrializowane społeczeństwo świata. a jednocześnie Gompers i kierowana przez niego Federacja byli wierni metodom bardziej właściwym epoce wczesnoindustrialnej. I w tym już wtedy w dużym stopniu mieściły się zarodki przyszłego rozłamu.

Amerykańska Federacja Pracy oparła się na zasadzie bran­żowej. Taka sama tendencja istniała zresztą we wczesnym okre­sie europejskich ruchów zawodowych, gdy tradycje cechowe były jeszcze świeże. w Ameryce jednak tradycje takie były bardzo słabe. Gompers mógł był jc przynieść z ojczystej Holandii, to by jednak nie wystarczyło, aby mogły one tak łatwo i mocno przyjąć się na gruncie amerykańskim. Działały tu inne — bar­dziej istotne — czynniki, wśród których podkreślić trzeba coraz bardziej rosnącą rolę nowych emigrantów z Europy.

Lata dziewięćdziesiąte stoją pod znakiem masowego na­pływu sił ludzkich z Europy, napływu, który swego punktu szczytowego dosięgnie w latach nieco późniejszych. i wtedy też powstaje konflikt między amerykańskim światem pracy a przy­byszami. Przybysze ci to były masy niewykwalifikowanych rąk, gotowych podjąć się każdej pracy za każdą cenę. Promotorem emigracji był wielki business, wielki przemysł, który szukał ta­niej i pokornej siły roboczej. Wśród emigrantów wykwalifiko­wani robotnicy stanowili stosunkowo bardzo mały odsetek. Ode­grał on swoją pozytywną rolę w historii amerykańskiego ruchu robotniczego (sam Gompers był emigrantem, emigrantami była większość późniejszych przywódców robotniczych), ale oblicze emigracji nadawały ciemne i prymitywne masy.

Czy można się więc dziwić, że robotnik amerykański — sam emigrant albo syn emigranta — był wrogiem emigracji? Później, gdy na porządku dziennym stanęła sprawa nowego ustawodawstwa emigracyjnego i wprowadzenia znanych ograni­czeń, amerykańskie związki zawodowe były wśród tych, którzy domagali się sprowadzenia emigracji do minimum. Nie świat pracy, ale świat wielkiego businessu przeciwstawiał się ograni­czeniom emigracyjnym. z czasem w stanowiskach tych zaszły zmiany, ale były one spowodowane zupełnie innymi motywami.

W każdym razie amerykańskie związki zawodowe, broniąc interesów robotnika, stawały nie tylko przeciwko kapitalistom. Stawały one również przeciwko masom nędzarzy-emigrantów ze Starego Świata. To miało znaczny wpływ i na strukturę związ­ków zawodowych. Zrzeszały one specjalistów, robotników wy­kwalifikowanych, miały charakter branżowy, nieraz bardzo wąs­ko branżowy. Ba, do tej pory istnieje związek robotników, wy­rabiających podkowy dla koni (nawet w Ameryce trafiają się konie!) czy związek rytowników na kamieniu. Związki takie ze względu na swój wysoce wyspecjalizowany charakter musiały stawać się ekskluzywnymi j trudno dostępnymi dla nowych członków. a były zupełnie zamknięte dla robotników niewykwa­lifikowanych.

Polityka taka na dłuższą metę okazała się fatalna. Przede wszystkim prowadziła ona do organizacyjnego rozbicia ruchu zawodowego. Im specjalizacja była dokładniejsza, tym bardziej mnożyły się związki pokrewne, skupiające bardzo małe ilości członków. Dość powiedzieć, że obecnie w samym New Yorku istnieje coś jedenaście związków robotników drukarskich! Nie­uniknioną rzeczą stały się spory kompetencyjne — aż po dziś dzień jedna z plag amerykańskiego życia robotniczego. Związki kłóciły się o członków, o teren działania, o wpływy. Niejedna z akcji strajkowych została przegrana, gdy jakiś ze związków, działających na terenie danego przedsiębiorstwa, uznawał za właściwe (racje mogły być bardzo różne, nieraz brzydko pach­nące) nie przystępować do akcji pozostałych związków. Był to jeden z czynników, dzięki którym tak zwany union racket — a będzie o nim jeszcze mowa — mógł przyjąć się i zakwitnąć na gruncie amerykańskiego ruchu robotniczego.

Metody takie utrzymać się nie mogły. Życie było od nich mocniejsze. w miarę szalonego tempa uprzemysłowiania się Sta­nów Zjednoczonych, ciasne związki branżowe musiały tracić na swym znaczeniu. Stawały się anachronizmem. a poza tym metody takie wpływały hamująco na ilościowy rozwój ruchu zawodowego. Aż do czasów Roosevelta, gdy sytuacja świata pracy w ogóle radykalnie się zmieniła, cały udział robotników w amerykańskim ruchu zawodowym nie przewyższał trzech mi­lionów (wyjątkiem był rok 1920, kiedy związkom udało się ze­brać — na bardzo zresztą krótko — pięć milionów członków). w roku 1933 — był to rok najwyższego nasilenia kryzysu gos­podarczego — ilość członków związków zawodowych spadła po­niżej trzech milionów, a ilość bezrobotnych w całej Ameryce obliczano wtedy na 14 milionów. Zestawienie tych liczb najlepiej mówi o słabości ruchu zawodowego w owej epoce.

W społeczeństwie wysoce zindustrializowanym związek za­wodowy robotników, budujących mosty żelazne (ale nie beto­nowe czy drewniane!), związek prasowaczy spodni (jest i taki!) czy związek guzikarzy, tracą rację istnienia. w rezultacie obok związków i związeczków branżowych zaczęły powstawać związki przemysłowe, organizujące robotników całych gałęzi przemysłu bez względu na ich specjalności. Siłą rzeczy związki takie mu­siały stać się potężnymi organizacjami, nieraz skupiającymi setki tysięcy członków.

Warto zauważyć, że polityka takich związków wobec no­wych emigrantów musiała być znacznie liberalniejsza od polityki związków branżowych. Dążąc do organizowania całych wielkich gałęzi przemysłu, nie mogły one pomijać robotników niewykwa­lifikowanych. Przeciwnie, właśnie na takich robotników musiały zwracać szczególną uwagę. Niektóre z tych związków — jako przykład mogą tu posłużyć związki krawieckie — odegrały dużą rolę wychowawczą w stosunku do mas emigracyjnych, wybitnie przyczyniając się do podniesienia ich stopy życiowej, rozwoju kulturalnego i uświadomienia obywatelskiego. Sprawa ameryka­nizacji mas emigracyjnych wiele zawdzięcza działalności wycho­wawczej takich organizacji, jak Amalgamated Clothing Workers of America czy International Ladies’ Garment Union. Przywód­cami tych związków byli zresztą emigranci (jednym z nich jest David Dubinsky, urodzony w Łodzi).

Związki „przemysłowe” wchodziły w skład Amerykańskiej Federacji Pracy. Ale coraz częściej dochodziło do konfliktów między nimi i organizacją, w której dominowały związki bran­żowe. Te konflikty zaostrzyły się szczególnie w okresie Wiel­kiego Kryzysu i reform Roosevelta. Albowiem okres ten roz­poczynał nowy zupełnie rozdział w dziejach robotnika amerykań­skiego.

Kryzys pozbawił pracy miliony robotników. Najmocniej ude­rzył on w robotników półwykwalifikowanych i niewykwalifiko­wanych. Ale w wielu zaw’odach nawet wysokokwalifikowani członkowie branżowych związków AFofL byli bez pracy. Sama centrala osłabła: brakowało środków dla pomocy bezrobotnym, liczba członków zmniejszała się.

To zaś nie było zgodne z planami i podstawową filozofią nowego Prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta. Filozofia New Deal’u wychodziła z założenia, że *społeczne* źródła kryzysu mieszczą się w braku równowagi mię­dzy mocą wielkiego businessu a pozostałymi siłami społecznymi. Stąd, aby przezwyciężyć kryzys, niezbędne było stworzenie ta­kiego stanu równowagi. Wzór można było znaleźć w tradycji amerykańskiej. Była nim klasyczna doktryna równowagi (check and balance). w przekonaniu Roosevelta i jego doradców silny ruch robotniczy w Ameryce był niezbędny jako przeciwwaga dla potęgi świata wielkich interesów. Tylko w ten sposób stan rów­nowagi będzie mógł być osiągnięty i sam ustrój gospodarczy uratowany. Roosevelt nie był rewolucjonistą i nie myślał o oba­leniu kapitalizmu. Przeciwnie — chciał ten kapitalizm ratować przed nim samym, chciał go zmodernizować, ograniczając jego samowolę i wprowadzając na scenę amerykańską siły równo­ważące.

Do tego Roosevelt był praktycznym politykiem. Aby Partia Demokratyczna mogła się utrzymać przy władzy, musiała zdo­być dla siebie mocne oparcie w zorganizowanych masach robot­niczych. Moment był znakomity: robotnik przeklinał Hoovera i Republikanów, robotnik szukał w Demokratach obrońców swych interesów.

Pod znakiem New Deal’u powstał szereg zasadniczych ustaw, które otworzyły nowe perspektywy przed amerykańskim ruchem robotniczym. Najważniejszą z tych ustaw był Akt Wag­nera, gwarantujący robotnikom prawo swobodnego zrzeszania się w związki zawodowe z własnego wyboru oraz prawo zawierania umów zbiorowych z przedsiębiorcami. Inna ustawa — Akt Byrnes’a — uniemożliwiła przedsiębiorcom posługiwanie się środkami gwałtu i terroru wobec strajkujących.

Robotnik amerykański, dotąd niezorganizowany i od orga­nizacji, stroniący, zaczął teraz napływać do związków zawodo­wych. Ale Amerykańska Federacja Pracy z jej masą drobnych związków branżowych nie była przystosowana do wymagań no­wych czasów. z natury rzeczy rozrastały się szerokie związki przemysłowe. Zaczęły też powstawać nowe związki w gałęziach dotąd niezorganizowanych.

A równocześnie coraz bardziej pogarszały się stosunki w ob­rębie samej Federacji. Napływ nowych członków zaostrzał kon­flikty kompetencyjne, rodził nowe starcia między związkami branżowymi a przemysłowymi. Tym ostatnim było coraz ciaśniej w sztywnych ramach struktury organizacyjnej Federacji Pracy.

W listopadzie roku 1935 prezydenci ośmiu związków prze­mysłowych stworzyli komitet, do którego wkrótce przystąpiło jeszcze kilka organizacji. Grupa ta, choć formalnie wchodziła w skład Federacji, faktycznie prowadziła własną politykę. Na czele grupy stał przywódca górników, wysoce utalentowany ale jeszcze bardziej ambitny John Lewis. Tarcia wzmagały się, próby dojścia do kompromisu zawodziły, I w roku 1938 nawet formalnie rozłam stał się zupełny. Powstał Kongres Or­ganizacji Przemysłowych. Amerykański ruch zawodowy był teraz reprezentowany przez dwie rywalizujące ze sobą centrale.

Później zaszły pewne przesunięcia: Lewis (po okresie „nie­zależności”) wrócił do AFofL, wrócił do niej również potężny związek krawców damskich, kierowany przez Davida Dubinsky’ego. w CIO pozostały się jednak największe organizacje zawodowe, jak przemysłu automobilowego (przywódca Walter Reuther), stalowego, elektrotechnicznego itd.

Taka była geneza rozłamu, który przez lat dwadzieścia dzie­lił amerykański ruch robotniczy. Ale w rozłamie tym było coś więcej, niż dało się to wyrazić w tym suchym przedstawieniu faktów historycznych.

II

Rozłamy na podłożu organizacyjno-taktycznym nie są czymś wyjątkowym w dziejach ruchów społeczno-politycznych. Było ich dużo i najczęściej prowadziły do daleko sięgających i dramatycz­nych konsekwencji. Taki przecież charakter miał pierwotnie roz­łam w rosyjskiej socjalnej demokracji. w sporze między „bol­szewikami” i „mienszewikami” chodziło o sprawy natury orga­nizacyjnej.

Jednakże w rozłamach takich najczęściej kryją się poza mo­tywami organizacyjnymi jakieś bardziej istotne — choć nie zawsze jasno uświadamiane — różnice ideologiczne czy filozo­ ficzne. Czy różnice takie istniały I w amerykańskim rozłamie z roku 1935? Odpowiedź na to nie jest prosta, zwłaszcza jeżeli się szuka dla niej analogii w doświadczeniach europejskich. Ow­szem, pewne różnice istniały, a i sam rozłam prowadził do dal­szych zróżnicowań ideologicznych czy filozoficznych. Wszystko to jednak było bardzo amerykańskie i może być zrozumiane tyl­ko w powiązaniu z całokształtem życia amerykańskiego tej epoki.

Zwróćmy uwagę na to, że do tej pory ani jednym słowem nie była poruszona sprawa *politycznych* ideologii czy progra­mów amerykańskiego ruchu robotniczego. Sprawa ta jednak istniała i czas teraz na poświęcenie jej nieco uwagi.

Zacznijmy od stwierdzenia faktu, że Stany Zjednoczone nigdy nic były — a i nie są — sceną naprawdę poważnego *poli­tycznego* ruchu robotniczego. Nie znaczy to, by nie było prób tworzenia takiego ruchu. Owszem — było ich dość dużo. Wszyst­kie jednak kończyły się niepowodzeniem I w rzeczywistości były bardziej formami protestu intelektualistów, niż ruchami prawdzi­wie masowo-robotniczymi. Tak było z Amerykańską Partią So­cjalistyczną i tak było — w stopniu jeszcze większym — z Ame­rykańską Partią Komunistyczną.

Amerykańska Partia Socjalistyczna w okresie Eugeniusza Debsa potrafiła skupić pewną ilość autentycznych robotników i umiała odegrać pewną rolę w życiu amerykańskim. Jednak znaczną część tych robotników stanowili świeży emigranci z Eu­ropy — robotnicy, którzy z dawnych ojczyzn przynieśli tradycje i więzi organizacyjne europejskiego ruchu socjalistycznego. Ale — jak już o tym była mowa — w masie emigracyjnej robotnicy stanowili stosunkowo drobną mniejszość. Byli to głównie robot­nicy żydowscy i polscy, członkowie Bundu i PPS, emigrujący do Ameryki często z powodów politycznych, zwłaszcza po roku 1905. Poza tym były małe ilości robotników niemieckich, angiel­skich, czeskich i włoskich, przy czym wśród tych ostatnich wpły­wy anarchistyczne i anarcho-syndykalistyczne były silniejsze od socjalistycznych. Ustawodawstwo emigracyjne po pierwszej woj­nie światowej, zatrzymując napływ nowych mas z Europy, po­zbawiło amerykański polityczny ruch robotniczy dopływu nowych sił. Łatwo zauważyć, że jedną — choć nie jedyną — z przyczyn upadku Amerykańskiej Partii Socjalistycznej były następstwa ograniczeń emigracyjnych.

Amerykański socjalizm znacznie mocniej apelował do ame­rykańskich inteligentów niż do amerykańskich robotników. Dla inteligentów było w nim ujście dla nastrojów *protestu* przeciwko stosunkom amerykańskim i — szczególnie — przeciwko konfor­mizmowi w życiu amerykańskim. Wśród różnych nurtów tego życia nurt protestu jest zawsze widoczny i bardzo ważny. Istnie­nie jego nadaje całej cywilizacji amerykańskiej specjalny urok i pozwala pogodzić się z wielu jej przykrymi stronami. Począt­ków tego nurtu trzeba szukać w kolonialnej Ameryce i zawsze w tej czy innej formie znaleźć *go* można było we wszystkich okresach historii amerykańskiej.

Nurt ten niejednego z intelektualistów amerykańskich za­niósł do socjalizmu. Dla ludzi tych socjalizm był niejako natural­ną formą protestu przeciwko panującemu konformizmowi. Byli oni dalecy od ortodoksji socjalistycznej, by nie mówić o marksiz­mie. Pociągała ich postać Debsa, pociągało to, że socjalizm pod­nosił głos protestu przeciwko temu, co i ich oburzało. Pociągało ich wreszcie i to że socjalizm był źle widziany a przywódcy jego prześladowani. Wielu z tych inteligentów później znalazło się w pierwszych szeregach pracowników New Deal’u.

Podobnie rzecz się miała z amerykańskim komunizmem. Był on w stopniu jeszcze mniejszym, niż amerykański socjalizm, ruchem robotniczym. Komunizm kształtował się w czasach, gdy ustawodawstwo emigracyjne działało w całej pełni. Był przeto pozbawiony udziału tych sił europejskich, które kiedyś w jakiejś mierze zasiliły amerykański socjalizm. Komunizm w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim był formą inteligenckiego pro­testu.

I dlatego komunizm amerykański jest tak bardzo zjawis­kiem amerykańskim. Nawet będąc narzędziem w rękach Mos­kwy, nie przestawał on być zjawiskiem, które wyrosło na gruncie amerykańskim i które nie da się zrozumieć w oderwaniu od pod­łoża amerykańskiego.

Ci inteligenci amerykańscy, którzy szli do komunizmu, wi­dzieli w nim formę tradycyjnego protestu przeciw konformiz­mowi życia amerykańskiego. i znajdowali w partii komunistycz­nej inną postać konformizmu, do tego obostrzoną przez reguły surowej dyscypliny partyjnej. Sytuacja paradoksalna i głęboko tragiczna! Czy można się było pogodzić z tym drugim konfor­mizmem? Protestować przeciwko niemu w obrębie partii? To było beznadziejne. a więc w imię protestu trzeba było odcho­dzić. Dokąd? Czy do tego konformizmu, przed którym ucieczką miał być komunizm? Nic dziwnego, że wśród inteligencji ame­rykańskiej jest tylu byłych komunistów i nic dziwnego, że wśród nich nastroje antykomunistyczne są tak silne, ba nieraz aż do fanatyzmu. Dla ludzi tych komunizm był wielką nadzieją i jeszcze większym rozczarowaniem. Chcieli w nim widzieć tra­dycyjnie amerykańskie ujście dla swego protestu i znajdowali pułapkę nieubłaganego konformizmu. Wpadali w to, przed czym chcieli uciec. Dzieje eks-komunistycznei inteligencji amerykań­skiej to jedna z najbardziej bolesnych i tragicznych kart historii ludzkich rozczarowań i konfliktów wewnętrznych.

Wszystko to — podkreślmy ten fakt raz jeszcze — było bez porównania bardziej inteligenckie niż robotnicze. Robotnik amerykański — że pominiemy tu stosunkowo nielicznych świe­żych przybyszów z Europy — jeżeli interesował się polityką, to w ramach ogólno-amerykańskiej sceny politycznej, bardziej jako obywatel, mniej — jako robotnik. Jako robotnik, ze względu na swe interesy zarobkowe, szedł do związku zawodowego. a i to nie bez oporu, nie od razu, z wahaniami. Dopiero ostatnie lat dwadzieścia kilka naprawdę przekonały robotnika amerykań­skiego, że związek zawodowy jest mu potrzebny. Było to jednak bardzo dalekie od przyjęcia idei klasowego politycznego działa­nia zbiorowego.

W zupełnej zresztą z tym zgodzie stała i filozofia, jaka pa­nowała w Amerykańskiej Federacji Pracy. a nie była ona obca i Kongresowi Organizacji Przemysłowych. Filozofia ta odrzu­cała koncepcję politycznego działania klasy robotniczej w ra­mach samodzielnej klasowej organizacji partyjnej.

Takie przede wszystkim było stanowisko samego Gom­persa. Był on nie tylko wrogiem osobnej partii robotniczej, ale — co ważniejsza — z całą siłą konsekwentnie wypowiadał się przeciwko angażowaniu się Federacji w samodzielną akcję poli­tyczną. Odrzucał nie tylko filozofię i praktykę niemieckiego ruchu robotniczego, ale i brytyjskiego ruchu zawodowego. Amery­kańska Federacja Pracy w rozumieniu Gompersa miała bronić *zawodtrtvych* interesów robotnika amerykańskiego, zachowując neutralność w sprawach politycznych.

Nie trzeba jednak rozumieć tego zbyt przesadnie. Gompers dobrze rozumiał, że w praktyce dla obrony interesów ekonomicz­nych robotnika nie można będzie uniknąć jakiejś dozy politykowania. Zresztą — choć sam emigrant — był zanadto zameryka­nizowany, by nie interesować się politykowaniem i politykierstwem. a już najzupełniej obce mu były idee europejskiego anarchizmu czy syndykalizmu. Neutralność polityczną amerykań­skiego ruchu robotniczego rozumiał po amerykańsku i zgodnie z filozofią swej epoki.

Nie miał nic przeciwko temu, by członkowie związków indy­widualnie angażowali się w sprawy polityczne. To były sprawy osobiste każdego z nich i to było zgodne z tradycją amerykań­ską. Sam zresztą osobiście od spraw’ tych nie stronił. a wtedy chętnie rzucał na szalę ciężar swej organizacji. Składała się ona przecież z wyborców, którzy wierzyli w rozum polityczny i do­świadczenie swrego prezydenta. i Gompers w przetargach z rzą­dem i partiami mógł się zawsze powołać na to, że „kontroluje” tyle to a tyle głosów.

Wszystko to jednak odbywało się w ramach tradycyjnego systemu dwupartyjnego i nie odbiegało od metod, jakimi posłu­giwały się inne wielkie zespoły organizacyjne z wdelkim busi­nessem na czele. Gompers prowadził grę, lawirując między obu wielkimi partiami, z żadną na stałe się nie wńążąc, zawsze za­chowując „neutralność”, ale przez najrozmaitsze manewry po­zyskując ich poparcie dla planów Federacji. w praktyce Fede­racja, kierowana przez Gompersa, stała się jedną z wielu „pres­sure groups”, tak pospolitych w Waszyngtonie I w całych Sta­nach Zjednoczonych.

Nie zmieniło się to i po śmierci Gompersa. Jego następcy

wiernie stali na straży wskazań swego wielkiego mistrza. Trzy­mali się ich nie tylko przywódcy Federacji, ale i wielkich związ­ków przemysłowych skupionych w CIO. w rzeczywistości na polu politycznym taktyka CIO mało czym się różniła od taktyki AFofL. Były jednak pewne różnice, bardziej natury praktycznej niż ideologicznej.

CIO skupił wielkie organizacje, obejmujące najprzeróżniej­sze kategorie pracowników danej gałęzi przemysłu. Objął on na­wet te kategorie, dla których w Polsce przyjęła się nazwa „pra­cowników umysłowych”, a które w Ameryce są określane jako „white collar workers”. Taki skład członków nic mógł nie mieć wpływu i na zasadniczą filozofię organizacyjną i taktyczną centrali. Związki wąsko-branżowe siłą rzeczą tworzyły teren dla zwężenia horyzontów myślowych, dla zacieśniania się w ram­kach bezpośrednich interesów specyficznego zawodu czy małego zespołu. Związki przemysłowe musiały» obejmować zagadnienia szersze, nie mogły swej akcji sprowadzać wyłącznie do spraw ciasno-zawodowych.

Nie było też rzeczą przypadkową, że na czele tych związ­ków stanęli ludzie innego typu niż Gompers i jego następcy. Niektórzy z przywódców CIO mieli za sobą przeszłość socjalis­tyczną, bądź jeszcze europejską, bądź ze szkoły Debsa. Byli wśród nich dawni „bundowcy” polscy i rosyjscy, było paru „mienszewików” (Dubinsky w młodości był członkiem „Bundu” w Łodzi. Zresztą Dubinsky dość szybko wrócił do AFofL.). Walter Reuther jest synem socjalisty i po dziś dzień nie kryje się ze swymi socjalistycznymi sympatiami.

Nie wynika z tego, by przywódcy związków przemysłowych w jakimś istotnym stopniu łączyli swe *osobiste* sympatie socja­listyczne ze sprawami swych organizacji. Byli ludźmi doświad­czonymi, znali dobrze Amerykę i amerykańskich robotników i nie mieli złudzeń co do następstw prób kierowania ruchu za­wodowego na tory socjalistyczne. Ale to podłoże ideologiczne, wolne od doktrynerstwa, pozwalało im widzieć zagadnienia sze­rzej i niewątpliwie sprawiło, że w akcji związkowej byli wolni od tych zacieśnień i ograniczeń, jakie cechowały AFofL.

I to zapewne dla wodzów CIO było ułatwieniem w odgry­waniu tej wielkiej roli, jaka mi przypadła w udziale w epoce administracji Roosevelta i szczególnie w czasach New Deal’u. Wtedy to powstał sojusz między amerykańskim światem pracy a Partią Demokratyczną.

Jak wiemy, silny ruch zawodowy był jedną z przesłanek, na których opierał się program New Deal’u modernizacji spo­łecznej amerykańskiego życia gospodarczego i amerykańskiego businessu. Partia Demokratyczna dążyła też do rozszerzenia swej bazy wyborczej w masach robotniczych. z drugiej strony związki zawodowe rozumiały, że w programie New Deal’u mieszczą się wielkie obietnice dla świata pracy i że poparcie dla Roosevelta i Demokratów leży w interesie robotnika. Były więc

wszelkie dane, że sojusz stanic się trwały i korzystny dla obu stron.

W tych to latach następuje bardzo znaczny wzrost liczebny związków zawodowych. w roku 1940 liczyły one łącznie 8,5 miliona członków (w roku 1933 — niecałe trzy miliony). Wzrost ten postępował z coraz większą mocą w latach wojny. w roku 1945 15 milionów robotników było zorganizowanych. w chwili obecnej połączone AFofL i CIO liczą 15 milionów członków, a pewna ilość robotników jest zorganizowana w związki, nie należące do wielkich central (na przykład „Bractwa” kolejarzy). Do historii przeszła rola, jaką w czasach Roosevclta odegrał znakomity przywódca CIO — Sidney Hillman.

CIO pociągnęła za sobą i AFofL. i ta centrala weszła do wielkiej koalicji z Demokratami. Ale właściwa inicjatywa i akcja były głównie w rękach CIO i wielkich związków przemysłowych.

Wszystko to wymagało rewizji tradycyjnej filozofii neutralizmu politycznego. Rewizja taka nie była rzeczą ani prostą ani łatwą. i nie poszła ona zbyt daleko: miejsce dawnego lawiro­wania między obu partiami zajął sojusz z jedną z nich. w żad­nym zaś razie nie mogło być mowy o tworzeniu jakiejś nadbu­dówki politycznej nad ruchem zawodowym, w rodzaju angiel­skiej Labour Party, zwłaszcza we wczesnym okresie jej dziejów. Teg'o nikt nie chciał — ani robotnicy, ani administracja i Demo­kraci. i tego bali się przywódcy związków. Jak zresztą można było mówić o jakiejś ogólno-robotniczej nadbudówce politycznej, skoro ruch zawodowy był rozbity?

Prawda że CIO — a później i AFofL — tworzyły pewne specjalne organy dla prowadzenia akcji politycznej (Political Action Committee CIO itp.). Głównym jednak ich celem byki działanie przedwyborcze, mobilizowanie członków do udziału w wyborach. i choć CIO I w tym wykazywał więcej inicjatywy, był śmielszy i bystrzejszy w swych pomysłach niż AFofL, to i on nie odchodził od zasadniczej linii, jakiej w Ameryce trzyma się każda polityczna czy politykująca „pressure group”.

Jeżeli więc między obu centralami zachodziły różnice poli­tyczne, to były one bardziej natury taktycznej niż głęboko- ideologicznej. a w każdym razie nie były to różnice tak wielkie, by musiały prowadzić do zasadniczych konfliktów. Największe różnice bvły nadal natury organizacyjnej — „branżowy” czy „przemysłowy” charakter organizacji. Ale nawet i te różnice w praktvce coraz częściej się zacierały. w AFofL był cały sze­reg wielkich związków przemysłowych, żeby wymienić tylko gór­ników i krawców damskich. i kierownictwo tej centrali coraz lepiej rozumiało, że przyszłość należy do wielkich związków przemysłowych i że różnice sprzed lat dwudziestu stają się bezsensowne. Na przeciąganiu się rozłamu najwięcej tracił sam robotnik. Obie strony były gotowe do ponownego wstąpie­nia w związki małżeńskie.

Ale — jak to bywa I w pożyciu małżeńskim — małe spra-wy nieraz bywają źródłem największych niesnasek i trudności. a w danym wypadku takich małych spraw było dużo, niektóre zaś z nich były szczególnie przykre i irytujące. Że zaś właśnie takie sprawy często bywają najmniej powabne, przeto ta część naszej opowieści będzie miała za temat rzeczy wysoce niebudujące i wysoce nieprzyjemne. Mówiąc o amerykańskim ruchu zawo­dowym, nie można pominąć tak zwanego „union racket”, zwłaszcza że „małe sprawy stanowią tu raczej powierzchnię, pod którą kryją się sprawy i zagadnienia znacznie poważniejsze i ogólniejsze.

III

Dla użytku czytelników, mniej obznajmionych z subtelno­ściami mowy amerykańsko-angielskiej, muszę dać pewne wyjaś­nienie językoznawcze. Słowo „racket”, które każdy słownik określa jako „wrzask” czy „zgiełk”, na terenie amerykańskim przybrało dość specyficzne znaczenie. Mam wrażenie, że słowo „granda” najlepiej wyraża treść słowa „racket” tak jak jest ono używane w Stanach Zjednoczonych. Ma ono co prawda jeszcze parę innych znaczeń (na przykład „what is your racket” w sensie „czym się zajmujesz”), ale te możemy tu pominąć. Inaczej — wyrażenia „union racket” i „granda związków zawo­dowych” będziemy traktować jako równoznaczne.

Dla omówienia owej „grandy związków zawodowych” musimy znów zwrócić się do historii. We wszystkich kapitalistycz­nych krajach świata początkowy okres uprzemysłowienia się szedł w parze z bardzo zaostrzonymi konfliktami klasowymi. Konflikty te nierzadko przybierały szczególnie brutalne formy. Bodaj jednak nigdzie nie były one tak brutalne jak w Stanach Zjednoczonych. i bodaj nigdzie nie były one tak długotrwałe. Aż do czasów New Deal’u rozwojowi uprzemysłowiania się w Stanach Zjednoczonych towarzyszyły krwawe akty terroru, rozprawy, w których rewolwer był głównym argumentem.

Gwałt był stosowany wszechstronnie. Stosowali go przemy­słowcy wobec robotników, stosowali go zresztą i wobec swych- konkurentów-przemysłowców. Stosowali go robotnicy wobec przemysłowców, a często i wobec emigrantów i wobec rywalizu­jących grup robotniczych. Gwałt po jednej stronie rodził gwałt po stronie drugiej. Uważane to zresztą było za normalne. Duch Pogranicza głęboko przeniknął do stosunków w świecie przemy­słu amerykańskiego, tworząc atmosferę, która bliższa była „Dzi­kim Polom” Polski wieku XVII-go, niż przemysłowej Europie wieku XIX.

Sir Arthur Conan Doyle w „The Valley of Fear” starał się dać obraz tych stosunków w amerykańskim osiedlu górniczym w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Ale Sir Arthur był w tym daleki od bezstronności. Całą winę przypisuje górnikom, a bohaterem robi detektywa z agencji Pinkertona. w rzeczywi­ stości słynna agencja Pinkertona ma ciemną kartę w annałach dziejów amerykańskiego rozwoju przemysłowego. Była ona na­rzędziem terroru, jaki przemysłowcy stosowali wobec robotni­ków. Jeszcze na początku XX wieku wiele potężnych przedsię­biorstw miało swoje bojówki, których zadaniem było rozprawia­nie się z krnąbrnymi robotnikami, ich organizacjami i przywód­cami. Stary Ford celował pod tym względem i nie cofał się przed użyciem najbardziej brutalnych środków dla złamania swych robotników. a Ford nie był ani wyjątkiem, ani najbrutalniejszym z wielkich businessmanów tego okresu.

Robotnicy ze swej strony odpowiadali terrorem. Agencji Pinkertona i fabrycznym „policjom” przeciwstawiali własne bo­jówki. Trudno odpowiedzieć na pytanie, kto tu zaczynał i co było akcją, a co reakcją. Atmosfera była taka, że bez względu kto zaczynał pierwszy, bomby, rewolwery i pałki gumowe były puszczane w ruch.

W rzeczywistości w tym walkach bojówek ofiarami po obu stronach byli robotnicy. Bojówki organizacji robotniczych wal­czyły z łamistrajkami, z „policjantami” fabrycznymi (a i to prze­cież byli robotnicy!), często z bojówkami rywalizujących orga­nizacji zawodowych. Niewesołą w tym wszystkim rolę odgrywali nowi emigranci, łapiący się każdego zarobku, wrogo usposobie­ni do związków (które ze swej strony okropnie odnosiły się do nich) i obojętni wobec żądań robotniczych. Były to czasy za­ostrzonego antagonizmu między „autochtonicznymi” robotnika­mi amerykańskimi a napływającymi masami emigracyjnymi. To, że ten „autochtonizm” był bardzo świeżej daty, nie miało zna­czenia.

Gdzie panują takie stosunki, tam zaciera się granica mię­dzy tym, co da się określić jako ideowość, a tym, co jest zwykłym bandytyzmem. Dzieje organizacji bojowej PPS po roku 1905 dostarczają tu pouczających przykładów. w atmo­sferze życia amerykańskiego owych czasów wyglądało to znacz­nie gorzej. i bez walk w przemyśle warunki życia w miastach amerykańskich sprzyjały rozwojowi przestępczości. Walki prze­mysłowe związały szereg — zwłaszcza mniejszych — organizacji zawodowych z bandytyzmem.

A bandytyzm wiązał się z lokalnym politykierstwem, z ko­rupcją policji, z nadużyciami wszelkiego gatunku. Nawet dziś w wielu miastach amerykańskich liczne nici łączą lokalną poli­tykę i miejscową policję ze światem przestępczym. a cóż do­piero lat temu kilkadziesiąt, gdy Lincoln Steffens piętnował „hańbę miast amerykańskich”! Demoralizacja sięgała daleko i głęboko.

Wzmogła się w czasach Prohibicji, gdy nowa fala korupcji i bezprawia zalała całe życie Stanów Zjednoczonych. Wielu bojówkarzy po obu stronach zabrało się do bardziej intratnej pro­fesji „bootleggerstwa”. a to też nie pozostawiało na stronie niektórych lokalnych związków i ich przywódców. Słowem, z każdej strony pewne związki ocierały się o zwykły bandytyzm. Jeżeli kiedyś znajdzie się historyk, który podejmie się opraco­wania dziejów słynnego Lepke Buchaltera, założyciela i kierow­nika „firmy bandyckiej” Murder Inc. (skończył na krześle elek­trycznym, ale tradycja jego jest wciąż żywa w pewnych dziel­nicach Brooklynu), to można będzie otrzymać pasjonujące stu­dium, oświetlające niejedną stronę życia amerykańskiego pew­nej epoki.

To jednak była tylko jedna strona „grandy związków zawo­dowych”. a drugą stroną był klikowy charakter wielu związ­ków i związeczków. Małe organizacje, zazdrośnie strzegące swe­go monopolu w danej specjalności (jakże często arcyspecjalnej!), łatwo przeobrażały się w kliki, rządzone przez „bossów” naj­gorszego rodzaju. „Bossizm” — ta jedna z plag amerykańskie­go życia publicznego — kwitł (a i wciąż kwitnie) w wielu związkach. Wytworzyła się sytuacja, w której dla kandydata dostanie się do pewnych zawodów jest rzeczą niemożliwą czy prawie niemożliwą. Nie dostanie pracy bez wstąpienia do zwią­zku, a związek nie przyjmuje nowych kandydatów. w wielu wy­padkach wymagane są bardzo wysokie opłaty wstępne, w in­nych wypadkach przyjęcie do związku zależy wyłącznie od woli „bossa”, od tego, czy w ten albo inny sposób uda się pozy­skać jego życzliwość.

Prasa amerykańska wciąż pisze o tym, co dzieje się w zwią­zkach tragarzy portowych New Yorku i wielu innych miast wschodniego wybrzeża. Są to rzeczy fantastyczne. Bandytyzm i korupcja tworzą tam zgodną parę. i mimo wszelkie wysiłki wciąż nie dają się wytępić. a kariery wielu bossów! I o nich prasa dużo pisze. Jak choćby o tym, który w „swoim” związku ma.*statutowo* zapewnioną dożywotnią prezesurę z pensją, o któ­rej marzyłby najznakomitszy profesor amerykański. Najgorsze formy patronalizmu przyjęły się na terenie niejednego amerykań­skiego związku zawodowego.

Byłoby wielką niesprawiedliwością przerzucać na robotnika amerykańskiego całą odpowiedzialność za wytworzenie się ta­kich stosunków. Anomalie w amerykańskim ruchu zawodowym są poszczególnym przypadkiem szerszych anomalii, charaktery­zujących cały rozwój społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. Po­granicze i jego wpływy, metody eksploatacji kolosalnego kon­tynentu, gorączkowy i chaotyczny rozwój wielkich miast, emi­gracja i migracje wewnętrzne, swoiste warunki rozwijania się systemu partyjnego — wszystko to miało swój wpływ na ano­malie amerykańskiego rozwoju historycznego. Była to jedna z cen, jakie Ameryka musiała płacić za rozwój swych demokra­tycznych instytucji. Były to anomalie plebejskiej demokracji. Stąd jednak wcale nie wynika, by anomalie systemów niedemo­kratycznych były bardziej niewinne i przyjemniej pachnące! Tak z pewnością nie jest. a demokracja w każdym razie zostawia szerokie możliwości dla inicjatywy społecznej w walce ze swy­ mi anomaliami. i walkę taką demokracja amerykańska pro­wadzi.

Trzeba przyznać, że „granda związków zawodowych” na terenie AFofL przedstawiała się zacznie gorzej niż na terenie CIO. Nie oznacza to, by ta ostatnia centrala we wszystkich wy­padkach zachowywała biel gronostaja. Ale skandale, jeżeli i tam się trafiały, były stosunkowo nieliczne, spotykały się z ostrą reakcją kierownictwa i członków, były tępione. CIO już przez sam swój charakter organizacyjny, przez „przemysłowość” i ma­sowość swych związków, był lepiej zabezpieczony przed „racketem”, niż jego rywalka. Poza tym większość związków CIO powstała stosunkowo niedawno, w czasach, w których for­my walki klasowej zaczęły gruntownie się zmieniać. 1 wreszcie ludzie, którzy stali na czele CIO, reprezentowali nowy typ działaczów związkowych — bardziej ideowych, o szerszych horyzon­tach myślowych, o dużej uczciwości osobistej.

Naturalnie I w obrębie AFofL nie brakło sil, które starały się położyć kres „racketowi”. Dubinsky pod tym względem ma bardzo ładną kartę. Ale nie była to sprawa łatwa. „Granda” miała tak wielkie rozgałęzienia, sięgała tak głęboko, że wytępić ją z korzeniami było czymś nieprawdopodobnie trudnym. i to było ważnym czynnikiem, utrudniającym porozumienie między AFofL i CIO.

Rozejście się obu grup było na gruncie organizacyjnym. Prawda, że w tej materii zasadnicze rozbieżności dawały się usunąć. Jeżeli jednak w zasadzie było to proste, to w praktyce trudniej było z pozornie drobnymi sprawami kompetencyjnymi. Wielkim związkom nieraz więcej kłopotu, niż samemu przedsię­biorcy, sprawiały małe związki branżowe, działające na terenie danego przedsiębiorstwa, prowadzące własną politykę, parali­żujące poczynania większych organizacji. Te spory kompetencyj­ne stały się istotną plagą życia amerykańskich związków zawo­dowych i bez usunięcia tej plagi trudno było mówić o istotnym połączeniu i prawdziwym współdziałaniu.

A wreszcie była sprawa „grandy związków zawodowych”. Dla CIO była to sprawa zasadnicza. Przywódcy Kongresu chcieli połączenia, domagali się jednak, by partnerzy „oczyścili swój dom”. CIO powoływał się na to, że usunął związki komunizujące (związki takie zresztą były I w AFofL) i wszystkich, którzy byli podejrzani o „racket”. CIO niewątpliwie „oczyścił swój dom”. Dom ten zresztą nie był specjalnie brudny i sprzątnąć go nie wymagało nadmiernych wysiłków.

Inaczej było w AFofL. Zwykłe sprzątanie nie mogło tu wy­starczyć. Korupcja sięgała bardzo głęboko i miała rozległe roz­gałęzienia. Trzeba było usuwać całe związki i usuwać bossów. Trzeba było odcinać pewne organizacje i pewnych ludzi od po­wiązań z brzydko pachnącymi aferami pozazwiązkowymi. i trze­ba było zrobić jakiś porządek w zakresie spraw kompeten­cyjnych.

To nam tłumaczy, dlaczego tyle czasu musiało upłynąć za­nim obie centrale ponownie wstąpiły w związki małżeńskie, zerwane przed dwudziestu laty. AFofL oczyściła swój dom. Jak dalece to się jej powiodło, o tym powie nam przyszłość. w każ­dym razie proces czyszczenia posunął się naprzód na tyle, że CIO uznał, iż może przystąpić do fuzji.

W ten sposób powstała nowa centrala, licząca łącznie 15 milionów członków (około 2 milionów zorganizowanych robotni­ków amerykańskich jest wciąż poza obrębem centrali). w obrę­bie nowej centrali związki przemysłowe będą stanowiły grupę autonomiczną, na której czele stanął Walter Reuther, dotych­czasowy przewodniczący CIO.

Piętnaście milionów jest grupą bardzo potężną. Co prawda jest to wciąż mniejszość w amerykańskim świecie pracy, który liczy się na około 60 milionów zatrudnionych. Ale połączenie powinno stworzyć nowe możliwości organizacyjne, powinno wzmóc szanse przenikania związków zawodowych w nowe tere­ny, dotąd słabo lub wcale nie zorganizowane.

Jakie mogą być dalsze perspektywy tej fuzji AFofL i CIO? Nie łatwe to pytanie. i aby na nie odpowiedzieć, wypadnie nam postawić inne — bodaj jeszcze trudniejsze pytanie: czym jest robotnik amerykański? o tym teraz pomówimy.

IV

W roku 1940 znany „magazyn” „Fortune” przeprowadził rozległe badanie terenowe, którego zadaniem było ustalenie, do jakiej kategorii społeczno-majątkowej zaliczają siebie obywatele Stanów Zjednoczonych. Równocześnie odpowiedzi osób bada­nych były konfrontowane z ich *obiektywną* sytuacją życiową. Badanie, które objęło wszelkie środowiska i klasy społeczne Sta­nów Zjednoczonych, było później ponawiane, co jednak nie przyniosło zmian zasadniczych w stosunku do wyników z roku T94°-

A były to wyniki bardzo interesujące. Stwierdzały one, że prawie 80 procent osób badanych zaliczyło siebie do „średniej” klasy majątkowej. o swym majątkowym „średniactwie” mówili ludzie obiektywnie ubodzy (bezrobotni, niewykwalifikowani ro­botnicy rolni), mówili i ludzie bezspornie zamożni, nawet — bo­gaci. Wśród osób, które w świetle danych obiektywnych nale­żało by zaliczyć do kategorii „zamożnych”, aż 74,7 procent na­zwało się „średnimi”. Wśród osób, które obiektywnie znajdo­wały się u spodu drabiny majątkowej, 4.5 procent zaliczyło sie­bie do klasy „wyższej”, a 70,3 procent do klasy „średniej”.

Gdy chodzi o ludzi obiektywnie biednych, można by tu było mówić o typowym optymizmie Amerykanina. Cóż z tego, że dziś nie mam pieniędzy — jutro mieć je będę. Mogę więc już dziś zaliczyć siebie do wyższej kategorii majątkowej. Ale nie da się to powiedzieć o ludziach zamożnych, którzy siebie zaliczyli do „średniaków”. Czyżby w danym wypadku działał tu pesy­mizm? — z pewnością — nie! I w wypadku ludzi obiektywnie ubogich i obiektywnie zamożnych działały tu inne czynniki, nie­zmiernie ważne dla całego oblicza cywilizacji amerykańskiej.

Pytania „Fortune” tyczyły się sytuacji majątkowej osób badanych. Samo jednak pytanie było sformułowane nieco ina­czej: pytano się o „klasę”, do której dana osoba siebie zalicza. w tym miejscu pewne wyjaśnienia są niezbędne.

W Stanach Zjednoczonych z pojęciem klasy wiązane są inne treści niż w Starej Europie. w Ameryce „klasa” to klasa majątkowa, to sprawa przynależności do grupy o tym samym czy zbliżonym dochodzie czy majątku. w Europie z pojęciem klasy łączą się określone treści *społeczne,* łączy się obraz pozy­cji osobnika w całym układzie społecznym danego narodu. Dla Amerykanina miernikiem udziału osobnika w danej klasie jest jego dochód czy majątek. Europejczyk wprowadza tu jeszcze szereg innych rozróżnień. Inaczej, dla Europejczyków dochód i majątek same przez nie są jeszcze miernikami przynależności klasowej. Do nich muszą się jeszcze dołączyć i inne mierniki. Dla marksizmu zasadniczym takim miernikiem jest rola w pro­cesie produkcji i, wynikający z niej, *typ* sytuacji własnościowej.

Ma to szczególne znaczenie gdy chodzi o robotników — w Europie I w Ameryce. Europejski proletariat przemysłowy ro­dził się w ramach społeczeństwa o żywych tradycjach feudalnych, społeczeństwa, w którym utrzymywały się warstwice społeczne, każda o określonym charakterze społeczno-kulturalnym, o okre­ślonych funkcjach gospodarczych, o określonych zadaniach i ro­lach w całokształcie życia zbiorowego. Niewątpliwie rewolucja przemysłowa burzyła ten system. Ale — zwłaszcza w początko­wych swych stadiach — odbywała się w jego ramach, a I w cza­sach późniejszych wiele z niego zachowała.

Inaczej było w Ameryce. Taki system warstwicowy tu się nie rozwinął. Rewolucja przemysłowa odbywała się w ramach społeczeństwa plebejskiego, społeczeństwa o wielkiej ruchliwo­ści społecznej i topograficznej, wysoce demokratycznego, obce­go tym systemom wartościowań społecznych, jakie od tysiąc­leci istniały w Europie.

Zilustrujmy to przy pomocy prostych przykładów. Wyobraź­my sobie, że w Polsce przedwojennej (nie wiem, jak to wygląda w Polsce obecnej, ale nie sądzę, by zaszły tam pod tym wzglę­dem istotne zmiany) nauczyciel gimnazjalny rzucił swój zawód i został na przykład szoferem auta ciężarowego. Przy czym mo­tywem jego postępowania byłoby to, że szoferka jest znacznie lepiej płatna od nauczycielstwa. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że decyzja taka spotkałaby się z powszechną dezaprobatą. Czło­wiek, który rzucił nauczycielstwo dla szoferki, byłby uznany za *zdeklasowane go.* Pociągnęłoby to za sobą dla niego daleko idą­ce konsekwencje społeczne i towarzyskie. Znajomi by się od niego odsunęli, byłby traktowany jako wykolejeniec, jako czło­wiek, który stracił swe dawne miejsce w społeczeństwie.

Przykład ten nic został wybrany dowolnie. Szkolnictwo amerykańskie przeżywa dziś ostry kryzys. Jednym z jego aspek­tów jest masowa ucieczka nauczycieli do lepiej płatnych zawo­dów, zwłaszcza do szoferstwa ciężarowego. Prasa woła, że nau­czycielom trzeba dać lepsze warunki materialne, bo sytuacja za­czyna być groźna. Nikogo jednak nie dziwi fakt zamieniania nauczania na prowadzenie ciężarówki. To jest w zupełności uzasadnione, skoro szoferka daje lepsze wyniki materialne. Były nauczyciel-szofer nie jest uważany za człowieka zdeklasowanego, który stracił swe miejsce społeczne. Przeciwnie — skoro zara­bia lepiej, osiągnął awans społeczny. Wartościowanie, tak typo­we dla Europy, dla Amerykanina jest niezrozumiale.

Jak tysiące studentów amerykańskich, syn moich przyjaciół pracował latem jako kelner w restauracji miejscowości uzdro­wiskowej. Matka jego napisała o tym swej dawnej służącej w Polsce. Reakcja była następująca: „Spłakałam się ze zmart­wienia. Jak Jaśnie Pani mogła dopuścić, żeby nasz Panicz miał po kim zbierać brudne talerze!” Nie wiem, czy ta polska prolctariuszka jest członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robot­niczej. Zapewne jest członkiem jakiegoś związku zawodowego w Polsce. Ale reakcja jej na wiadomość o kelnerstwie panicza najlepiej mówi o różnicach między dwiema mentalnościami i dwiema cywilizacjami — jednej starego świata i drugiej świata nowego...

Jak 80 procent obywateli Stanów Zjednoczonych, robotnik amervkański uważa sichie za członka klasy „średniej”. To „średniactwo” wyraża ideał Amerykanina — być takim jak i wszyscy inni, być jednym w masie ludzkiej, nie spadającym poniżej poziomu, ani nie wybijającym się nad poziom. Tylko demokracja plebejska mogła stworzyć taki ideał i przyswoić go milionom ludzi. Robotnik amerykański jest kością kości i krwią krwi demokracji plebejskiej.

Robotnikowi temu obce jest to, co w innych częściach świa­ta określane jest jako „świadomość klasowa proletariatu”. Nie uważa siebie za „proletariusza”, albowiem nie widzi siebie jako członka specyficznej grupy ludzkiej, społecznie wydzielonej spo­śród grup innych i upośledzonej.

Nie wynika z tego, by robotnik amerykański w jakiś spo­sób nie definiował swej sytuacji w społeczeństwie jako członka określonej gromady ludzkiej. Zalicza siebie do „świata pracy” (American labor), traktuje to jednak jako *konsekwencję wyko­nywania określonego zawodu* (job), nie zaś jako określoną *sytu­ację klasową* w sensie europejskim. Jeżeli dobrze zarabia, praca, którą wykonywuje, daje mu wyróżnienie otoczenia, daje mu pres­tiż. Jak kaźcie zajęcie, które przynosi powodzenie materialne. Dobrze zarobkujący szofer jest w Ameryce wyżej ceniony niż źle zarobkujący nauczyciel. Fakt, że długoletni boom dał robot­ nikom amerykańskim, szczególnie wysokokwalifikowanym, wy­jątkową zamożność, przyczynił się wybitnie do wzmocnienia się w tych robotnikach poczucia swego stanowiska społecznego i au­torytetu. Tu też jedna z ważnych przyczyn rozwoju związków zawodowych: robotnik amerykański słusznie łączy swój sukces materialny i tym samym wzrost swego prestiżu społecznego z działalnością związków zawodowych. Związki te okazały się sukcesem, albowiem każdemu ze swych członków zapewniły suk­ces w jego życiu indywidualnym. Za to robotnik jest im wdzięcz­ny I w swej przynależności do nich widzi źródło swej siły i dumy.

Fakt dominowania kryterium powodzenia materialnego ułat­wia też życiowe kontakty robotnika amerykańskiego z innymi kategoriami socjalnymi i sprawia, że robotnik nie czuje się człon­kiem jakiejś zamkniętej klasy czy warstwy. Nie oznacza to, by nawet najlepiej zarabiający mechanik fabryki automobilów był przyjmowany w każdym domu swych sąsiadów i miał dostęp do każdego środowiska społecznego. Ale skala jego kontaktów to­warzyskich w obrębie klasy „średniej” jest nieskończenie rozleglejsza niż jego europejskiego towarzysza. a ludzie, z którymi się styka towarzysko, bez względu na swój zawód nie różnią się od niego ani pod względem stylu życia, ani pod względem ideałów, zainteresowań czy wykształcenia. Poza tym w żadnym chyba kraju na świecie nie panuje taka łatwość w przecho­dzeniu z zawodu do zawodu, od kondycji socjalnej do kondycji socjalnej, jak to ma miejsce w Ameryce. Dzisiejszy robotnik jutro, jeżeli mu się powiedzie, może przejść do businessu albo do polityki i, jeżeli znów tu mu się powiedzie, może zająć czołowe miejsce w hierarchii społecznej. a cóż dopiero mówić o dzie­ciach jego, jeżeli zdobędą odpowiednie wykształcenie czy inne kwalifikacje, dające wysokie zarobki. w Ameryce pochodzenie ma nieskończenie mniejsze znaczenie (chyba że się jest Murzy­nem!), niż zeznanie podatkowe — ten widomy sprawdzian suk­cesu. Toteż nikt nie usiłuje zacierać śladów swych skromnych początków’, przeciwnie — są one nieraz podkreślane i to z dumą, gdyż skala wzniesienia się na drabinie społecznej świadczy o zdolnościach i energii jednostki, świadczy o rozmiarach suk­**cesu.**

To wszystko nam tłumaczy, dlaczego wszystkie próby two­rzenia w Stanach Zjednoczonych robotniczych partii politycznych kończyły się zupełnym niepowodzeniem. Pomijając świeżo przy­byłych z Europy, masy robotników' amerykańskich nie tylko nie odczuwały potrzeby zakładania takich partii, ale i do samej ich idei odnosiły się nieufnie. Związki zawodowe — tak, ale nie partie polityczne! Robotnik amerykański ceni związek zawodo­wy jako skuteczne narzędzie osiągania celów bezpośrednich i do­raźnych — zabezpieczenia pracy już posiadanej, zdobycia lep­szych warunków. o to walczy, jak o to samo wralczy *każdy* Amerykanin bez względu na to, jaka jest jego sytuacja mająt­kowa i społeczna. Do tego jednak osobna partia robotnicza nie jest potrzebna. Przeciwnie, partia taka podkreślałaby tylko od­rębność robotnika, odsuwałaby go od innych Amerykanów, od innych ludzi,.średnich”.

I dlatego to marksizm nie mógł do niego przemówić. Nie przemówił jako marksizm partii socjalistycznej i nie przemówił jako marksizm komunistyczny. Amerykańska Partia Socjalis­tyczna mogła przynajmniej liczyć na robotników świeżo przyby­łych z Europy, którzy ze Starego Świata przynieśli dawne tra­dycje i stare więzi partyjne. Partia komunistyczna — produkt czasów późniejszych — i na to liczyć nie mogła. Naiwna dok­tryna, że proletariat jest wszędzie proletariatem, uniemożliwiła jej zrozumienie postaw i filozofii robotniczych mas amerykań­skich. i masy te nigdy za komunizmem nie szły.

**V**

Coś podobnego mogło mieć miejsce tylko w Stanach Zjed­noczonych. Robotnik amerykański mógł być produktem Ameryki i tylko Ameryki. Jego doświadczenia nic dadzą się przenieść na teren żadnego innego kraju świata.

Cztery fakty miały tu znaczenie decydujące:

Ameryka nie jest krajem, ale wielkim kontynentem.

Kontynent ten wciąż jest bardzo słabo zaludniony.

Kontynent ten jest zaopatrzony w prawie wszystkie zasoby naturalne I z natury fantastycznie bogaty.

Rozwój historyczny narodu amerykańskiego był zupełnie specyficzny. Był to rozwój demokracji plebejskiej, wolnej od instytucji feudalnych i tradycji feudalizmu.

W ramach tych czterech zasadniczych faktów odbywała się amerykańska rewolucja przemysłowa, nie mająca na swej drodze tych przeszkód prawno-obyczajowych, jakie musiały pokonywać rewolucje przemysłowe w Starym Swiecie. Jedyną przeszkodą była niewolniczo-plantatorska gospodarka na Południu. Wojna Domowa i tę przeszkodę usunęła.

Rewolucja ta była finansowana przez inwestycje kapitałów europejskich i przez napływ taniej siły roboczej ze Starego Świa­ta. Jedno i drugie wyznaczyło oblicze wczesnego okresu indu­strializacji Stanów Zjednoczonych. Był to zarazem okres naj­ostrzejszych tarć klasowych i okres największego wyzysku mas pracujących. „Union racket” zrodził się w tych czasach. Okres ten zakończył się po pierwszej wojnie światowej, a Wielki Kry­zys roku 1929 przyniósł początek nowej ery.

Pierwsza wojna światowa odwróciła stosunek gospodarczy Ameryki i Europy. Stany Zjednoczone z wielkiego dłużnika Europy stały się jej wierzycielem. z kraju, w którym się inwe­stowało, stały się krajem, który inwestował gdzie indziej. Przede wszystkim jednak inwestował u siebie.

Nowe ustawodawstwo emigracyjne zamknęło okres napływu taniej siły roboczej. Proces amerykanizacyjny emigrantów mógł się teraz odbywać swobodnie, a związki zawodowe mogły prze­stać obawiać się konkurencji świeżych przybyszów. Dało to im silne podstawy i — gdyby nie Wielki Kryzys — otwierało nowe perspektywy.

Wielki Kryzys był kolosalnym wstrząsem ekonomicznym i moralnym. Roosevelt był tym, który Amerykę z niego wypro­wadził. New Deal doprowadził do społecznej modernizacji życia gospodarczego. a równocześnie New Deal powołał związki za­wodowe do aktywnego udziału w kierowaniu gospodarką i lo­sami narodu.

Druga wojna światowa możliwości te rozwinęła jeszcze bar­dziej. Rozpoczął się długi okres boomu, dającego Ameryce do­brobyt, jaki nie miał sobie równych w jej historii. Nigdy bowiem w dziejach Stanów Zjednoczonych przez tyle lat nie było tak pełnego zatrudnienia i tak wysokich zarobków.

Od czasów New Deal’u sytuacja prawna robotnika uległa zasadniczej zmianie. Niewątpliwie słynny Taft-Hartley Act wniósł ograniczenia ze szkodą dla interesów robotniczych. Ale podstawowe zdobycze naruszone nie były. Boom zaś dał ekono­miczne uzasadnienie dla kolosalnych zdobyczy w zakresie podnie­sienia stopy życiowej i zabezpieczenia przyszłości. Fakt, że w chwili obecnej na czoło żądań robotniczych wysunął się po­stulat rocznej gwarancji płacy, najlepiej mówi o rozmiarach zdo­byczy amerykańskiego świata pracy w dobie wielkiego boomu. w niektórych umowach zbiorowych postulat ten został już wpro­wadzony jako norma obowiązująca. a niewątpliwie na nim nie skończą się dalsze osiągnięcia, jakie w przyszłości będą sobie stawiać za cel amerykańskie związki zawodowe.

Oczywiście każda z tych zdobyczy przychodzi nie od razu i nie łatwo. Przedsiębiorcy stawiają opór, ale opór ten w więk­szości wypadków jest bardziej sprawą nawyków niż prawdziwych zasad i rzeczywistej konieczności. Szczególnie młodsza generacja wodzów amerykańskiego wielkiego businessu pogodziła się z fak­tem, że nie można iść przeciwko związkom zawodowym, że robotnik stał się de facto partnerem w wielkim procesie pro­dukcji, że w interesie businessu jest mieć *go* po swojej stronie, zainteresowanego w dalszym rozwoju wielkich gigantów prze­mysłowych. Nie jest rzeczą przypadkową, że niejeden z przywód­ców wielkiego businessu nie krył swej dezaprobaty dla aktu Tafta-Hartleya. Ustawa ta była zwycięstwem — zresztą dość wątpliwym zwycięstwem — konserwatywnych grup businessu, liczniej reprezentowanych przez średnie i mniejsze przedsiębior­stwa niż przez wielkie giganty.

Ten fantastycznie bogaty i wciąż jeszcze bardzo słabo zalud­niony kontynent daje wyjątkowe możliwości dla rozwinięcia się takich stosunków. Kolosalne zdobycze technologiczne ułatwiają doskonałe wyzyskanie warunków naturalnych. a z pomocą przy­szły wypadki historyczne ostatniej doby, wypadki, które Ame­ryka z tak wielką dla siebie korzyścią umiała wyzyskać.

Społeczeństwo amerykańskie ma więc do podziału potężny bochen chłeba. Pewnie, że podział tego bochna nie jest równo­mierny, że znaczna jego część przypada w udziale stosunkowo nielicznym. Ale to, co pozostaje, jest tak wielkie, że w zupeł­ności wystarcza na obdzielenie milionowych mas ludzkich. a przede wszystkim — mas robotników przemysłowych. Ten bochen nie zmniejsza się. Przeciwnie — w dobie boomu stale rośnie, a wraz z tym powiększają się i te pajdy, które przypa­dają w udziale robotnikom amerykańskim.

Czy i nadal będzie się on powiększał? Czy obecny boom będzie zjawiskiem trwałym? Istnieje zawsze możliwość kryzysu w gospodarce amerykańskiej. Wydaje się jednak rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by przyszły kryzys mógł być w jakiejkolwiek mierze kopią roku 1929. Od tych czasów zaszły w Ameryce zmiany kolosalne i utrwalił się aparat przeciwdziałania gospo­darczym i społecznym następstwom ewentualnego kryzysu. New Deal dał tu punkt wyjściowy i od tego czasu Ameryka niejed­nego się nauczyła. Rozwój związków zawodowych odgrywa w tym bardzo ważną rolę.

Przyszły kryzys gospodarczy mógłby być naprawdę groźny tylko w tym wypadku, gdyby Stany Zjednoczone poniosły kolo­salną klęskę *polityczną,* usuwającą je z tego miejsca, jakie dziś zajmują w systemie światowym. Ale — choć w historii wszystko jest możliwe — prawdopodobieństwo takiej klęski zdaje się dziś być niewielkie i bardzo odległe.

W świetle tych ogólnych rozważań pozwolę sobie na ryzyko pewnych prognoz odnośnie dalszych losów amerykańskiego świata pracy. Przy robieniu takich prognoz trzeba zawsze zacho­wywać jak największą ostrożność. Przyszłość jest wypadkową niezliczonej ilości czynników, z których najważniejsze są nie­znane twórcom hipotez i przewidywań.

W każdym razie wszystko przemawia za tym, że nowa cen­trala zawodowa, powstała z fuzji AFofL i CIO, odegra wybitną rolę w życiu zbiorowym narodu Stanów Zjednoczonych. Jeszcze przed połączeniem amerykański świat pracy był jednym z naj­ważniejszych składników tego życia. Był wielkim partnerem w procesach gospodarczych I w działaniach politycznych. Busi­ness musiał pogodzić się z tym, że wbrew interesom robotni­czym daleko dojść nie można. a siły polityczne pilnie zabiegały o poparcie głosów robotniczych.

Wszystko to powinno wzmóc się jeszcze bardziej po po­wstaniu nowrej centrali. Nie ulega wątpliwości, że formalnie trzy­mać się ona będzie tradycyjnej doktryny neutralności politycznej ruchu zawodowego. George Meany, przewodniczący nowej cen­trali, oświadczył, że związki zawodowe nie będą wywierać na­cisku na sprawę kandydatur prezydenckich w roku 1956. Zacho­wają ścisłą neutralność. Jest to jednak bardziej z formy niż z tre­ści zgodne z tradycją gompersowską. Neutralność neutral­nością, ale sojusz, jaki za czasów Roosevelta wytworzył się mię­ *dzy* ruchem robotniczym a Demokratami, na pewno utrzyma się i nadal. i trudno sobie wyobrazić, by w Stanach Zjednoczonych znalazła się administracja, która by ośmieliła się pójść na wojnę ze związkami.

Wydajc się rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by w Ameryce — przynajmniej w granicach dającej się przewidzieć przyszło­ści — mogło dojść do powstania samodzielnej partii robotniczej i by nowa centrala w jakiejś mierze do tego się miała przyczy­nić. Nie chodzi tu tylko o zgodność z testamentem Gompersa. Ważniejsze są twarde reguły rzeczywistości amerykańskiej. a one nie sprzyjają powstaniu takiej partii.

Przede wszystkm nie sprzyjają temu postawy samych ro­botników, owo „średniactwo”, o którym była mowa poprzednio. Związek zawodowy jako narzędzie osiągania bezpośrednich zdo­byczy ekonomicznych — to robotnik amerykański dziś przyjmu­je bez zastrzeżeń. Ale — nie partia polityczna, której klasowość nie miałaby najmniejszego oparcia w masach. Robotnik amery­kański, jak każdy Amerykanin, chce być takim, jak wszyscy inni. Nie chce się wydzielać klasowo.

W Europie często zapomina się i O' tym, że amerykański system partyjny jest czymś wysoce specyficznym i mającym bar­dzo mało wspólnego z systemami partyjnymi Starego Świata. Amerykańska partia polityczna jest szeroką koalicją techniczną zostawiającą rozległe pole dla gry różnych interesów grupowych i regionalnych, nieraz najbardziej sprzecznych. Tylko w Stanach Zjednoczonych możliwe jest połączenie w jednej partii skrajnych reakcjonistów południowych z północnymi radykałami. Ideowo nic ich ze sobą nie łączy. /Me amerykańskie stronnictwo politycz­ne nie jest zespołem ideologicznym i nikt nie szuka w nim jed­ności ideologiczno-programowej. Jest ono zespołem technicznym, jest luźną koalicją, zrodzoną przez historię i względy praktycz­ne. Próby rozbijania takich koalicji — a było ich nie mało — zawsze kończyły się fatalnie dla dysydentów. Robotnicy i ich przywódcy doskonale o tym wiedzą i rozumieją, że dysydenctwo może przynieść im tylko i wyłącznie szkody. a poza tym istniejące stronnictwo polityczne zostawia tyle możliwości taktycznych, daje takie pole dla przeprowadzenia zasadniczych postulatów życiowych! Po cóż to niszczyć, po cóż szukać nowych i jakże nie­pewnych dróg.

Mówi się nieraz o tym, że Partia Demokratyczna niejako drogą ewolucji przeobraża się w partię robotniczą typu brytyj­skiej Labour Party. Nie sadze, by analogia z Labour Party była tu na miejscu. Można przyjąć, że w Partii Demokratycznej istnie­je tendencja w kierunku, który z braku lepszego słowa nazwiemy „lewicowym”. i niewątpliwie znaczenie głosów robotniczych będzie stale się powiększać w koalicji demokratycznej (tu do­dam nawiasowo, że pewna część robotników stale głosuje, na Republikanów). Jest prawdopodobne, że pewne skrajnie reakcyj­ne elementy południowe opuszczą Demokratów j przejdą do Re­ publikanów. Przy czym dodam, że nie sądzę, by były to ele­menty bardzo liczne. Wszystko to przyjmując, nie wierzę, by Partia Demokratyczna utracić miała swe oblicze szerokiej koali­cji, ogarniającej różne siły wielkiej Republiki. i to samo da się powiedzieć I o Partii Republikańskiej. Choć ta ostatnia, będąc partią mniejszości, jest w znacznie trudniejszej sytuacji I z troską musi patrzeć w przyszłość.

Nie myślę więc, by, w granicach dającej się przewidzieć przyszłości, w amerykańskiej strukturze organizacyjno-politycznej mogły zajść istotne zmiany. Nie widzę, w jaki sposób połą­czenie się robotniczego ruchu zawodowego mogłoby wpłynąć na zasadnicze' przemiany w sferze organizacyjno-partyjnej.

Wpłynie ono jednak na nurty polityczne w obrębie obu partii (szczególnie wśród Demokratów) i na charakter przemian w eko­nomice amerykańskiej. a ekonomika ta i tak zmienia się zasad­niczo, choć rodzaj tych przeobrażeń nie zawsze jest uświada­miany przez ogół. Ba, większość ich w ogóle nie jest dostrze­gana. Są to zasadnicze przemiany w treściach kapitalizmu ame­rykańskiego. Już dziś wydaje mi się rzeczą wątpliwą, czy ustrój gospodarczy Stanów Zjednoczonych da się określić ściśle jako kapitalizm. Na pewno nie jest on nim w sensie tradycyjnych, podręcznikowych definicji kapitalizmu. Zachowując formy kapi­talistyczne, głosząc doktryny kapitalistyczne, traktując je z naj­większą powagą, amerykański świat gospodarczy idzie po drodze, która coraz bardziej odchodzi od kapitalizmu. w niewielu dzie­dzinach sprzeczność między oficjalną ideologią a rzeczywistością jest tak uderzająca, jak właśnie w sferze ekonomiki amerykań­skiej.

Nie tu miejsce na rozważanie tych skomplikowanych pro­blematów. Mam wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych wytwa­rza się nowy ustrój gospodarczy. Proces jego powstawania bę­dzie długi i niełatwy. i nie da się przewidzieć, w jakiej postaci się on zakończy. To, że Stany Zjednoczone posiadają tak wyjąt­kowe i nie mające nigdzie analogii warunki obiektywne, nadaje temu procesowi specyficzne amerykańskie zabarwienie i sprawia, że nie może on być traktowany jako wzór, dający się skopiować przez inne narody.

Jedną z podstawowych sił motorycznych tego procesu jest amerykański świat pracy. i to otwiera wńelkie perspektywy przed nową centralą. Czy potrafi ona spełnić swe zadania — to jest sprawa zupełnie inna. Ma wielkie możliwości — to pewna. Ale jak każde przedsięwzięcie człowieka, jest zależna od słabości człowieka. a słabości tej w dziejach amerykańskiego ruchu ro­botniczego było bardzo dużo. Jeżeli połączone AFofL i CIO po­trafią uwolnić się od obciążeń przeszłości, będą mogły stać się potężnym narzędziem wielkiego procesu, jaki zdaje się przeobra­żać oblicze Stanów Zjednoczonych.

Aleksander HERTZ

Paweł Hostowiec: Notatnik niespiesznego przechodnia

TEORIA BIERNOŚCI

Od półtora roku znajdujemy w czasopismach krajowych częste aluzje do „wychylania się” czyli wypowiadania sądów lub robienia zwierzeń odbiegających — na pozór przynajmniej — od „linii” przepisanej przez dobroczynny rząd i jego organy wy­konawcze. z aluzji tych można wnosić, że w opinii ich autorów wychylanie się jest dopuszczalne, być może nawet użyteczne, lecz niewdzięczne i nie zawsze bezpieczne. Niechęć do wychyla­nia się, zrozumiała pod rządami dyktatorialnymi, nie jest wszak­że w Polsce rzeczą nową. Za żadnych czasów Polacy nie mieli skłonności do herezji i wychyleń. „Kupą, panowie, kupą!” wo­łali nasi przodkowie. Nieliczni wychylający się robili to najczęściej w mylnym przypuszczeniu, że wypowiadają zdanie więk­szości lub opinię mającą za sobą błogosławieństwo Matki Bos­kiej Częstochowskiej. Niechęć Polaków do odchylania się od ustalonych, chociażby przypadkowo pojęć i postaw jest tak po­wszechna, że nawet na emigracji — podzielonej już na wielką liczbę grup i kapliczek — wychylanie się jest niemal równie niewdzięczne jak w kraju.

Doświadczyła tego redakcja „Kultury” która, zapraszając do Maisons-Laffitte 48-miu sygnatariuszy znanej odezwy, ściąg­nęła na siebie anatemy, napomnienia i pouczenia ze strony czę­ści prasy i instytucji emigracyjnych. Stało się to zanim jeszcze zaproszenie wydało jakiekolwiek skutki. Inicjatywa redakcji „Kultury” może oczywiście mieć różne następstwa, nie wyłą­czając takich, z których sami inicjatorzy mogliby być słusznie niezadowoleni. Jest to ryzyko wszelkiej inicjatywy; tylko bierny widz nie ryzykuje nic. Nikt jednak z krytyków nie uznał za stosowne zaczekać aż dalszy bieg wypadków dostarczy mu ar­gumentów ex eventu. w braku takich argumentów krytyka może jedynie dotyczyć domniemanych przesłanek i sformułowa­nia samego zaproszenia.

Za główną czy nawet, jak niektórzy chcą, karygodną omył­kę redakcji „Kultury”, krytycy uważają traktowanie, w tekście zaproszenia, 48-miu jako „czynnika społecznego”. w ustroju komunistycznym, powiadają, żadnej samodzielnej inicjatywy spo­łecznej nie ma i być nie może. To znaczy czynniki społeczne są tylko marionetkami, wysuwanymi w miarę potrzeby dla wpro­wadzenia w błąd obcych, i tylko w Maisons-Laffitte zachowali się naiwni, którzy tego nie wiedzą. Są to oczywiście efekty oratorskie. „Kultura” poświęciła sprawom krajowym więcej miejsca niż jakiekolwiek inne pismo emigracyjne, i uczyć jej nie ma potrzeby.

O co więc w tym całym krasomówstwie chodzi? Zatrzy­majmy się przez chwilę na okolicznościach, w jakich redakcja „Kultury” wysłała swe zaproszenie.

Grupa 48-miu nie została pasowana na „czynnik społeczny” przez redaktora „Kultury”, lecz wystąpiła sama w tym charak­terze. Pewna, chociażby tylko formalna niezależność tej grupy była oczywistą przyczyną, dla której rząd warszawski uznał za stosowne użyć jej pośrednictwa dla swoich celów. Wezwanie 48-miu do emigrantów pozostało bez skutku. Emigranci nie wrócili. Było to z góry wiadome i trudno sobie wyobrazić, aby sami autorzy odezwy, kładąc na niej swe podpisy, mogli mieć co do tego jakieś złudzenia. Nikogo więc nie wprowadzali w błąd, i obawy o to krytyków „Kultury” są co najwyżej figurą retoryczną.

Bezskuteczna jeżeli chodzi o powrót emigrantów, odezwa 48-miu posiada także inne aspekty. Do niedawna na przykład emigranci byli w kraju oficjalnym przedmiotem zgrozy i obrzy­dzenia: zdrajcami zaprzedanymi neo-hitleryzmu lub w najlep­szym wypadku kapitalistom Zachodu. Odezwa 48-miu przedsta­wiła ich jako rodaków oddalonych od kraju przez wypadki i oczekiwanych z otwartymi rękami przez całe społeczeństwo. Stworzyło to dla emigrantów pewien nowy klimat w kraju, otwarło niewielką lukę w sławnej żelaznej zasłonie. Do nie­dawna mało kto w kraju znał autorów emigracyjnych; nikt się do tego nie przyznawał. Od pewnego czasu autorzy ci są wymie­niani i przytaczani w czasopismach krajowych, jak gdyby wszyscy ich znali. Kraj więc nas czyta. Dotąd nie braliśmy tego pod uw’agç. Czas zastanowić się co mu mamy do powiedzenia.

Nikt, nawet w odległym od wielkiego świata Maisons- Laffitte, nie przypuszcza, aby wezwanie emigrantów do powro­tu było samorzutną inicjatywą 48-miu. Udział ich ograniczył się być może tylko do zredagowania samej odezwy, której tekst odbiega korzystnie od wzorów prozy oficjalnej. W1 tych okolicz­nościach trudno jest odróżnić zamierzone od mimowolnych skut­ków odezwy. Znając dziś ich całość, można bez wahania powie­dzieć, że — przyczyniając się do wzajemnego zbliżenia i zrozu

mienia Polaków po obu stronach linii demarkacyjnej — były na ogół pomyślne, i że rola 48-miu, w zakreślonych im granicach, była tu właśnie taka, jaka przypada czynnikowi społecznemu w czasach wielkich konfliktów i rozterek. Istniały więc obiek­tywne powody, dla których redakcja „Kultury” mogła odnieść się do 48-miu z zaufaniem i zaprosić ich na przyjacielską roz­mowę do Maisons-Laffitte.

Niestety od początku już można było się obawiać, że poja­wienie się grupy 48-miu będzie efemeryczne, i że zaproszenie jej pozostanie bez skutku. Już w listopadzie Mołotow oświad­czył w Genewie, że Związek sowiecki nie życzy sobie stosunków kulturalnych z Zachodem, rządy zaś zależne od Kremla nie po­siadają dość samodzielności, aby po takim oświadczeniu móc sobie pozwalać na tolerowanie kontaktów swych obywateli z emigrantami. Sam zresztą rząd warszawski, zniechęcony bez­skutecznością kampanii powrotowej, mógł był przestać się ba­wić. Grupa 48-miu była wreszcie powołana tylko do podpisania znanej odezwy. Ewentualne przedłużeniu jej mandatu mogło na­stąpić chyba tylko w razie jej przyjazdu do Maisons-Laffitte, ten ostatni zaś wydawał s ę od początku niepewny. Zaproszeni mogli nie otrzymać pozwolenia na wyjazd lub nie skorzystać zeń ze względu na obciążające to pozwolenie warunki.

Niesłuszny jest zarzut jakoby redakcja „Kultury” wciągała w swą inicjatywę całą emigrację. Zaproszenie podpisane zo­stało nawet nie przez bardziej nieokreślony „zespół”, lecz tylko przez redakcję „Kultury”, która w widoczny sposób nie życzyła sobie dzielić odpowiedzialności nawet z stałymi współpracowni­kami pisma.

Nie mylę się też zapewne przypuszczając, że nawet najzapalczywsi krytycy „Kultury” nic uchylali się sami od rozmów z przypadkowymi przyjezdnymi z kraju. Skąd więc ich oburze­nie, gdy chodzi o próbę wybrania sobie rozmówców?

Z jakiejkolwiek więc strony spojrzeć na sens i przypuszczal­ne skutki zaproszenia 48-miu, nic w nim na pozór nie dawało powodu do zasadniczych wystąpień różnych odłamów emigracji, a zwłaszcza do wystąpień pozbawionych zmysłu proporcji. Pa­dając w próżnię, głosy te przybierały na retoryce i histerii.

Pierwsza wychyliła się grupa paryskich dziennikarzy oświad­czając — zanim ktokolwiek zdążył powziąć takie podejrzenie — że żaden współpracownik „Kultury” nie należy do ich kółka. „Tu żaden współpracownik „Kultury” nie mieszka”. Przypo­mina to włoskie: *Ca nessuno è fesso.* Notujemy to odezwanie się jako dające miarę rozdrażnienia, zamraczającego nawet naj­świetniejsze na emigracji umysły.

Jeden z najpoważniejszych krytyków „Kultury” pisał, że ta ostatnia nie mogłaby prowadzić z ąSmioma żadnych rozmów merytorycznych w braku wspólnych przesłanek, niezbędnych do tego rodzaju rozmów. Jest to okropne, na szczęście zupełnie nie­uzasadnione przypuszczenie. Myśl, że między nami i pozostałymi w kraju kolegami i przyjaciółmi brak wspólnych przesłanek do rozmów, nie mogła urodzić się z doświadczenia. Tego nawet prześwietny rząd warszawski nie przypuszcza, bo nie wydając 48-miu paszportów obawia się widocznie, że mogliby zbyt łatwe znaleźć wspólny język z emigrantami. Nie mając podstaw w do­świadczeniu, przypuszczenie całkowitej obcości między krajem i emigracją musi chyba opierać się na jakiejś mniej lub więcej metafizycznej, nie wymagającej dowodów doktrynie.

Główne zarysy tej doktryny wyłaniają się dość wyraźnie z argumentów krytyków „Kultury”. Żadnych czynników spo­łecznych, chociażby koniunkturalnych i efemerycznych, zdaniem ich, w kraju nie ma i być nie może. Wszystko co się tam dzieje jest dziełem opiekuńczego rządu, działającego według planów opracowanych na Kremlu.

Taka koncepcja historii ma za sobą sławne wzory. Historia rozwijająca się według planu Opatrzności, wybierającej sobie za narzędzie te lub inne ludy, znana jest z *Gesta Dei per Francos i*innych historii wczesnego średniowiecza. u dzisiejszych teore­tyków emigracyjnych Kreml zastąpił Opatrzność, wybierając so­bie te lub inne ludy na wykonawców swych dalekosiężnych pla­nów, i — parafrazując słowa św Augustyna — nawet indywi­dualne posunięcia poszczególnych obywateli demokracji ludo­wych przewidziane są z góry w księgowości planu pięciolet­niego.

Uproszczona w ten sposób wizja historii współczesnej zdaje się znajdować pewne uzasadnienie w „immobilizmie” Zachodu, nie zdobywającego się na żadną własną inicjatywę i reagującego jedynie z pewnym opóźnieniem na inicjatywy Kremla. Wizja taka znajduje zresztą pewne usprawiedliwienie w katastrofizmie emigrantów, którzy po tylu klęskach i odwrotach zatrzymali się wreszcie na brzegu przepaści i pragnęliby przez chwilę jeszcze korzystać z dobrodziejstw spokoju.

Wydaje się mało prawdopodobne, aby urzędnicy radiostacji „Kraj” czy autorytatywni publicyści krajowi zaczęli zwalczać koncepcję historii współczesnej, implikującej wszechmoc Kremla. Milczenie drugiej strony pomoże więc zapewne utrwaleniu się tej koncepcji na emigracji.

Inicjatywa redakcji „Kultury” potrąciła przypadkiem tę metafizykę bierności z której, jak z pustej beczki, dał się słyszeć przeciągły huk.

Piszący te słowa daleki jest od niedoceniania opisanej wy­żej koncepcji historii. Ostatni świadkowie rozpadania się impe­rium rzymskiego znaleźli pewne pocieszenie w wizji historii pla­nowanej przez Najwyższą Instancję. Na prywatny użytek może to być dobre i dziś. Gdybyśmy jednak zaczęli, na przykład, roz­wijać tę metafizykę przed zgromadzoną w Maisons-Laffitte gru­pą 48-miu, mogłoby istotnie przyjść między krajem i emigracja do poczucia wzajemnej obcości.

PORTRET MŁODEGO PANURGA

*Kółko spinozistów*

Wojny oczekiwano w Europie przez tak długi czas, że w 1914 przyszła niemal niespodzianie. Nikt nic był do niej przy­gotowany. Na alpejskim skrzyżowaniu dróg zamknięcie granic zatrzymało tysiące osób, zdążających w różnych kierunkach. Niespokojny tłum obcych pojawił się w cichych miasteczkach szwajcarskich.

Od czasów hugenotów i Woltera w Genewie nic brakło nigdy cudzoziemców. Kolejne fale różnych emigracji osiadały tam jak muszle na plaży. Gdziekolwiek zdarzyły się przewroty polityczne, w kilka tygodni później nowi podróżni wysiadali z skromnymi walizkami na Gare de Cornavin, pytając o drogę na rue de Carouge. Była to tak zwana Karużka, uboga dziel­nica zaludniona częściowo przez emigrantów.

Wstrząs 1914 był głębszy i bliższy. Fala ludzka rzucona przezeń na brzeg Lemanu miała też inny charakter. Byli tam i ludzie zamożni, mający interesy w różnych krajach wojujących, i dostojnie zbolali Europejczycy uciekający od widoku starej cywilizacji, rozpadającej się jak Jerycho przy dźwiękach muzy­ki wojskowej, bogaci dezerterzy, agenci wywiadów i kontrwy­wiadów, wreszcie ludzie różnej kondycji, którym wojna pokrzy­żowała plany lub odcięła od poprzednich miejsc pobytu. Cała ta różnobarwna rzesza wypełniła hotele i kawiarnie śródmieścia. Jedni płakali na marmurowe stoliki, inni tracili cierpliwość, inni wreszcie poszukiwali rozrywek.

Byłem wówczas młodym studentem, przygotowującym tezę z historii starożytnej. Wojna pokrzyżowała moje plany i oderwa­ła od miejsc, do których nie miałem już wrócić. Chaos zmie­niającego się szybko świata obudził we mnie potrzebę ciągłości i dyscypliny. z tej przyczyny, jakkolwiek nie chodziło to w ramy mego programu, zacząłem chodzić na miejscowy uniwersytet.

Uniwersytety wykazują na ogół więcej stałości od innych instytucji. w czasach zmian i przewrotów zdają się pozostawać o całe pokolenia w tyle za wypadkami. Życie wraca jednak póź­niej do brzegów, i po pewnym czasie szkoły wyższe odnajdują się znów na dawnym miejscu. Tak było I z uniwersytetem na rue de Candolle. Wielu studentów, zmobilizowanych w różnych krajach, nie wróciło na początek semestru zimowego 1914-1915, ale w starym budynku wszystko toczyło się zwykłym trybem. Rano więc z niewielką grupą studentów czytałem pod kierun­kiem profesora Bakchylidesa i Senekę, po południu zaś, z jesz­cze mniejszą grupą, spędzałem dwa razy na tydzień parę godzin w kółku spinozistów. Łacińska *Etyka* Spinozy jest jednym z naj­trudniejszych i mało czytanych tekstów filozoficznych. Ńa szanu­jących się uniwersytetach jeden z profesorów filozofii zbiera co kilka lat paru słuchaczy dla wspólnej lektury tego sławnego lecz w istocie niewdzięcznego utworu.

*Młody Panurg*

Wśród spinozistów zwróciłem uwagę na studenta, który wydawał się starszy od innych. Wysoki, nieco zgarbiony, na astenicznym tułowiu nosił niewielką i okrągłą głowę z rzadkimi, jasnymi włosami. Twarz miał zmiętą, żółtawą, o wyrazie jaki widuje się rano w dzień Nowego Roku u ludzi zamroczonych jeszcze sylwestrowymi libacjami lecz robiących szczery wysiłek w celu trzeźwej oceny nadchodzącego okresu czasu. Po francusku mówił raczej łatwo niż poprawnie, z osobliwym akcentem, nie dającym klucza jego pochodzenia. Siadając koło mnie położył na stole elementarny podręcznik angielski ekonomii, na którym dostrzegłem podpis: Ely Culbertson (i).

Jakkolwiek w równym z nimi wieku, Ely wydawał się starszy od pozostałych spinozistów, z których większość ogląda­ła się jeszcze na tatę i mamę i musiała obchodzić się oszczędnie z przysyłanymi z domu pieniędzmi. Ely natomiast — jak można było wnosić z jego żółtawej cery i zaczerwienionych oczu — spędzał noce na grze w karty i innych rozrywkach zastrzeżo­nych dla dorosłych. Jak Panurge Rabelego, znał 36.000 sposo­bów zdobywania pieniędzy i tyleż sposobów ich trwonienia. Na zapytanie, co właściwie robi w kółku spinozistów, mógłby od­powiedzieć słowami Protosa z „Lochów Watykanu”: *Je prend mon élan —* nabieram rozpędu.

Weszliśmy byli właśnie w jeden z okresów wojennych, pod­czas których prymitywne sądy wartościujące, oparte na przy­należności do grupy społecznej lub miejsca, plenią się jak bujne chwasty, zamraczając nawet najbardziej wyszkolone umysły. Ely zdawał się wolny od tych powiązań. Nie ciążyła na nim żadna sprawa prócz jego własnej. Introspekcja nie stawiała mu rów­nież żadnych nierozwiązalnych lub absorbujących zagadnień. Stał więc obu nogami na ziemi, gotów do wszystkiego, przyglą­dając się ciekawie otaczającemu go światu. Mówił łatwo i pro­sto jak człowiek pozbawiony kompleksów i zahamowań. Jego swoboda niepokoiła innych spinozistów, obciążonych wymaga­niami odziedziczonych i dobrowolnie przyjętych dyscyplin.

*Przygoda jako metoda wychowawcza*

W 1914 Ely miał lat 23, ale cały okres formowania się miał już za sobą. Jego ojciec, starszy pan o godnym wyglądzie, którego widywałem w niedzielę zdążającego z Biblią w ręku do

(I) Ely Culbertson, autor znanych podręczników do gry w brydża, zmarł 28 grudnia 1955 w Stanach Zjednoczonych. angielskiego kościoła, rozpoczął swą karierę w Stanach Zjedno­czonych jako robotnik przy budowie jednej z tamtejszych kolei transkontyncntalnych. Trudności finansowe przerywały nieraz roboty, zmuszając zatrudnionych przy nich do dawania sobie rady na własną rękę. Podczas jednego z takich okresów bezro­bocia starszy p. Culbertson wejść miał w jakiś zatarg z miej­scowym szeryfem, wskutek czego ziemia amerykańska zaczęła mu palić stopy. Wyjechał do Europy, pracował w Niemczech i, sprzykrzywszy sobie także ten kraj, posunął eksplorację starego kontynentu aż do podnóży Kaukazu, gdzie przystał do Kozaków. z doświadczeń w Rocky Mountains wyniósł był sztukę nie­omylnego strzelania z rewolweru. Nawet jako starszy pan umiał strzelać naraz z dwuch rewolwerów, trafiając o 20 metrów kula koło kuli. Kozacy ocenili umiejętności obcego przybysza, który ożenił się z córką jednego z nich i otrzymał w stanicy na­dział gruntu.

Na południe od stanicy rozciągał się słony step będący te­renem rządowym, sprzedawanym chętnym po 20 kopiejek za hektar. Amerykański przybysz odbył kilka długich wędrówek po słonych pustkowiach, przyglądając się uważnie rdzawym źródłom, jakie widział był przedtem po drugiej stronie oceanu. Zadłużając się, kupił szmat stepu, na którym później znaleziono naftę. Culbertson senior nie dał się wykwitować przedsiębiorcom naftowym i został bogatym człowiekiem. w nowej postaci wró­cił do Ameryki z żoną i trzema synami. Najstarszy z nich, Eugene, miał w sobie coś postnego i wyglądał na zarządzającego niewielkiego browaru, Ely był drugim z kolei, najmłodszy zaś Sasha, był skrzypkiem i przygotowywał się do kariery wirtuoza.

Młody potomek Kozaków po kądzieli asymilował się w Sta­nach w innym porządku niż ogół immigrantów. Zamiast nosić cegły lub sprzedawać gazety, został studentem sławnego Yale University w New Haven. Nowy dlań mechanizm robienia pie­niędzy z książeczki czekowej stał się przyczyną nieporozumień z rodziną. Wziąwszy raz czek z książeczki ojca, Ely położył na nim zamaszysty podpis i kupił motocykl, na którym z hu­kiem wyjechał z garażu. Pierwszy spotkany policjant zauważył, że motocykl nie miał numeru. Elv nie miał jednak ochotv do tłumaczenia się i dał pełny gaz. Dwuch równie zmotoryzowa­nych policjantów dopędziło go na skraju miasta i, gdy zepchnęli go na brzeg szosy, Ely wjechał na drzewo i złamał nogę. w pa­rę dni potem ojciec jego otrzymał rachunek za motocykl, karę za jazdę bez numeru i rachunek ze szpitala. Nie był to zapewne pierwszy figiel jego średniego syna, bo Culbertson senior oka­zał się nieubłagany; wypędził syna z domu i przestał mu przy­syłać pieniądze. Ely przystał do trampów i objechał bez biletu znaczną część Stanów. Na wikt zarabiał wzruszającym serca opowiadaniem o swych prawdziwych i urojonych przygodach w różnych krajach. Zdolność barwnego i zajmującego opowia­dania przygód Ely zachował i później. Jej to zawdzięczam część przytoczonych tu szczegółów biograficznych. o jego najwcześ­niejszych przygodach u gruzińskiej księżniczki dowiedziałem się dopiero z nekrologów, wnoszę więc, że były późniejszym tworem jego talentu fabulacyjncgo.

Eiy był ulubionym synem swej matki, która umierając wy­jednała dlań przebaczenie ojcowskie. Odtąd Culbertson senior przysyłał synowi 125 dolarów miesięcznie, nie interesując się bliżej jego losem. Do 1915 była to suma pozwalająca kawale­rowi żyć bez trosk i odbywać kształcące podróże. Po okresie cy­gańskiej swobody u trampów Ely nie wrócił od razu do dyscy­pliny uniwersyteckiej i bawił przez pewien czas w Mazatlanie. Meksyk znajdował się w stanie odnawiającej się wciąż wojny domowej. Ilekroć jeden z rządów rewolucyjnych zdawał się do­chodzić do wykonywania władzy, zagraniczni koncesjonariusze naftowi, w przypuszczeniu że każdy rząd dążyłby do ogranicze­nia ich uprawnień, zasilali nowymi środkami zbrojną opozycję.

Widząc bystrego a niezatrudnionego młodzieńca, miejsco­wy konsul amerykański powierzył mu misję nawiązania prze­rwanej przez siły rządowe łączności między generałami Villa i Zapata. Ely nauczył się na pamięć listu, Villa zaś dał mu do ręki kartkę ze słowami; *Lo que dice este hombre es verdad, Villa —* to co mówi ten człowiek jest prawdą. Ukrywszy ten dokument w bucie, Ely ruszył w drogę i kiedy po trzech dniach marszu przez pustkowia znalazł się w obrębie działania Zapaty, zatrzymał go głos: „Ręce do góry”. z krzaków wyszło kilku ludzi Zapaty. Jeden z nich niósł powróz, na którym chciał na­tychmiast powiesić podejrzanego.podróżnika. Nie pomogła kartka Villi, bo żaden z *bandidos* nie umiał czytać. Dopiero po długim wahaniu potoki wymowy przerażonego emisariusza na­kłoniły ich do odwołania się do starszego rangą partyzanta, któ­ry również nie był pewien jak należy postąpić. Minęło sporo czasu zanim Ely został dopuszczony przed oblicze groźnego Za­paty.

*Krytyka przygody wolnej*

Rzadko zastanawiamy się nad wartością wychowawczą przygód tego rodzaju. a jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że fatalna kartka ze słowami: *Lo que dice este hombre...,* do której Ely często powracał w swych opowiadaniach, była zwrot­nym punktem w jego rozwoju.

Ely nie znał społeczeństw hierarchicznych, w których kla­syczną ambicją jest utrzymanie swej rangi i należnych jej hono­rów, równoznaczne z pozostawaniem wiernym sobie, o którym Hamlet mówi: *This above all.* Stepy północnego Kaukazu i Ameryka nie dostarczały tego rodzaju wzorów. Napoleon, gdy mu kogoś polecano, pytał krótko: *„0tVa-t-il fait?”* Od tej oce­ny człowieka, jedynie ważnej w krajach nie mających 2a sobą dłuższej historii, zaczyna się era nowożytna.

Znane mu wzory mówiły o tym, o czym w krajach hierar­chicznych mówią tylko bajki: jak Iwan duraczok staje się Iwa­nem carewiczem, jak kozak staje się właścicielem kopalni nafty. Poza wszelką wątpliwością możliwości te stały i przed nim ot­worem. Znane mu z najbliższego doświadczenia recepty postę­powania były jednak zupełnie nieprzydatne. Opowiadając o sobie zatrzymywał się zazwyczaj na przygodach nie prowadzących do niczego. Było dlań jasne, że kariera bezrobotnego kolejarza, ko­zaka czy trampa nie jest warta niucha tabaki, że nie należy po­sługiwać się nierozważnie czekami ani nosić listów do Zapaty. Miał świadomość, że wolność od przesądów i wynikająca stąd swoboda działania dają mu pewną przewagę nad ludźmi pozba­wionymi takiej swobody, lecz nie prowadzą same przez się do powodzenia. To ostatnie wymagało pewnej dyscypliny. Przed powzięciem inicjatywy należało rozpoznać *principia media,* pra­wa natury rządzące danym zakresem zjawisk; wyciągając z nich wnioski należało działać systematycznie, nie zostawiając nic przypadkowi.

Ely był empirykiem nie pogardzającym żadnym doświadcze­niem. Zamiast wstydzić się swych błędów, wyciągał z nich uży­teczne wnioski. z opowiadań jego zapamiętałem szczegół, któ­ry nie pozostał zapewne bez wpływu na jego późniejszą karierę. w jakimś mieście portowym w Stanach dał się mianowicie na­mówić do gry z nieznajomymi, którzy okazali się groźnymi prze­ciwnikami. Po niewczasie zrozumiał, że zostanie ograny do nit­ki, a w razie oporu zbity na kwaśne jabłko i porzucony na ulicy. Rozglądając się dokoła i obliczając szanse, w pewnej chwili zgasił lampę i chwyciwszy garść leżących na stole banknotów wyskoczył z pierwszego piętra przez okno. Nikt z partnerów nie odważył się go naśladować. Ely częściowo się odegrał, ale wy­niósł przekonanie, że taki sposób odegrywania się nie jest wart zachodu.

Przygoda ta musiała utkwić mocno w jego pamięci, bo upar­cie badał prawa rządzące zjawiskami gry i próbował różnych sposobów ograniczenia w nich roli przypadku. w 1914 próby te znajdowały się jeszcze w stadium początkowym. Jako nienaj­gorszego brydżystę Ely zaprosił mnie raz do Café du Nord, gdzie czekali już nas jego brat Eugene i p. N., starszy już właści­ciel znanego przedsiębiorstwa transportowego. Siadłszy z nimi do zielonego stolika wkrótce zrozumiałem, że każdy z nas musi w sposób nieunikniony przegrać robra z p. N., będącym już od dawna stałym źródłem dochodu swych partnerów. Uznałem oczywiście za mój obowiązek wygranie z nim i wysiliłem w tym kierunku moją pomysłowość, lecz mój partner nie okazał się na wysokości zadania. Być może zresztą uważał przegraną za ro­dzaj honorarium za naukę.

Ely był przede wszystkim umysłem systematycznym. Na­wet do czynności, będących dla innych tylko pospolitą rozrywką, wnosił pewną metodę i dyscyplinę.

*Wielki system*

W Genewie Ely zajęty był głównie doskonaleniem swego systemu pożyczania pieniędzy.

— Większość śmiertelników — mówił — myśli o pożycza­niu dopiero po roztrwonieniu własnych pieniędzy, w chwili braku gotówki na obiad. Kto pożycza w tak przymusowej sytuacji po­pełnia zazwyczaj wszystkie możliwe błędy: jest bez wyobraźni, niecierpliwy, niezręczny, naraża się na odmowy rujnujące jego kredyt i pożycza ile się da, nie biorąc pod uwagę środków i cha­rakteru pożyczkodawcy.

— Pożyczać należy zawczasu, dopóki się ma pieniądze i możność postępowania metodycznego, bez pośpiechu, biorąc się do tego od rana. Przyjeżdżając do nowego miasta zatrzy­muję się w dobrym hotelu i nawiązuję stosunki z ludźmi towa­rzyskimi, z których każdy jest kluczem do serii dalszych znajo­mości. Po kilku tygodniach układam pierwszy plan działania. Pożyczanie zaczynam od najdalszego członu każdej serii, a koń­czę na człowieku będącego do niej kluczem. Po wykończeniu serii biorę się do następnej.

— Ważne jest właściwe otaksowanie pożyczkodawców. Od każdego ściągam sumę dostosowaną do jego środków i uspo­sobienia, aby nie ślubował mi potem zemsty i nie ścigał po ca­łym świecie. Dla wyrównania pożyczam natomiast od każdego: od żebraka nawet jeden grosz. z wykonaniem planu należy się śpieszyć, aby być gotowym zanim klienci spostrzegą się i zaczną mówić.

— a potem?

— Potem wyjeżdżam do innego miasta.

Wielki system powstał drogą empiryczną. Ely zaczął poży­czać metodycznie jeszcze w Rosji, będącej wówczas dla tego rodzaju praktyk krajem nieograniczonych możliwości. Brakło mu jednak wówczas stosownego doświadczenia. w 1914 sądził, że z miast średnich, jak Turyn lub Genewa, można ściągnąć do 100.000 franków.

*Granice systemów*

Nie wszystkie dziedziny życia dadzą się w równym stopniu zracjonalizować. Ely posiadał na przykład wielką łatwość zdo­bywania kobiet, które zajmowały mu niemało czasu. Żadnej wprawdzie nie udało się odroczyć, chociażby o jeden dzień jego wyjazdu ani odwrócić jego uwagi od codziennej pracy nad wy­konaniem „wielkiego planu”. Postępował zresztą z nimi z bra­kiem ceremonii, którego nie mogłem pochwalać. Raz doszło między nami z tego powodu do żywej wymiany zdań, podczas której rzuciłem mu w głowę ciężką butelkę. Ely uchylił się i butelka uszkodziła ścianę, której naprawa kosztowała mnie pięć franków.

Ciągłą zmianę kobiet Ely uważał za stan tymczasowy i — jak Panurge Rabelego—myślał o uporządkowaniu tego odcinka swej działalności przez monogamiç. i tu również chciał postępo­wać metodycznie, nie zostawiając nic przypadkowi. Sadził mia­nowicie, że towarzyszki życia należy szukać w Bułgarii, gdzie kobiety są zdrowe i nie zepsute. w bułgarskich szkołach żeń­skich, mówił, łatwiej niż gdziekolwiek indziej znaleźć dziew­czynę inteligentną, marzącą tajnie o Paryżu, którą można by wy­chować na wierną partnerkę „wielkiej gry”. Bułgaria była jed­nak trudno dostępna i na razie Ely musiał liczyć się z irracjo­nalnymi impulsami i reakcjami spotykanych kobiet. Najdotkliw­sze jednak ograniczenia „wielkiego svstemu” zdawały się po­chodzić z pewnych niejasności jego najogólniejszych założeń,

Nie doszliśmy jeszcze w kółku spinozistów do ostatnich słów „Etyki”: *sed omnia praeclara tam difficia quam rara sunt,* kiedy Ely wykończył transzę genewską „wielkiego planu” i kiedy wyjazd jego do Turynu stał się sprawą pilną. Na dwa dni przedtem Ely, którego widywałem wówczas rzadziej, umówił się ze mną w kawiarni. Było to wiosną 1915. Na spotkanie przy­szedł w towarzystwie uroczej dziewczyny, z którą żył już od paru miesięcy i która zdawała się posiadać wszystkie talenty kwalifikujące ją na partnerkę „wielkiej gry”. Wierny bułgar­skiej teorii czy też zajęty czym innym, Ely tego na pozór nie dostrzegał.

Rozmowa potoczyła się wesoło. Bliskie rozstanie wytworzyło jednak między autorem „wielkiego systemu” i jego towarzyszką wiele rzeczy subtelnych i niewypowiedzianych. Ely śmiał się i żartował więcej niż zwykle, wreszcie powiedział, że ostatniego dnia zamierza zaprosić wszystkich wierzycieli na herbatę. Goście zejdą się w jego mieszkaniu właśnie w chwili, gdy pociąg jego będzie odchodził z Gare de Cornavin. Wiadomość ta sprawiła mi pewną ulgę. z tym zakończeniem „wielki plan” tracił swój rygor geometryczny i przybierał odcień farsowy, który był mi bardziej sympatyczny.

W dwa dni później, dla uniknięcia zbytecznych spotkań i rozmów’, Ely ze swą towarzyszką przyszli do mnie wczesnvm popołudniem i ode mnie pojechaliśmy na dworzec. w drodze Ely jak f^dyby żałując sw’ego wychylenia się z ram racjonalizmu, prosił mnie o wytłumaczenie wierzycielom, że stał się ofiarą przewrotnej kobiety, która popchnęła go na drogę rozrzutności i długów. Między mężczyznami, powiedział, argument ten jest najbardziej przekonywujący.

Pożegnanie odbyło się lekko. Laura nie płakała, była pro­sta i serdeczna. z dworca odwiozłem ją do domu i pośpieszy­łem do mieszkania Elego. Zastałem tam dziwną scenę. w dwuch pokojach, z których przed południem wyniesiono pożyczone meble, stało kilkudziesięciu mężczyzn milczących lub porozumie­ wających się półgłosem. Poznałem wśród nich profesora, z któ­rym czytaliśmy Spinozę, krawca, właściciela sklepu tytoniowego. Reszta była mi nieznana. Wciąż napływali nowi goście, nikt nie wychodził.

Widok ten uświadomi! mi misterność systemu i zręczność jego autora. Jakkolwiek nie miałem w tych sprawach większe­go doświadczenia, wydawało mi się, że widok nieumeblowanego mieszkania pełnego wierzycieli wyjaśnia wszystko i nie wyma­ga komentarzy. Nikt jednak nie dawał wiary faktom, wszyscy zdawali się czekać na jakieś wyjaśnienie. Po kilku minutach wróciłem do domu. Ostatniego polecenia Elego oczywiście nie spełniłem.

*Współzawodnictwo z diabłem*

Ely był spóźnionym, kozacko-amerykańskim wariantem czło­wieka Renesansu. Była w nim ta sama świeża i romantyczna *sceleratezza,* jaką pamiętamy z rozważań i komedii Machiavellego, ta sama niepokojąca swoboda działania i potrzeba porząd­kowania w myśli zrodzonego z tej swobody chaosu. Ten ostatni graniczył zarówno z farsą jak z piekłem. Astrolodzy, alchemicy i czarnoksiężnicy owych czasów mieli wszyscy jakieś konszachty z diabłem.

Stosunki z potęgą piekieł wynikały z ówczesnych pojęć o po­dziale władzy. Bóg był wszechmocny, w jego rękach leżała wła­dza cudów. Jako anioł upadły, diabeł nie był władny robić cu­dów. Jego groźna potęga zamknięta była w kręgu praw natury. Te same granice zakreślone były także działalności człowieka. Co zatem potrafi diabeł, człowiek potrafi też. Wolna od prze­sądów i skrupułów swoboda działania i rozszerzająca się wciąż znajomość praw natury zbliżyła człowieka do diabła, pozwoliła rywalizować z nim i niemal być na ty.

Współzawodnictwo z diabłem jest pełne niebezpieczeństw, już chociażby z racji pychy i nieumiaru właściwych upadłemu aniołowi. Swoboda działania nie znającego przesądów i skrupu­łów jest już z natury rzeczy wystawiona na pokusę nieumiaru. w naszych czasach zagadnienie to rozważał André Gide w swych „Lochach Watykanu”. w powieści tej młody Lafcadio, dla przekonania siebie że jest naprawdę zdolny do wszystkiego, wy­rzuca z okna wagonu nieznajomego pasażera, ale zostawia w kieszeni pozostałej po nim marynarki większą sumę pieniędzy. Jego równie wolny towarzysz, Protos, pyta go potem dlaczego nie wziął tych banknotów. Lafcadio milczy pogardliwie, a na to Protos zimno:

*— Avec moi, vous savez, il ne s'agit pas de faire le fanfa­ron ni l'imbécile.*

Tych kilka słów o nieco cudzoziemskim brzmieniu — diabeł jest wszędzie cudzoziemcem — oddaje wiernie pychę nieumiaru. Przed 40-tu laty Ely pożegnał mnie na Gare de Cornavin i nigdy więcej go nie widziałem. Przez długie lata nie wiedzia­łem co się z nim dzieje. Wiedziałem, że będzie się strzegł przy­gód pospolitych, myślałem jednak, że najgroźniejszą dlań przy­godą byłaby pokusa nieumiaru, spotkanie z człowiekiem prze­mawiającym słowami Protosa.

Nie wiem kiedy i jak Ely przeszedł tę próbę, ale wyszedł z niej zwycięsko. Prócz młodzieńczego „wielkiego systemu” wynalazł jeszcze parę innych, uwieńczonych większym powo­dzeniem. Wszystkie jednak jego inwencje i sama nawet jego renesansowa *sceleratezzu* zachowały pewną figlarność, nie wy­szły poza granice tego co Niemcy nazywają *Spici und Scherzivaren.* Dla umysłu szkolonego w filozofii jest to trudne i rzad­kie osiągnięcie.

*Paweł HOSTOWIEC*

Czesław Miłosz: Apollo Nałęcz Korzeniowski

Ponieważ ojciec Józefa Conrada był pisarzem i tworzą ra­zem dynastyczne następstwo pokoleń, ciekawe byłoby zbadać czy w ich losach i ich dziele nie pojawia się ciągłość przynaj­mniej tonu uczuciowego, jeżeli nie filozoficznej postawy. Nie wielu biografów Conrada sięgało tak daleko wstecz; obcych po­wstrzymywały trudności językowe. Nie tylko zresztą, bo kiedy dotknie się przygód tej rodziny, przenika się w powikłania his­toryczne mało znanej części Europy, z mnóstwem dat, grupują­cych się dokoła okresu wojny krymskiej. Celem tego szkicu jest dokonać wyboru szczegółów, które by zbliżyły postać pisarza-ojca.

W ciągu całego wieku XIX-go Cesarstwo Rosyjskie zajęte było asymilowaniem terytoriów, które przypadły mu w udziale po rozbiorach polskiej Res Publica. Największą z tych prowincji była Ukraina prawobrzeżna, która ze względu na żyzność gleby i złe warunki dla rolnictwa w reszcie państwa, stała się najcen­niejszym nabytkiem korony. w dekretach urzędowych nowe obszary nosiły początkowo nazwę „ziem przyłączonych”, następ­nie „ziem odzyskanych” wreszcie „ziem rdzennie rosyjskich”, co było popierane wywodami uczonych, uznających ukraiński ję­zyk tylko za dialekt chłopski. Wywody te nie były witane z za­dowoleniem przez Ukraińców i przyczynić się miały później do śmiertelnych nienawiści pomiędzy dwoma słowiańskimi naroda­mi.

Ukraina miała też znaczny procent ludności polskiej. Struk­tura klasowa oparta była tam na pochodzeniu i na religii. Polak był synonimem szlachcica i katolika. Właściciel ziemski, dzier­żawca, oficjalista, lekarz, adwokat w miasteczku należeli do tej samej grupy społecznej, zróżnicowanej wewnątrz na panów i ich protegowanych. Łączyła ich wspólnota miejsca nadrzędnego w sto­sunku do niepiśmiennych i prawosławnych mas chłopskich, a także kodeks obyczaju, który stopniowo tylko tracił moc z na­dejściem „nowych czasów”, które przyniosły spekulację, rozwój cukrownictwa i zwiększone możliwości eksportu zboża przez port Odessy.

Zamieszkały na Ukrainie Teodor Korzeniowski był szlach­cicem i, wierny tradycji, żołnierzem. w jego młodości Polacy nadzieje na odsunięcie Rosji do jej dawnych granic łączyli z oso­bą Napoleona i Korzeniowski spełniał swój obowiązek patrio­tyczny: odznaczony krzyżem walecznych po bitwie pod Raszy­nem otrzymuje stopień oficera. Służy w wojsku polskim pod rozkazami Napoleona do 1812 roku włącznie i po wielu latach bierze udział w powstaniu 1830 roku, zostając znów parokrotnie odznaczony za męstwo. Wyprawy wojenne nie wyczerpują jed­nak tej biografii. Trzeba go zobaczyć również jako gospodarza objeżdżającego swoje pola konno czy tarantasem i jako pater familias. Świadectwa współczesnych mówią, że kapitan Korze­niowski miał skłonność do łgarstwa i samochwalstwa, co mu uchodziło ze względu na pamięć jego rzeczywistych przewag. w domu sprawował rządy tyrana, był skłonny do wybuchów niepohamowanego gniewu. Starym obyczajem synowie musieli całować go w rękę. z tych trzech synów był niesłychanie dum­ny i kiedy na przykład jeden z nich, Apollo, wyjechał na studia języków wschodnich, kapitan zapewniał wkrótce sąsiadów, że otrzymał od niego list po arabsku. Bogactwo szlachty polskiej na Ukrainie bywa często przesadzane. Korzeniowski miał żyłkę spekulancką i próbował dojść do majątku, ale ze skutkiem wręcz odwrotnym. „Straciwszy posagową wioskę żony (w powiecie winnickim), administrował z ramienia rządu wielką wieś Korytnę, skonfiskowaną po Jagiełłowiczu a pomimo że wieś była śliczna i dochód z niej wyprowadzony nizki, pomimo że był wcale pracowitym i umiejętnym gospodarzem — oddając się iluzyom i wedle nich żyjąc, resztki funduszu tam posadził” (1).

Przy końcu życia zaznał tragedii, która wtedy dotknęła wielu: wskutek polskiego „ruchu” skierowanego przeciwko Cesarstwu, dwaj jego synowie zostali deportowani — jeden, naj­młodszy, na Syberię, drugi, średni, na północ Rosji, trzeci, naj­starszy, zginął w nowym powstaniu. Kiedy kapitan umarł, do­wódca miejscowego garnizonu posłał orkiestrę wojskową na po­grzeb wroga — i ojca wrogów7.

Interesuje nas drugi z rzędu syn, Apollo. Urodził się 21 lu­tego (9 lutego starego stylu) 1820 roku w Honoratce na Po­dolu (powiat bracław7ski). Do szkół chodził w różnych miastecz­kach Ukrainy: Kamieńcu, Niemirowie, Winnicy, Żytomierzu. Stale go ze szkoły wyrzucano *za wolnomyślność.* Oznaczało to nie tyle tendencje wolteriańskie ile całkowity brak społecznego i politycznego konformizmu i wrodzoną gwałtowność, mającą później cechować jego pisma. Złe mniemanie władz o jego stanie ducha przeszkodziło mu, po skończeniu szkoły, uzyskać pasz­port na wyjazd do Berlina — miejsca pielgrzymek ówczesnej

1. Tadeusz Bobrowski, „Pamiętniki”. młodzieży. w 1840 roku wstąpił na uniwersytet w Petersburgu; studiował tam języki wschodnie i prawo. Jednak listy pisane po arabsku należą do legend jego ojca. Nie zdobył żadnego dyplomu i prawdopodobnie w ciągu czterech cży pięciu lat, dzie­lonych pomiędzy zimę w Petersburgu i wakacje na Ukrainie, zajmował się wszystkim tylko nie nauką. Wszystko oznaczało głównie literaturę i sprawy serca.

„I on miał Beatrycze swoją — pisze współczesny mu kry­tyk (2). Tą była pełna uroczych wdzięków, głębokiego rozumu, wytwornego wykształcenia i anielskiego serca ukraińska dzie­wica; naprzód przewodna gwiazda naszego poety, źródło jej na­tchnień, później narzeczona, w końcu żona i matka jedynego syna”.

Beatrycze nazywała się Ewelina Bobrowska. Jej brat miał stać się autorem pamiętników cennych dla historyka wieku XIX i opiekunem Józefa Conrada. Stwierdza on, że Apollo Korze­niowski „miał ustaloną reputację bardzo brzydkiego i nieznośnie złośliwego”. Uzupełnia tę uwagę spostrzeżeniem, że nieubłaga­ny w piśmie I w mowie był tylko dla bogatych, natomiast po­błażliwy dla maluczkich i łagodny w życiu codziennym, „dla równowagi”. Zgadza się to ze zdaniem innego biografa (2), który tak go określa: „Wszystko co zacne, co piękne unosiło go i wprowadzało w rodzaj ekstazy. Gdy mówił wtedy, łzami błyszczały oczy a twarz jego, zwykle ponura i oznaczająca się nieregularnością rysów, przybierała w chwilach rozrzewnienia albo zachwytu dziwnej jakiejś piękności i nieskazitelnego ducha wyraz”.

Ten ponury i wrażliwy młodzieniec przedstawiał dla rodziny panny zalety towarzyskie ale nie jako konkurent: bez zawodu, bez grosza, na utrzymaniu ojca, którego sytuacja finansowa też oceniana była jako nieświetna, nie dostarczał żadnych gwa­rancji. Wyświadczano mu więc przyjacielskie usługi, chcąc go wyswatać w sąsiedztwie; zawsze jednak umiał się tak urządzić, że używając swego złośliwego języka, zrażał w porę domy, do których go wożono. Zdołał wreszcie przezwyciężyć opór star­szego pokolenia i doprowadzić, choć dopiero w 1856 roku, do małżeństwa z Eweliną. Jednak z jego utworów można wniosko­wać, że długoletnie tortury ubogiego idealisty zostawiły trwały ślad, kształtując jego stosunek do kasty.

Większa część jego życia upłynęła na Ukrainie, gdzie administrował majątkami — dzierżawca w Łuczyńcu, następnie rządca i pełnomocnik Sobańskich w Derebczynce. Ta zewnętrzna szacowność służyła za parawan dla zajęć literackich. Był więc jednym z ostatnich pisarzy-ziemian, praktykujących swoją sztu­kę w wiejskim kącie. Co bynajmniej nie pomagało osiągnąć rów-

1. Stefan Buszczyński, „Mało znany poeta — jego stanowisko przed ostatniem powstaniem, wygnanie i śmierć”, „Czas” 1870. nowagi. Rozdwojenie jest widoczne. Temat maski, którą się nosi w towarzystwie, pozornie ulegając obowiązującym opiniom, powtarza się w jego sztukach teatralnych.

Apollo Korzeniowski był człowiekiem zrewoltowanym. Nie jedynym w ówczesnej Europie i Cesarstwie rosyjskim. Oscylo­wał pomiędzy szyderstwem i rozpaczą, kiedy „życie Świn”, ja­kie obserwował w swoim otoczeniu, zdawało się wynikać z sa­mej struktury wszechświata. Czytając jego wiersze podzieliliby­śmy ludzkość na „czujących” i „świnie” — podział romantycz­ny, który leży u podstawy ruchów rewolucyjnych, tworzonych przez intelektualistów. Szukał wsparcia u „czujących”, do nich należeli: Ewelina i paru przyjaciół-poetów. Ceniony jako tłu­macz zwracał się do pisarzy pokrewnych mu w odrazie do po­rządku rzeczy. w pierwszej swojej komedii naśladował Gribojedowa. Przełożył na polski „Chattertoria” Vigny, fragmenty „Legendy wieków” i prawie wszystkie dramaty Victora Hugo. Część tylko tych przekładów została ogłoszona drukiem. Wiemy, żc wracał do tej pracy w momentach dla niego najtrud­niejszych — tak więc w ostatnich latach swego życia, w Czerni­kowie, tłumaczył „Komedię pomyłek” Szekspira i „Ciężkie cza­sy” Dickensa.

Zasadniczym środkiem jego wypowiedzi był wiersz. Jako poetę zalicza się go do „drugiej fali” romantyków i ta wtórność, a więc pewna niezdolność do bezpośredniego czerpania obrazów z rzeczywistości, sprawia, że jego poematy są dzisiaj interesujące tylko jako przyczynek do ducha epoki. Niektóre z nich zdobyły ogromną popularność u współczesnych. „Słowa z Krzyża” napisane po upadku nadziei rewolucyjnych 1848 ro­ku krążyły w odpisach anonimowo i aż po wiek XX-ty przypi­sywano je, dość paradoksalnie, Krasińskiemu. „Najznakomitsza część jego poezji — powiada Buszczyński — spoczywa w rękopismach. Obiegają one niemal cały kraj w licznych egzempla­rzach, przechodząc z rąk do rąk, chciwie przepisywane, często przekręcone, a zawsze pod innym imieniem, które im dowolnie nieświadomość narzuca”. Buszczyński dodaje: „wszystkie zaś rękopisma jego znajdują się u autora tego artykułu i szukają nakładcy”. To w 1870 roku. Co się z nimi dzieje w 1956?

Cykl „Strofy oderwane” (3) jest zaopatrzony wr motto: „Ubi crux ibi poesia”. Na to motto Apollo Korzeniowski po­wołuje się później nieraz. Poezja jest więc dla niego funkcją cierpienia. „Crux” ma znaczenie podwójne, osobiste i zbioro­we. Dusza ludzka, podobna do gwiazdy strąconej w bioto, od­dzielona na sfery czystości nadziemskiej, była konwencją okre­su, i szwaczka na poddaszu, biorąc takie wiersze w palce po­kłute igłą, czuła, że wyrażają one jej marzenie o szczęściu nie­dostępnym. u Korzeniowskiego akcent rozpaczy jest szczery: zupełna samotność wśród ludzi zajętych sprzedawaniem i kupo-

1. Wydany ze sztuką „Komedia” w Wilnie, 1856. waniem, idiotyczną zabawą, rozrywkami pozycji i snobizmu. Powstaje przypuszczenie, że jego nieszczęśliwa miłość do Eweliny (której miał wzajemność ale nie rękę) stanowi ukryty szyfr wielu jego strof. Jego poematy są modlitwami o siłę wytrwania — bo gdyby nie wiara religijna jedynym wyjściem byłoby samobój­stwo. Ale „crux” oznacza również los zbiorowy: naród polski, według wyrażenia wprowadzonego przez jego poetów, był ukrzy­żowany, jego sytuacja stanowiła dowód skażenia Europy, obo­jętnej na wartości. Przez tortury, jakim był poddany, oczyszczał siebie i innych, był więc w swojej istocie narodem poezji, a „świnie” obojętne na sprawę zaprzeczały jego powołaniu. Korzeniowski wyrzuca sobie, że późno to zrozumiał:

*O jak długo, jak nikczemnie*

*Życie moje zamykałem*

*Przed natchnieniem i zapałem!.*

*W samolubnym zapomnieniu Pośród śmierci i żałoby, Pośród jęków i konania, Gdy młodości mej zarania Oświecały tytko groby, Ja nie miałem w oku łzy! Łkanie łona mi nie rwało, Serce młode nie bolało, Boże, Boże, przebacz mi!*

Nie jako autor wierszy, ale jako pisarz dramatyczny utrwa­lił swoje imię Korzeniowski, wtedy, kiedy wskutek swego „za­angażowania” zaczął pokazywać w sztukach wierszem znane sobie okazy ludzkie. Sięgamy do „Historii literatury polskiej” wydanej w roku 1877 (4) i znajdujemy w niej taki o nim sąd:

„Apollo Korzeniowski zajmuje nader wydatne stanowisko na polu poezji dramatycznej w naszej literaturze. Tematem wszystkich prac jego jest idea społeczna, przełamana przez pryz­mat poetyckiej fantazji i osobistego charakteru autora. w ut­worach swoich napada on przede wszystkim na zdemoralizo­waną sobkostwem i bezwładnością cząstkę społeczności szlachec­kiej. Lekkie przywary towarzyskie nie obchodzą go wcale; naj­chętniej wybiera on najczarniejsze plamy ducha ludzkiego: szal­bierstwo, wiarołomstwo, podstępność, zdradę — i wymierza im sprawiedliwość z uniesieniem namiętnem i posjonującą wymową. Dowcip jego gryzie do kości, ironija zabija. Śmiech jego podob­ny jest do warczenia, po którem następuje ukąszenie głębokie”.

Pierwsza ze sztuk, „Komedia”, została uznana przez ów-

Wykłady Zdanowicza, opracowania Sowińskiego. czesnych krytyków za przeróbkę. „Gorie ot uma” Gribojcdowa, przeciwko czemu Korzeniowski się bronił. Krytycy czuli się ura­żeni brutalnością z jaką traktowane jest w niej „dobre towa­rzystwo” i niewątpliwie rewolucyjną jej tendencją. Wydana drukiem w roku 1856 (w Wilnie), na scenę dostała się dopiero w roku 1952, kiedy to z okazji pra-premiery nazwano ją „naj­bardziej postępowym, najdrapieżniejszym i najzjadliwszym utwo­rem literatury lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku” (5). Następ­na sztuka, „Dla miłego grosza”, wydana w roku 1859 (w Pe­tersburgu), była grana z powodzeniem za życia autora przez teatry polskie w Żytomierzu i Kijowie. Obie łączy postać boha­tera. Jest nim Henryk, czysty, „czujący” i całkowicie obcy śro­dowisku właścicieli ziemskich, bo „proletariusz” to jest bez majątku. Przedmiotem nienawiści autora jest korrumpująca siła pieniądza. Schemat akcji w obu dramatach jest podobny; mał­żeństwo nie dochodzi do skutku z powodu intryg, jakich ofiarą pada szlachetność. Trudno właściwie zrozumieć dlaczego Hen­ryk w „Komedii’ odtrąca rękę ukochanej, kiedy już działania wrogów ich obojga zostają zdemaskowane: częściowo dlatego, że nie ma już zaufania do niczego w tym środowisku i „otrzą­sa pył ze stóp”, częściowo dlatego tylko, że szczęśliwe zakoń­czenie byłoby przeciwne pesymizmowi autora. w „Dla miłego grosza” Henryk, o dziesięć lat starszy, nie jest już młodym entuzjastą i spiskowcem przeciwko porządkowi społecznemu. Zaadaptował się, nosi maskę i ceniony jest nawet za swój dowcip — który kryje wstręt i pogardę. Nie jego już małżeństwo stanowi wątek sztuki. Jego przyjaciel, Józef, rewolucjonista, wraca z sześcioletniego zesłania i zakochuje się w pannie z „dobrego domu”. Henryk waha się pomiędzy chęcią udziele­nia pomocy przyjacielowi i odwrócenia niebezpieczeństwa bo wie, że panna udaje uczucia wobec każdego o kim mówią, że jest bogaty. Józef, wbrew jej przypuszczeniom, nie posiada nic. Akcja obu sztuk rozgrywa się w stolicach zbożowych Ukrainy: w Odessie I w Kijowie.

Wartość tych dramatów (w przebraniu komedii) polega na gwałtowności inwektywy w wierszu i na dialogach idących ostrze na ostrze (np. Henryk - Anna w’ „Dla miłego grosza”). Henryk próbuje wyleczyć swego przyjaciela ze złudzeń:

„WTersyrs? *wierzysz? Ty wierzysz? to czysty idiota!*

*A* gdy cif *Anna zdradzi? uwierzysz że cnota*

*We mnie mieszka. Ja zdradzę — ty uwierzysz w kota! Kot zdradzi — w psa uwierzysz! pies zdradzi — ty wiarę Włożysz w stół, w krzesło, w biórko, w cybuch, w boty stare, w kalendarze, w nagrobki! — Ty w mroźne zawieje Bez futra możesz jeździć — bo cię wiara grze je!”*

(5) ’an Kott, cyt. Roman Taborski „Dwa ostatnie dramaty romantycz­ne”. „Twórczość”, sierpień 1955. Panowie zjeżdżający się na kontrakty kijowskie ze swoich dworów czy doglądający swoich interesów w Odessie nie przej­mowali się zbytnio sprawą narodową i nawet mieli powody, że­by sobie winszować korzyści, jakie im dawała przynależność do rosyjskiej korony. Dla tych co „wierzyli”, ta płaska egzys­tencja była nie do zniesienia. „Dla miłego grosza” ukazała się z białymi plamami, które w niej wyrąbał ołówek cenzora. Roz­mowa w salonie jest jakby powtórzeniem „salonu warszawskie­go” w „Dziadach”. Aluzje polityczne są wyraźne:

*Będziem wiecznie w cieniu*

*W ciszy, jakby za piecem; możemy handlować,*

*Iść po drodze postępu, sprzedawać, kupować,*

*I tak spędzić to życie, że w skonania chwili*

*Nikomu myśl nie przyjdzie, żeśmy nawet żyli.*

Cóż znajdzie tutaj Józef (pokolenie 1848 roku) wracający ze zsyłki? Jego miłość do Anny okazuje się nieporozumieniem:

.1 *byłem szalony*

*By o ten grób robactwa, chociaż wyzłocony*

*Który jest dla nich światem fałszu i próżności Roztrzaskać resztki wiary, nadziei, miłości!*

*O ten świat, w którym każdy ku nowej kolchidzie*

*Po złote runo bieży, lub pełznie, lub idzie!*

*Na drodze serce — depcze! Uczucie — potrąci! Poświęcenie — wyśmieje! Wiara — fałszem zmąci, Cnota — oplwa! i rad swej zmyślności zwierzęcej, Śmieje się głupim śmiechem — bo ma rubla więcej l”*

Świat bez honoru. Balzak oswoił nas z perfidią i znieprawieniem, jakie wytwarzała władza złota. Jednak takich kobiet- monstrów jak u Korzeniowskiego nie spodziewalibyśmy się zna­leźć w sztukach pisanych wierszem w połowie XIX-go wieku. Monstra są piękne, pełne powabu i inteligentne. Nie cofają się jednak przed niczym tam, gdzie chodzi o zapewnienie sobie wy­gody przez kontrakt ślubny: ulegalizowana prostytucja. w „Komedii” taka wdzięczna istota fałszuje list, żeby uchro­nić posag i zrujnować szczęście swojej serdecznej przyjaciółki. w walce przeciwko niej Henryk znajduje sojusznika w praw­dziwym proletariuszu: sekretarzu. Ten nędzny buchalterzyna, co drży o swoją miesięczną pensję i dla niej bierze udział we wszystkich nieczystych sprawach Prezesa, w pewnej chwili bun­tuje się i rzuca wyzwanie swoim chlebodawcom. Gra pełną staw­kę to znaczy ryzyko śmierci głodowej. Jedyny to wypadek kiedy u Korzeniowskiego występuje postać spoza kręgu ludzi o do­brych manierach, akceptowanych (pomimo ich ubóstwa jak na przykład Henryk czy Józef) przez kastę.

Pomiędzy drugą i trzecią, ostatnią, sztuką Korzeniowskie­go (pomijamy tutaj kilka jego obrazków scenicznych dla dzieci) leży okres, w którym posunął o stopień dalej swoje poczucie obowiązku i przystąpił do akcji konspiracyjnej, co doprowadziło do jego uwięzienia. Ta trzecia sztuka ukazała się kiedy już chory na suchoty zdołał wyjechać z granic Cesarstwa rosyjskiego i mieszkał w Galicji Habsburgów. Nazywa się ona „Akt pierw­szy” (6). Grano ją w obecności autora we Lwowie. Przedmowa zawiera podziękowanie dla aktorów tamtejszego teatru i wykład poglądów na rolę literatury. Korzeniowski usprawiedliwia się, że jego pisma nie osiągają tej doskonałości, jakiej sam mógłby od nich oczekiwać.

„Widocznym jest bowiem z innej strony — pisze — że są położenia społeczeństw, w których porządku, miary, zaokrągleń wymagać nie można od żadnego objawu życia, tern bardziej od Sztuki. — w takiem położeniu od lat stu my znajdujemy się. — Część nas jest społeczeństwem helotów — i to najlepszego, czy najgorszego gatunku — którzy utylitarnie zgodzili się na przy­musowe położenie aby tylko spokojnie mogli ogryzać rzucane im z łaski kości... Wyrwać się z takiego położenia, opamiętać tych, co je w spokojnej, haftowanej i galonowanej hańbie znoszą, stało się naturalnie zadaniem drugiej połowy społeczeństwa. — Takie dwa różne, sprzeczne sobie, a bojujące z sobą kierunki odbiły swe odrębne cechy na potęgach społecznych: — na życiu rodzinnym — na Nauce — na Sztuce, to jest na dobrze, praw­dzie i pięknie codziennego życia”.

I dalej, wyznanie o literaturze będącej tylko surogatem czynu: „Widzimy całe pokolenie pisarzy i poetów trzymają­cych pióro jako oręż: miecz to ciągle odporny, często zaczep­ny. Trudno mieć za złe to uzbrojenie wieczyste ludziom którzy nic nie mają — a wszystko odzyskać powinni. Przed zadaniami życia na bok nieraz idą ścisłe sztuki zadania. Ztąd częste uster­ki przeciw wiecznej pogodzie obojętnych błękitów estetyki. — Nikt z literatów z pod hasła „Sztuka dla Sztuki” na taką za­sadę się nie zgodzi. — To też Bóg z nimi. — My sami, — i wielu innych do mienia literatów nie rościmy pretensji. Jednak dawno już pióro i niebezczynnie trzymamy w ręku. — Powtó­rzymy słowa włoskiego patryoty i poety:,Piszę dla tego tylko — że działać obecnie nie mogę’ ”.

„Akt pierwszy” jest krótką tragedią. Nazwa wskazuje na zamiar ułożenia cyklu luźno być może ze sobą powiązanych ta­kich scen w których pojawia się Fatum. Spokojna rodzina szla­checka, radość, pomyślność — i cios który spada w najmniej oczekiwanej chwili a dlatego, że żona pochodzi z rodu skażone­go kolaboracją (Targowicą). Zdradza męża z człowiekiem po­chodzącym z równie skażonego rodu. Można więc wywniosko-

1. Akt pierwszy. Biblioteka teatralna lwowska. Zeszyt IV. Lwów, 1869.

wać, że służba wrogom, to jest Rosjanom, jest zawsze objawem jakiegoś osłabienia instynktu moralnego i że ta cecha psychoso­matyczna przekazuje się dziedzicznie. Jeżeli w wielu znanych nam tragediach Fatum działa poprzez dziedziczną predylekcję tło morderstwa czy kazirodztwa, nie widać dlaczego nie mogłoby się ujawnić I w ten sposób, jeżeli założymy, co nie jest pewne, że wszelka kolaboracja wynika zawsze z tych samych przyczyn to jest słabych nerwów i przywiązania do materialnych korzyści. w rodzinie Korzeniowskich przejawił się natomiast wręcz od­wrotny atawizm: wierności za wszelką cenę.

♦

Poeta który tak namiętnie odnosił się do problemów swego kraju nie mógł pozostać obojętny na aktualne wówczas spory i wolno nam zapytać jaka była jego myśl polityczna. Jak się zdaje, w jego osobie zagnieździł się paradoks właściwy polskim prądom rewolucyjnym XIX wieku. Zrewoltowany Rosjanin, je­żeli chciał uratować siebie od pesymizmu i bezsilnej ironii, musiał obrócić się przeciwko tronowi, a co za tym idzie niszczyć mit patriotyczny złączony ściśle z tronem i prawosławiem; nie było to łatwe, jak wskazują choćby wahania Puszkina, carosławna faza Gogola czy powściągliwy liberalizm Turgieniewa. Zrewoltowany Polak nie miał takich utrudnień. Zło zdawało się przychodzić tylko z zewnątrz, następowała więc całkowita identyfikacja walki o niepodległość I o nowe oblicze ziemi. Jed­nakże, ponieważ poczucie biologicznego zagrożenia ze strony „olbrzyma północy” było silne, ponieważ chodziło o przeciw­stawienie się mu jako zbiorowość, walka wyzwoleńcza zyski­wała pierwszeństwo, a na Rosję przerzucało się odpowiedzial­ność za wszelką nieprawość, na przykład za tępe bytowanie szlachty, przedstawiając nieraz jako upodlenie niewolą to, co było w istocie wynikiem struktury społeczej i postępów kapita­lizmu. Znaczyło to, że chwila odzyskania wolności odgrywała w umysłach większości zrewoltowanych Polaków tę samą rotę co później chwila Rewolucji dla marksistów: absolutnego po­czątku, całkowitego rozwiązania. Stąd projekty radykalnych re­form bronione były jako środek którv służył nadrzędnemu ce­lowi, to jest mobilizacji mas do akcji zbrojnej. Czynni uczestnicy walki odsuwali je w przyszłość, zadawalając się czysto uczucio­wą sympatią do upośledzonych; dlatego też tak łatwo stępiało się ostrze społeczne,.ruchów”. Psychologia Korzeniowskiego wskazuje, że u podstawy jego działań tkwiła niezgoda na egzys­tencję w ogóle, na satnp „życie bez celu”, od czego dokony­wało się przeskoku w ziemski absolut mający twarz Ojczyzny. w innych warunkach przybrałby on może twarz Ludu czy Sztu­ki. Atak Korzeniowskiego na sztukę jest wymowny: nie służy się dwum bogom. Słowo Ojczyzna jednak, żeby zachować ideal­ną czystość, musiało oznaczać miłość wzajemną wszystkich i cno­ tę. a przecież w roku 1846 zaszły wypadki które dowiodły, że istnieją w Polsce potężne konflikty klasowe. Rzeź galicyjską Korzeniowski oceniał nie jako ostrzeżenie, ale jako wybuch dzi­kości, zagrażający solidaryzmowi narodowemu:

*A z wrogiem walczcie!... o! walczcie bez końca —*

*Poświęceń siłą, łez krwawych goryczą;*

*Nie żadiną pychą kasty albo rodu Co wiecznym wrzodem biednego Narodu, Nie żadną rzezią bratnią... rozbójniczą, Co czeka nocy a lęka, się słońca — Przebaczcie sobie —*

Dwie postacie pozwalają nam wniknąć w dziwaczne rozło­żenie akcentów w ówczesnych poglądach. Są to Apollo Korze­niowski i brat jego ukochanej żony, Tadeusz Bobrowski. Ten nie miał w sobie nic z romantyka i rewolucjonisty. w zgodzie ze swoim otoczeniem, trzeźwy, przyznawał się z humorem w swoich pamiętnikach do niewrażliwości na zbyt wzniosłe sfery ducha i patrzył na zrewoltowanych typu Apolla z pobłażliwym sceptycyzmem. I, rzecz zastanawiająca, ten liberalny konserwa­tysta wykazywał lepsze niż Apollo zrozumienie dla kwestii do­magających się pilnego rozwiązania. Poświęcał im wiele swego czasu, biorąc udział w zjazdach, naradach i petycjach do władz.

Kluczowym problemem tego okresu była sprawa uwłaszcze­nia chłopów. Szlachta Ukrainy i Litwy zajmowała tu stanowisko bardziej postępowe niż szlachta rosyjska z jednej strony, szlach­ta Królestwa, z drugiej. w istocie od niej szła w Cesarstwie inicjatywa zmian, co stanowiło dowód dobrej obrony przez nią jej własnych interesów: rozumiejąc, że proces jest nieunikniony, starała się nadać mu charakter możliwie bezbolesny. Bobrowski był szczególnie aktywny przy układaniu coraz to nowych memo­riałów poprzedzanych zawiłą grą dyplomatyczną na zebraniach sąsiedzkich. To tłumaczy odcień przyjaznej ironii z jakim pisze o Korzeniowskim:

„Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za „ultrasa” i za „czerwonego”, było w nim sto razy więcej „żyłek szlacheckich” — jak mu to nieraz dowodziłem — jak we mnie, którego ani on, ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali”.

„Nigdy nie mogłem dojść ostatecznego składu jego przeko­nań politycznych i społecznych, oprócz mglistego pociągu do Rzeczypospolitej jako formy, a w niej coś równie mglistego per modum praw' zagwarantowanych Konstytucją 3 maja, co na nasze czasy już było za mało. w kwestii włościańskiej na przy­kład wahał się co do uwłaszczenia; sympatyzował (z moją my­ślą w’ tej kwestii, jeszcze w 1854 wypowiedzianą), ale obawiał się i twierdził, że wypowiedzieć ją chyba mogą ci, którzy po­siadają ziemię. Nie dziwię się wcale, a tylko konstatuję fakt, że w ogóle poeci, ludzie wyobraźni i ideałów, nie są w możno­ści sformułowania jasno konkretnych postulatów życia, i najle­piej też zrobią, jeżeli się do tego nie mieszają, zostawiając tę robotę może mniej czystym i idealnym duszom, ale świadomym walk i potrzeb doczesnego żywota”.

Nie znaczy to, że Korzeniowski lekceważył Lud; szukał w nim jednak przede wszystkim zdolności do porywów narodo­wych. Co do chłopów w jego okolicach, stwierdzał duże pogor­szenie się ich losów od czasu jak przeszli pod władzę Rosji: dawniej nie musieli dawać rekruta i przynajmniej administracja była uczciwa — dlatego spodziewał się, że łatwo byłoby ich po­rwać do walki. Wojna krymska wprowadziła go w stan nie­słychanego podniecenia. Nie zapominajmy, że toczyła się ona u wrót Ukrainy, że emigracja polska w Paryżu gorączkowo za­biegała w kancelariach dyplomatycznych, że w Konstantynopolu tworzył się Legion polski przy armii tureckiej, pomysł mniej sza­leńczy, niż się to wydaje dzisiaj, skoro się zważy, że przez dłu­gi okres Polska i Turcja miały wspólną granicę. Korzeniowski w roku 1855 żył myślą ludowego powstania, które by w połą­czeniu z naciskiem militarnym Aliantów, zadało cios decydujący Rosji. i właśnie wtedy zdarzyło się coś, co zdawało się potwier­dzać jego nadzieje: prawdziwa chłopska insurekcja.

Relacje o tym fakcie podają zarówno Korzeniowski jak Bo­browski. Zgodni są w jego ocenie, różnią się nieco w interpre­tacji. Chłopi ukraińscy z wielu wiosek gubernii kijowskiej pew­nego dnia zebrali się w gromady i opieczętowali karczmy („szczoby ne skazały, szczo horyłka w nas howorit’ I w nas oruduje”, następnie szli do dworów i domagali się „woli” pro­ponując układ: 1/3 zbiorów dla nich, 2/3 dla panów. Popów i urzędników pławiono w stawach. Nic zabito jednak ani zra­niono nikogo. Przez 12 dni, kiedy cała władza była w rękach chłopów’, wyznaczone przez nich warty pilnowały porządku, pra­cowano na polach. Lokalna administracja rosyjska wpadła w pa nikę. Przedstawiała ona bunt jako dzieło polskich emisariuszy- socjalistów z Paryża — co było fałszem, bo ruchawka wybuchła spontanicznie. Równocześnie zastosowano chwyt klasyczny: w Białej Cerkwi stacjonował wtedy kontyngent rekrutów z Kró­lestwa. Rekruci ci nie umieli po ukraińsku. Rozpuszczono więc wieści, że jest to drobna szlachta przebrana w mundury przez panów, która ma być użyta do ekspedycji karnej. Próba prze­rzucenia odpowiedzialności za to co nastąpiło na Polaków miała szanse powodzenia, bo właściciele dworów uciekli, chowając się za plecy rosyjskiej armii; z oburzeniem wspominają o tym Ko­rzeniowski i Bobrowski.

Wojsko, w’sparte przez armaty, strzelając salwami do tłu­mów stosujących tylko bierny opór położyło kres powstaniu. Przywódca został skazany na 3.000 pałek, inni na 2.000 - 500 pałek, wszyscy zesłani na Sybir.

Dla Korzeniowskiego to wydarzenie 1855 roku było potęż­ nym wstrząsem. Mówiąc w trzeciej osobie opowiada, że pomimo pośpiechu znalazł się na miejscu buntu za późno: „Ten, co śpieszył wziąć w nim udział mógł tylko sercem odczuć, zapłakać i tyle wynieść z tego ruchu, aby go kiedyś przed sumieniem Polski i ludzkości zaświadczyć” (7). Świadczy więc, że chłopi wzywali panów, żeby stanęli na ich czele i uderzyli na Rosjan. Że na śledztwie przywódca powiedział: „Nyma czoho ukrywaty. w trydciat perszom hodu my buły durni, szczo z panami ne stały; a teper pany durni, szczo z nami ne derżały”. Że ostat­nimi słowami przywódcy gnanego na kaźnię było wezwanie do „ludi dobrych” aby nie wierzyli w pogłoski o szlachcie czynszo­wej przebranej w mundury. Wszystkiego tego sam nie mógł słyszeć i nikt już dzisiaj nie sprawdzi tej wersji dowodzącej w; każdym razie, że po wypadkach została legenda.

Konserwatysta Bobrowski daje oświetlenie czysto klasowe: bunt wybuchł ponieważ wśród chłopów rozeszła się wiadomość, że istnieje ukaz cara, przyznający im prawa „wolnych koza­ków”. Jeżeli pławili popów to dlatego, że oskarżali ich, iż są przekupieni przez panów i dlatego trzymają ukaz w tajemnicy. Więc „dobry car” i „źli biurokraci”. o żadnych narodowych tendencjach nie wspomina.

Trudno się oprzeć wrażeniu, wspartemu o sztuki teatralne Korzeniowskiego, że miał on nostalgię do czasów patriarchalnych, do stosunków pomiędzy panem i chłopem opartych na po­jednaniu we wzajemnych obowiązkach bardziej niż w prawach. Nostalgia szekspirowska. Przeszłość przybierała barwy utraco­nych cnót. i chcąc przyłączyć się do chłopskiego buntu, uważał, być może, że jest w'ierny zarówno tym cnotom, jak swojej wie­rze w odsiecz od strony Morza Czarnego.

Od lat wojny krymskiej przybiera na sile nowa fala pol­skiego ruchu antyrosyjskiego, który doprowadzi do powstania 1863 roku. Tutaj drogi Korzeniowskiego i Bobrowskiego się rozchodzą. Pierwszy poświęca się całkowicie działalności konspi­racyjnej, przenosi się wkrótce do Warszawy i jest tam założy­cielem Komitetu Centralnego, który przekształci się w rząd re­wolucyjny. Drugi odnosi się do „ruchu” zdecydowanie wrogo, uważając, że nie ma on żadnych obiektywnych danych powo­dzenia. Gwałtownie też występuje przeciwko rozszerzeniu plano­wanego powstania na Litwę i Ukrainę. Skarży się później w swoich pamiętnikach, kiedy słuszność jego przewidywań zo­stała tragicznie potwierdzona:

„Postanowiono dla wysokich względów politycznych „krwią zaznaczyć granice” — co było podwójnem szaleństwem, bo naj­przód wykazywało obszerność rewindykacji wobec nowych his­torycznych i politycznych haseł nieuzasadnionych, następnie musiało wykryć nieodwołalnie sekret naszej słabości liczebnej w obu prowincjach”.

1. „Polska 1 Rosja”.

Powstanie 1863 roku było zjawiskiem złożonym — i miało złożone następstwa. Spowodowało ono szał szowinizmu w Rosji i nieliczna grupa rewolucyjnych demokratów rosyjskich, której poglądy wyrażał w Londynie „Kołokoł” Hercena, była odosob­niona w swoim solidaryzowaniu się z Polakami. Carat, jak zaw­sze kiedy należało trzymać Polaków w ręku, szukał zbliżenia do Prus. Wobec objętego „miatieżą” terytorium stosował nato­miast pewne wypróbowane chwyty wynikające ze zrozumienia roli propagandy, bez której terror jest nieskuteczny. Zrobił więc użytek ze sprawy chłopskiej. w roku 1861 Aleksander II ogłosił był manifest o uwłaszczeniu chłopów. Moc tego manifestu roz­ciągała się na Litwę i Ukrainę, ale nie na autonomiczną pro­wincję: Polskę, gdzie status chłopa nie uległ zmianie. „Ruch” miał charakter narodowy a więc jego przywódcy, zgodni w dą­żeniu do niepodległości, byli zwolennikami różnych, nieraz cał­kowicie sprzecznych rozwiązań tego podstawowego zadania, utrudnionego przez opór stronnictwa „Białych”, w którym głos decydujący mieli wielcy właściciele ziemscy. Postać Korzeniow­skiego, jako jednego z najbardziej aktywnych konspiratorów, pozwala zresztą odpowiedzieć na pytanie dlaczego oświadczenia rządu rewolucyjnego o wolności ekonomicznej dla chłopów przy­szły z opóźnieniem: tych bojowników pożerał absolut Ojczyzny, ku niemu kierowała się przede wszystkim ich uwaga i ku północy z Francji, która nadejść nie mogła. Decyzja rewolty za­padła poza tym w chwili nieprzewidzianej, jako retorsja na ogło­szoną przez władze brankę rekruta — dziś porównalibyśmy to z wywózką na roboty. Chociaż oddziały powstańcze składały się w większości z ludzi niskiej kondycji, izolowanie ich od wiosek udało się urzędnikom cara w dużym stopniu z chwilą, kiedy przedstawili oni powstanie jako bunt szlachty, broniącej swoich przywilejów, a tron jako dobroczyńcę chłopów. Regularne woj­ska miażdżyły w lasach powstańców uzbrojonych w dubeltów­ki i nie wielu żołnierzy przeciągnęło na przegrywającą stronę hasło: „Za naszą i waszą wolność”. Po czym chłopi dostali uwłaszczenie z rąk monarchy i zaczęły się organizowane przez administrację bizantyńskie orgie wdzięczności z kadzeniem przed portretami Cara. Równocześnie cały kraj pokrył się szubieni­cami a tysiące skazanych odbywało drogę na Sybir.

Raport urzędowy umieszczony w „Wilenskom Wiestnikie” (8) daje pojęcie o atmosferze, jaką urzędnicy cesarscy starali się wprowadzić w dziękczynne zgromadzenia po wsiach (na Wileń­szczyźnie nazywało się to „wyzwoleniem z polskiego jarzma”). „Była to chwila — powiada raport — najuroczystsza, najprzy­jemniejsza... Od zbytku uczucia wszyscy rozpłakali się. My — nie myśleliśmy, że to tylko portret ubóstwionego Cara-Ojca. Nam się zdawało, że *Sam On, Najmiłosierniejszy* objawił się

1. Cytuje „Ojczyzna”, dziennik wydawany przez Agatona Cillera w Lipsku, z dnia 17 czerwca 1864 roku. nam osobiście, ażeby widzieć naszą radość. My — nie wiedzie­liśmy co robić, każdy z nas wyprzedzając się śpieszył przylgnąć swojemi ustami choć do krawędzi ramy portretu”.

W tym samym duchu była aranżowana akcja propagando­wa na terenie międzynarodowym. Nic dziwnego, że wprowa­dzała ona patriotów stawianych przez nią pod pręgierz w rodzaj <jsłupienia. Artykuł wstępny z 27 maja 1864 roku w emigracyj­nej „Ojczyźnie” tak dobrze to osłupienie ilustruje, że warto wziąć z niego obszerniejsze cytaty.

„Gdyby tylko uwierzyć na słowo moskiewskiej dyplomacji, to nie ma na świecie rządu, który by goręcej miłował sprawę cywilizacji i społecznego postępu, — który by troskliwiej czuwał nad najdroższemi interesami ludzkości, — który by nakoniec z taką macierzyńską miłością zajmował się losem podwładnych mu ludów — jak rząd carski.

„Wzniosłe pojęcie potrzeb społecznych, szlachetne poczu­cie posłannictwa, jakie Moskwa ma spełnić ku uszczęśliwieniu rodu ludzkiego, obrona porządku i zdrowego postępu — słowem najidealniejsza filantropia są jedynemi pobudkami wszystkich działań moskiewskiego rządu. Ukazy carskie oddychają dziwną jakąś, serdeczną dobrodusznością i słodyczą — noty dyploma­tów carskich zdolne są rozrzewnić najtrwardsze serca...

„Wszystko nazewnątrz piękne i ponętnie wygląda, w tych olbrzymich, na łatwowierność ludzką zastawionych żelazach, któ­re świat cesarstwem rosyjskiem nazywa; wszystko obrachowane na efekt, zarządzone misternie jak teatralna dekoracja, świetne i błyszczące z pozoru...

„Urzędowe dzienniki carskie, mianowicie dla Europy reda­gowane, umiejętność maskowania wszelkich działań moskiew­skiego rządu doprowadziły prawdziwie do doskonałości. Naj­nikczemniejsze czyny, najbardziej krzyczące nadużycia umieją one rozłożyć w pryzmacie moskiewskiego ducha na najszlachet­niejsze kolory. Jest to prawdziwa fantazmagoria, czarnoksięski aparat, w którym morderca przemienia się w anioła pokoju; zbrodnia pozuje w niepokalanej szacie cnoty; ucisk, despotyzm, barbarzyństwo zdają się być trzema gracjami miłości, słodyczy i ludzkości; w którym krew ofiary przybiera na się postać czu­łych łez jej zabójcy, — a cały świat i wszystkie zasady prawdy i moralności, w tak dziwne a coraz inne mienią się kolory, że zawrót ogarnia głowę, a w duchu taki powstaje zamęt, iż traci się nawet jasne pojęcie złego i dobrego...”

„W dziennikach moskiewskich redagowanych na Europę, cały szereg okrucieństw spełnionych w Polsce, przedstawionym jest, jako jedno nieprzerwane pasmo dobrodziejstw. Car tam z ojcowską radością dowiaduje się o uśmierzeniu powstania, dzię­kuje serdecznie wiernym sługom swoim, że tak dobrze pojęli wspaniałomyślne jego dla Polaków zamiary i trafnie dzieło uspo­kojenia spełnili; cieszy się, że nakoniec Polacy jego poddani zaczną używać znowu pokoju i błogiego szczęścia... Mało na tern: z wysokości tronu zstępuje, aby się przybliżyć do najmil­szych mu włościan polskich, o których szczęście bardziej niż o moskiewskich się troszczy, przemawia do nich jak ojciec do dzieci swoich, częstuje w swoim pałacu — i wznosi toast za braterstwo dwóch nierozdzielnych, a równo ukochanych mu lu­dów, Polaków i Moskali...”

Powstanie 1863 roku zostało na ogół surowo ocenione przez polskich historyków. Trudno jednak znaleźć ostrzejsze słowa pod jego adresem niż w pamiętnikach Tadeusza Bobrowskiego. Wolno sąd jego uznać za przejaw obrachunków po klęsce, zbli­żyć go do szkoły krakowskiej — tak samo myślał Bobrzyński. Ale nie trzeba zlekceważyć obserwacji zawsze trzeźwego czło­wieka. Bobrowski wykazuje beznadziejność powstania, w które rzucił przywódców automatyczny rozwój nastrojów, jakie roz­huśtali sami. „Posługiwano się więc” — zauważa — „fałszem jako udatnym narzędziem: jedni, świadomie dla celów rzekomo wyższych, wyższym umysłom dozwolonych, drudzy bezwiednie, przez lekkomyślne powtarzanie i szerzenie wieści, przebiegają­cych w obie strony z Paryża do kraju, z kraju do Paryża. Po­sługiwano się fałszem bez skrupułu, od sekretarza gabinetu Na­poleona III i księcia Plon-Plona, przez wszystkie sfery i sta­nowiska społeczności polskiej, aż do skromnego alkierza pro­wentowego pisarza wiejskiego, którego znowu fałszywym przedstawieniem potęgi sił, mających przybyć z zagranicy, po­ciągano i wciągano do ruchu. Bez przesady twierdzić wolno, że ruch i86i-i863 roku poczęty w fałszu — bo jest nim każda choćby najszlachetniejsza iluzya — stał fałszem, szerzył się w fałszu, i upadł w fałszu...” Zauważmy raz jeszcze dla ścisło­ści, że Bobrowski (którego brat odgrywał w powstaniu wybitną rolę) był anty-rewolucjonistą, a więc z zasady przeciwnikiem wszelkich „iluzyi”.

Oczywiście nie da się sprowadzić skomplikowanej gry sił społecznych do takiego czy innego schematu. Warszawa, do­kąd Apollo Korzeniowski przeniósł się w 1861 roku, była areną bojów pomiędzy konspiracyjnymi grupami i frakcjami. Zajmo­wał stanowisko zbliżone do lewicy „czerwonych”, ale nie wiele o jego poglądach na ówczesne rozgrywki wiemy. Wiemy tylko, że kiedy zakładał pismo i zabiegał nad utworzeniem Komitetu Centralnego, cudem niemal uniknął śmierci z rąk „partii szty­letników”. Wkrótce potem, w październiku 1861 roku, areszto­wany, został osadzony w Cytadeli. Policja nie znalazła w czasie rewizji żadnych kompromitujących dokumentów, w śledztwie nie wydobyła z niego żadnych zeznań. w ciągu g-ciu miesięcy spę­dzonych w Cytadeli, Korzeniowski cierpiał na reumatyzm i szkor­but. Napisał tam książkę modlitw i pieśni pod tytułem: „W do­ mu I w świątyni”, z mottem: „Morituri vos salutant”. w kwietniu 1862 roku zapad! wyrok: deportacja, stosownie do jego życzenia do Perma, gdzie jego dawny kolega szkolny by! gubernatorem — ten, jak się później okazało, przestraszy! się kłopotliwego więźnia i wskutek jego zabiegów skierowano Ko­rzeniowskiego do Wołogdy. Koledzy z konspiracji proponowali wykradzenie — Korzeniowski odmówił, bo jego zdaniem nie po­winni byli narażać życia dla jednostki.

Podróż na północ Rosji odbywała się końmi, pod konwo­jem. Towarzyszyła w niej Apollonowi dobrowolnie żona z pięcio­letnim Konradem, późniejszym powieściopisarzem angiel­skim (9). Dzieci i kobiety źle znosiły tygodnie jazdy bez odpo­czynku. Zbliżano się do Moskwy, kiedy Konrad zachorował nie­bezpiecznie. Żandarmi nie chcieli słyszeć o zatrzymaniu się — ale w Moskwie przeprzęgano konie i matka, stanąwszy w oknie stacji pocztowej, zaczęła wołać: „Ratujcie moje dziecko”. Zna­lazł się ktoś z mieszkańców miasta, kto udzielił pomocy i spro­wadził lekarza-Polaka, którego Korzeniowski znał w latach mło­dzieńczych w Winnicy. Lekarz stwierdził u dziecka zapalenie mózgu, interweniował u władz i zdołał uratować pacjenta. z ko­lei zachorowała Ewelina. Pod Niżnim Nowgorodem stan jej był tak ciężki, że żandarmi wynosili ją do powozu na przeście­radłach. Apollo rzucił się wtedy na nich i determinacja jego musiała być rozpaczliwa, jeżeli w bójce jednego przeciwko wielu złamano dyszel powozu. Przejeżdżający oficer rosyjski zwy­myślał żandarmów i wyrobił rodzinie pozwolenie zostania w Niż­nim Nowgorodzie przez dziesięć dni.

O wybuchu powstania Korzeniowski dowiedział się w Wołogdzie. o tym, że nie było ono przewidywane w tej formie przez najbardziej aktywnych przywódców „ruchu”, że wymknęło się im ono z rąk, świadczy jego okrzyk: „Nie tą drogą! Nie tą drogą! Zawsze tak u nas! Albo zbyt późno, albo za wcześnie! Ale Bóg wielki!”

♦

Kiedy przyjaciel Józefa Conrada, Robert Cunninghame Graham, zaprosił go w roku 1899 na meeting pacyfistyczny w Londynie, Conrad odpowiedział, że widzi „przyszłość w głębi bardzo ciemnej przeszłości” i że chce zachować „wierność spra­wie beznadziejnie przegranej, idei bez jutra”. Odmawiał przy­jęcia zaproszenia: „Otóż na tym meetingu będą *Rosjanie. Nie­możliwe!* Nie mogę uznać idei braterstwa, nie dlatego, że uważam ją za nie do zrealizowania, ale z powodu jej propagan­dy (jedynego naprawdę uchwytnego jej elementu), która zdol­na jest osłabić poczucie narodowe, a właśnie zachować je jest

Ojciec-poeta nadał to imię synowi, jak wolno nam się domyślać, na cześć Konrada Wallenroda i Konrada z „Dziadów”. przedmiotem mojej troski” (io). Wiadomo jakim gniewem uniósł się Conrad, kiedy krytyk amerykański H.L. Mencken dopatrzył się w jego dziele cech słowiańskich. Jest w jego pro­teście cały zaciekły anty-panslawizm Polaków. z literaturą ro­syjską nie chce mieć nic wspólnego i stwierdza, że jeżeli czytał kilka powieści rosyjskich to w tłumaczeniu. „Ich mentalność i ich uczuciowość zawsze były dla mnie odrażające, ze względu na dziedziczną skłonność i moje osobiste usposobienie”. Ta idiosynkrazja musiałaby być uznana za coś chorobliwego, gdyby wy­jaśnienia nie dostarczały niektóre z prac jego ojca.

Na zesłaniu w Wołogdzie Apollo Korzeniowski napisał traktat-pamiętnik „Polska i Rosja” i zdołał przesłać go za granicę. Dziełko jego ukazało się anonimowo w odcinku emigracyjnego dziennika „Ojczyzna” w 1864 roku. Lektura jego prowadzi do wniosku, że nie wyczerpie się kwestii, nazywając jego autora nacjonalistą. Zagadnienie nie sprowadza się tutaj do stosunków pomiędzy dwoma krajami, dotyczy zagrożenia Europy. Korze­niowski przemawia jako „człowiek z pogranicza” świadomy stałego powolnego pochodu Cesarstwa na zachód. Cel swego życia: walkę przeciwko molochowi — uzasadnia zbliżającą się zagładą cywilizacji europejskiej, której dotychczas świadomi są jedynie mieszkańcy pochłoniętych obszarów. Krytyka tego wschodniego organizmu przypomina krytykę przeprowadzoną w tym samym mniej więcej czasie przez Karola Marksa w jego rozprawie o historii dyplomacji rosyjskiej. Istnieją zresztą dane które wskazują, że Marks przejął wiele sądów od emigrantów polskich. Korzeniowski właściwie powtarza to, co wypowiedział również Mickiewicz w kursie literatur słowiańskich. Tylko ton jego jest, jak zawsze, namiętniejszy niż u innych. Oto w skró­cie jego wywód:

Tatarskie jarzmo uformowało Moskwę. Jest ona nadal hor­dą. Wszystko należy do cara, każdy poddany z dnia na dzień może być wydżwignięty na szczyty, albo strącony ze szczytów. Formą rządów są mordy i spiski pałacowe. Car jednoczy w swo­jej osobie funkcje wodza, prawodawcy i kapłana. Religia jest państwowa i bałwochwalcza, szerzy ona fatalizm i fanatyzm. Rosjanie nie są zdolni do wolności, czują że „od wolności ognia pójdą w dym jak sucha mierzwa” i jako państwo przestaną istnieć.

„Taką jaką jest Moskwa” — pisze Korzeniowski — „pod strachem własnego unicestwienia musi walczyć na zewnątrz. Jakkolwiek Europa długo walki uniknąć może, przyjdzie czas, w którym niepodobna będzie od niej się usunąć; tylko czas ten będzie zarazem wybranym przez Moskwę, zatem mniej korzyst­nym i Europa w nim połowę ze swej siły utraci”.

„Raz na zawsze, z powodu powstania polskiego, niech bę­dzie powiedziano i artykułem wiary dla Europy się stanie, że

1. Cyt. Ujejski. w stosunkach z Moskwą, kto choć na chwilę uwierzy jej carom, a choć przelotnie Moskali za ludzi zdolnych do wolności uważać będzie, musi być oszukanym — zatym zwyciężonym”.

„Tymczasem zgroza pomyśleć, że barbarzyństwo cielskiem swojem zaległo od Lodowatego morza do Czarnego i znowu cią­gnie się od Wisły, aż do oceanu Wielkiego; że ciąży nad 60 milionami ludzi, że może milion wojska postawić, ma flotę, a nade wszystko, że jak domowy złodziej, rozsiada się na rzą­dach europejskich. Rzecz to tak potworna, iż gdyby nie istniała, nikt by nie uwierzył jej możebności”.

Według Korzeniowskiego strach przed Rosją jest głównym motorem polityki XIX wieku: „Na Kongresie Wiedeńskim już rządy pozbywszy się strachu przed Napoleonem, człowiekiem przeznaczeń, zadrżały trwogą przed Hosudarstwem, tą maszyna zawziętą zniszczenia”. Pokój był słowem, które kryło w sobie szczególną treść: „Europa zmęczona dwudziestoletnią walką, rządy jej gotowe szanować wzajemnie w sobie najstraszliwsze gwałty i zbrodnie, byle nie narazić pokoju na szwank. Hasłem ich: „byle pokój!” Ale myślą skrytą i dręczącą — byle odsu­nąć od siebie Moskwę”. „Pokój jest rzeczą piękną, dobrą i prawdziwą, ale przypuść doń Moskala, a wnet ją w szpetność, w fałsz zamieni”.

Błąd, który rozstrzygnąć może o upadku Europy został po­pełniony wskutek angielskiej polityki równowagi podczas woj­ny krymskiej. Żeby nie wzmocnić zbytnio Francji, zrezygnowa­no z oderwania od caratu Polski poprzez poparcie buntu zbroj­nego: „Uznanie takim czynem praw narodowości, zadałoby Moskwie cios ostateczny: ileby tam za przykładem Polski pod­niosło się zgniecionych, a źle, bo tylko przemocą spojonych czę­ści, to najlepiej wiedzą sami Moskale. Moskwa zaś, gdyby po wydarciu Polski z jej szpon, pozostała cała, to jeszcze nie na raz jeden, ale na wieczne czasy utraciłaby połowę i to najlepszą swych sił wojskowych, połowę i to najpewniejszą, bo z roli pły­nących zasobów finansowych, a zupełną cechę europejską, któ­ra się na niej trzyma tylko posiadaniem Polski”. (Przez Polskę rozumiał Korzeniowski całe terytorium zabrane, a więc i Litwę i Ukrainę).

Tak pisał zesłaniec w mroźne wieczory północnego miastecz­ka, przy świetle lampy naftowej. Zdania przytoczone pozwalają leniej zrozumieć, czym był jego ziemski absolut, któremu służył. Obraz ojcowskiej ręki posuwającej się po papierze zatarł się być może w pamięci jego syna, ale musiał on czytać później ten traktat, który zaczyna się od wspomnień o uwięzieniu w Cyta­deli. Rosja nie była więc dla niego «tylko jednym z krajów.

♦

Zesłanie zniszczyło rodzinę Korzeniowskich. Ostry klimat Wołogdy podkopywał zdrowie Eweliny. Po wielu staraniach przyszła zgoda policji na wyjazd. Jako nowe miejsce zamieszka­nia wyznaczono im Czernihów. Tam, w roku 1865 Ewelina umarła. Oznaczało to dla Apolla utratę racji istnienia. Klęska wszystkich nadziei narodowych i osobistych, samotność tym ra­zem nieodwołalna. Starał się nie okazywać po sobie, że jest zła­many. „Kłamstwo pogody w mojem oku i na mej twarzy” — pisał do przyjaciela w liście — „trwogi moje wszystkie we mnie; do tej pory żadna nie wypełzła na oblicze, bo *moja* patrzy na mnie. Cokolwiek się stanie, pewno będzie wiedzieć, że niepo­dobna abyśiny się rozłączyli — bo inaczej nie miałbym siły nic przenieść” (11).

Ale wdowcowi pozostał syn. On odtąd jest jedyną jego więzią z życiem. Ten ojciec który zamykał się w sobie, szalał, zdo­bywał się z wysiłkiem na uśmiech, jakim był dla niego towa­rzystwem? Konrad miał już dziewięć lat i ojciec o niego tak w liście z 1866 roku się troszczy: „Gdybym mógł własną ręką postawić Konrada na ziemi i pośród zacnych, niewielebym wię­cej pragnął. To żywe ciało i budzącą się duszę spoić z ciałem naszego społeczeństwa i tam — na cmentarzu obcym leżące prochy zawieźć do rodzinnego, pośmiertnego sioła pomników., a samemu dotknąć stopą swej ziemi, odetchnąć jej powietrzem, spojrzeć w oczy ukochanych i zawołać: Teraz Panie puszczaj sługę twego, bom bardzo strudzony”.

Religijność Korzeniowskiego nie była płytka i obrzędowa. Opierała się na zaprzeczeniu racji wierzenia, pewnym stoicyzmie chrześcijańskim. „Wszystko co mię tu otacza — pisze z Czernihowa — każę mi wątpić o wszechmocności bożej, a jednak ja w nią całą ufnośó kładę i los mego malca na jej opiekę zdaję”.

W pierwszą rocznicę śmierci żony Korzeniowski dostał gruź­liczego krwotoku. Ten szczątek ludzki przestał być groźny dla caratu. Zwolniony w 1867 roku otrzymuje paszport na wyjazd z granic Rosji. Przez Ukrainę i Podole, gdzie ma prawo zatrzy­mać się tylko przez kilka dni, jedzie z synem do Galicji — tor­turując siebie, że popełnia dezercję bo opuszcza grób żony i usprawiedliwiając się tylko obowiązkiem wobec syna. „Głów­nym celem moim jest wychowanie Konradka nie na żadnego *demokratę, arystokratę, demagoga, republikanina, monarchistę,*

* albo na jakiegokolwiek sługę i lokaja którejkolwiek z tych partii a tylko na Polaka”.

Rok spędzają we Lwowie. Tutaj ujawnia się zasadnicza nieakceptacja cechująca Korzeniowskiego. Powraca motyw jego młodości, zapał, który natrafia na brak oddźwięku ze strony łudzi-ślimaków. Ich senność go zdumiewa: „Czuć zapomnieli

* mówić nie umieją — nic nie czytają. Obyczaj, język, religia niczem u nich!” Obcować z nimi wydaje mu się teraz rzeczą gorszą niż pobyt w więzieniach. Podniecają go tylko plany lite­rackie. Nosi się z zamiarem zbiorowego wydania dramatów

(1'1) Wszystkie cytaty dotyczące tego okresu z Buszczyńskiego. Victora Hugo w swoim przekładzie i przemyśla o powieści: „W głowie mi wielka powieść polska o zepsuciu, które na nas z Moskwy spłynęło, przez azjatycki przepych, przez honory biu­rokratyczne, przez niewiarę szczepioną w wychowaniu publicz­nym, przez błyskotki cywilizowanego, moskiewskiego, wielkiego świata, nareszcie wejście ich do rodzin”. Elektryzuje go wiado-\* mość, że w Krakowie przygotowuje się nowe pismo „Kraj”. Bierze udział w jego założeniu, wkrótce przenosi się do Krako­wa.

Gdyby Korzeniowski rozporządzał pieniędzmi, zastosowałby się być może do rad lekarzy, zalecających inny, łagodniejszy kli­mat, choć wydaje się to raczej wątpliwe: zajmowanie się włas­ną osobą było sprzeczne z jego ascetyczną postawą. Jego gruź­lica postępuje szybko i wiosną 1869 roku żadne już plany nie wchodzą w grę. w ostatnich tygodniach życia pozbywa się zwykłej sobie ostrości sądów. „Przebaczam ludziom — mówi do przyjaciela; chciałbym żeby ludzie mnie przebaczyli. — By­łem zły, gorzki — bo kochałem. Mam zamiar spalić moje poezye... już też nie wszystkie... bez ciebie tego nie zrobiłbym... ale te które dziś niepotrzebne. Za wiele w nich goryczy”. Kiedy po wyspowiadaniu się i przyjęciu Sakramentów wita odwiedza­jących przyjaciół, uśmiech jego nie pochodzi z narzuconej sobie dyscypliny. Robi wrażenie człowieka szczęśliwego. „Skończy­łem wszystko... obrachowałem się z tym światem. Już do niego nie należę”. Umarł 23 maja 1869 roku w Krakowie, przy ulicy Poselskiej 6. Dwunastoletni Konrad został sierotą. Pod opieką krewnych skończy gimnazjum św. Anny.

Czy Apollo Korzeniowski zasłużył na pomnik? Zasłużył, za miłość. i kto wie, czy nie powinienby to być pomnik właśnie w Krakowie, przedstawiający mężczyznę z chłopcem, który wiele ojcu zawdzięczał — przede wszystkim „dziedziczną skłonność”.

♦

„On nigdy nie chciał być pocieszonym” napisano po śmier­ci Apolla Korzeniowskiego. „On nigdy nie chciał być pocieszo­nym” można by było napisać po śmierci Conrada. Przez ciemny obszar czasu, napełniony zgiełkiem zabiegów o pieniądz, bezpie­czeństwo i uciechy, przeszli obaj nietknięci kompromisem, su­rowi dla innych i dla siebie. Romantycy — ale o ileż trudniej niż głosić rozdarcie pomiędzy ideałem i rzeczywistością jest uznać nieuleczalny tragizm zamiarów skazanych na porażkę a nie zatrzymać się na granicy, jaką zakreśla ironia i dandyzm.

Ktoś może zarzucić Apollonowi Korzeniowskiemu, że cel jaki znalazł był wąski, za mało powszechny. Czy jednak ci co roz­prawiają o ludzkości nie padają ofiarą abstrakcji? Każdemu jest dany tylko krąg jemu najbliższy, dotykalny — jak dla Conrada pokład okrętu. Podejrzenie, że statek „Patna” w „Lor­dzie Jimie” (jakby zamazane słowo Patria) symbolizuje ojczyz­ nę, ma wiele cech prawdopodobieństwa. Ojciec pozostał na po­kładzie do końca. Dla niego jedyne, co mogło nadać wartość ludziom z jego otoczenia, wyrwać ich z pod wpływów pienią­dza, to było przejęcie się losami okrętu, obowiązek marynarza.

Postać ojca wyjaśnia, dlaczego jednym z cięższych przeżyć w życiu Conrada był artykuł Orzeszkowej, oskarżający go o zdradę: zdradą było według niej pisać po angielsku, oddawać swój talent obcej literaturze. Conrad nigdy nie skłonił się do rady stryja Tadeusza Bobrowskiego, który w 1881 roku nama­wiał go w liście do przysyłania korespondencji ze swoich podróży' do prasy krajowej. Stryj chwalił jego polski styl i dowodził: „Zacieśniłbyś w ten sposób związki z ojczyzną i byłby to akt pietyzmu wobec pamięci twego ojca, który pragnął służyć i słu­żył piórem swemu krajowi”. Jednak Conrad pozostał na swój sposób wierny „idei bez jutra”. Nie dowodzi obojętności jego memoriał w sprawie Polski złożony w roku 1916 w Foreign Office ani jego list do Sir Hugh Clifford w roku 1919, w którym wyraża sarkastycznie radość, że ani jedno życie angielskie czy francuskie nie zostało w wojnie poświęcone sprawie jego kraju: „ciężar zobowiązania bvłbv zbyt duży”.

Zarówno Korzeniowski ojciec jak syn byli całkowicie obcy optymizmowi XIX wieku. Bourgeois zajęty pomnażaniem swego bogactwa, ten co umieszczał nędzarzy w zakładanych przez sie­bie fabrykach i ze swojej złotej dewizki na brzuchu czerpał wia­rę w postęp, był im nienawistny. Ulegał on oczywiście ewolucji. w sztuce „Komedia” Apolla Korzeniowskiego występował jako dobrotliwy Prezes, który spacerując po ulicach Odessy obmyślał swoje nikczemne posunięcia. w „Jądrze ciemności” Conrada — a zaczyna je opis białych gmachów, siedzib sociétés ano­nymes w Brukseli — przybrał postać oszalałego pół-Niemca, pół-Anglika Kurza, zdobywającego przy pomocy morderstw kość słoniową w Kongo. Tych szanowanych przez współobywateli opryszków i ojciec i syn mierzyli miarą przyzwoitości i honoru, jaka obowiązuje załogę w jej zmaganiach z mrocznym żywiołem. Dla Apolla Korzeniowskiego załoga nazywała się Narodem, Europą, mroczny żywioł — Rosją. Dla Conrada załoga być może oznaczała ludzkość w walce z przeznaczeniem. Conrad odziedziczył po ojcu zdolność do gniewu, który umiał lepiej niż on maskować i stoickie wspieranie się na czymś, co jest tylko postulowane wysiłkiem woli — a bez czego zagroziłby im, zaw­sze gotowym uznać bezzasadność nadziei, chaos i rozbicie. Obaj byli fanatykami „tenue”, wytrwania. i jeżeli rzuci się im oskar­żenie, że zabłąkani w wiek handlu i przemysłu ciągle odwoły­wali się do cnót zagubionych, można przypomnieć, że istnieje wielkość właściwa tylko Don Kichotom.

*Czesław MIŁOSZ*

Rafał Malczewski: Wspomnienie o Ojcu

**I**

Miło jest kochać ojczyznę czemu jednak zmuszać kogokol­wiek by dzielił ze mną to uczucie. Tak samo nie należy narzucać komuś miłości do minionych lat lub do dzieł ludzkiej ręki blis­kiej sercu.

Fiszę o ojcu moim Jacku Malczewskim, o jego malarstwie, przede wszystkim by zostawić wspomnienia po kimś tak świet­nym jako człowiek, tak wielkim i dziwnym jako twórca. Prag­nę rozruszać piach frazesów, szablon osądów jakimi zostało po­kryte dzieło jego życia. Nikomu nie chcę narzucić moich poglą­dów tym bardziej, że nie mogę zilustrować twórczości Jacka Malczewskiego reprodukcjami jego obrazów, tych właśnie które chciałbym ukazać oczom czytelników. Dodam jeszcze, że wspom­nienia o ojcu siłą rzeczy są wspomnieniami moimi, często tak jakbym ja był celem tej opowieści. Nic podobnego.

W ostatnich latach przed drugą wojną światową powstał w Warszawie zamysł urządzenia wystawy obrazów Jacka Mal­czewskiego w IPSie. Celem jej miało być pokazanie społeczeń­stwu malarstwa odmiennego od tego, którym karmiono je od lat. Zamierzano wyłamać się z banału spojrzenia i utartych okre­śleń jego twórczości. Jednym z głównych orędowników zamie­rzonej wystawy był Felicjan Kowarski, malarz tak inny w po­dejściu do sztuki niż Jacek Malczewski, czuły jednak na warto­ści plastyki jak aparat Geigera na złoża uranu.

Dzisiaj z odległości wielu lat, w czasie, w którym uległa zniszczeniu tamta Polska, zielona jak główka sałaty, harda i pyskata, biedna i upojona wolnością, można policzyć ludzi, którym sztuka była naprawdę potrzebna do życia. Dwudziesto­lecie wolności minęło jak z bicza strzelił, sztuka której w Polsce włożono chomąto socrealizmu, pomimo wielkich słów odchodzi w nicość. Któż może powiedzieć kiedy było lepiej, czy za cza­sów Matejki czy Tytusa Czyżewskiego? Kiedy bardziej zajmo­wano się malarstwem, kiedy kupowano więcej obrazów', uwzględniając oczywiście przyrost ludności i powstanie wolnego państwa, kiedy byliśmy bliżsi wielkiej sztuki itd.

Z olbrzymiego dorobku malarstwa Jacka Malczewskiego wyławiam obrazy nigdy niezapomniane. Istniały i może istnie­ją pejzaże, wyrażające w sposób jedyny polską ziemię, kompo­zycje z ducha surrealizmu świetniejsze niż to co stworzono w pół wieku później, portrety o sile rzeźby Verocchia. Trzeba je wy­dobywać z szuflad niepamięci, zakatalogowane błędnie, nigdy właściwie niewidziane. Nie ma kierunków, jest twórca i naśla­dowcy. z chwilą gdy Jacek Malczewski wyzwolił się z objęć epoki w której żył, z sieci kierunków i wskazań narodowych, był już „opisany” i spreparowany piórem krytyków i wielbi­cieli.

Myślę, źe nie trzeba być nadprzyrodzenie mądrym oceniając dzieła sztuki, ani też ciągle tak bardzo „współczesnym”. Po­krajany trup nie powie nam kim był za życia. Nie zdradzi czy był kretynem czy Einsteinem. Co najwyżej ujrzymy rzeźnicze arcydzieło, biegłość w wypruwaniu nieżywych flaków’ z czegoś, co niegdyś spływało gorącą krwią. Jest to jednak sprawa gustu. Właściwie można i tak, tylko po co? Nie wyzwoli się w ten sposób tego jedynego przeżycia, jakim jest objawienie które niesie sztuka. Niewyrażalne, niewyczerpane. Nie godzi się od­gradzać od niego algebrą słów. Pokolenie za pokoleniem tworzy swoją sztukę, walczy o jej współczesność, oceniając minione etapy odmiennie niż poprzednie, „rewolucyjnie” w jego oczach. Przestawia ustalone wielkości z półki na półkę, to wyżej, to niżej na swoim Olimpie wartości. Strąca dawne bóstwa w ni­cość. Czynność tak dobra jak i inna, niczym trzepanie dywa­nów lub otwieranie okien gdy jest upał i tęsknimy za przecią­giem. Sądzę, że nie należy zubożać zasobów sztuki plastycznej teoriami z rodku totalitarnego. Można w ten sposób sporządzić obrożę gorszą od socrealizmu. Nie wypada palić obrazów w imię „wielkości” prawdziwej sztuki. i tak spłoną one w wojnach, a może dla przyszłych pokoleń okazałyby się kiedyś arcydzie­łami.

Od najmłodszych lat pamiętam obrazy mojego ojca, te które widziałem w pracowni, na wystawach, w galeriach i domach prywatnych. Potem także w reprodukcjach. w ten sposób prze­winęło się na pewno parę tysięcy rysunków, akwarel, olejnych obrazów, portretów. Po śmierci Ojca spotykałem je na wysta­wach zbiorowych, w muzeach itd. a jednak po wielu latach później dopiero odkryłem mojego Ojca, twórczość jego. Chcę pokazać drogi, którymi wędrowałem przez dziesiątki lat by dojść do źródła nieskażonej niczym radości.

Rosnąc w cieniu twórcy myślałem niegdyś, że to dziwo zwane sztuką jest potrzebne do życia wielu istotom zwanym ludźmi. z czasem rozwiano się to złudzenie. Przeżycie artystycz­ne jest tak rzadkie jak religijne. Reszta pogłowia ludzkiego trwa w obrządkach z dala od rdzenia sprawy. Nie znam modlitwy, która by spowodowała spłynięcie na nas łaski przeżycia dzieł jako najwyższej rozkoszy, bezinteresownej, która dana jest czło­wiekowi. Warto jest pomodlić się o to.

**II**

POZNANIE

Na próżno usiłuję wyhodować z nasionek pierwszego wspomnienia o Ojcu roślinę, która by zakwitła bujnie. Wyrasta zawsze to samo, nieodrosły z podglebia pęd więdnący szybko. Równocześnie zdaje mi się, że wiem tak wiele o wszystkim in­nym w owym umarłym dawno świecie. Nie wiem tylko czy to działo się właśnie wtedy czy wcześniej jeszcze. z najgłębszych pokładów wyłowione wspomnienie jest jakby zbyteczne i nie­ważne, niechciane.

Pokój długi i ciemny, chociaż dzień panuje za oknem. Ojciec chodzi, potem zaraz nie ma go. Nie wiem jak wygląda, wiem tylko że to mój Ojciec. Zdaje mi się że jestem jeszcze w łóżku. o wiele później stwierdziłem, że działo się to w Kra­kowie na ulicy Szczepańskiej i, na drugim piętrze w kamienicy mojej babki, Józefy Gralewskiej, a teściowej mojego Ojca. Czy tam mieszkali rodzice, czy tylko ja — nie wiem. Ale jak wspomniałem to się nie liczy bym wtedy poznał mojego Ojca. Właściwie nastąpiło to w Nowym Sączu w domostwie moich pradziadków, jak się to mówi, po kądzieli. Które jednak wspom­nienia wyrwane z samego dna poprzedziły owo spotkanie a ile odnosi się do późniejszych czasów, nie wiem. Więc piec kamycz­kowy, bielony, stoję przy stole nakrytym obrusem, talerzyk z dwoma czarnymi sznyclami. Zdaje się że płaczę, tak mnie otrząsa przed jedzeniem. Obok moja siostra, też się buntuje. Kto je nam dał, czy były widelce, czy miałem jeść palcami, czy były zimne, nikt już nigdy nie powie... Stoję w oknie i lepię na szybie wycięte z papieru figurki. Przylepiam śliną. Obok wisi firanka, za oknem chodzą ludzie, naprzeciwko kuźnia, koń uwią­zany nie wiem do czego, w głębi kuźni czerwony żar i dźwięk kutej młotem podkowy. i nie wiem już czy szereg topól włos­kich wzdłuż dróżki, prowadzącej od kuźni w głąb ku domowi pana Buczery, kowala, utkwił mi wówczas w pamięci, czy wiem o nich z obrazu mojego Ojca, który wisiał u pradziadków. Wiem, że rodzice przyjechali. Pewno z Krakowa. Ważne że przez Chabówkę a nie Tarnów. Dlaczego ważne, nie wiem. Ro­dzice wieźli dla nas klatkę z ptakami. Pośmieciuchy, szczygły,

czyże, makolągwy, sikory. Tak nam powiedziano, bo nigdy nie ujrzeliśmy tych ptaszków. z jakiegoś powodu otwarły się drzwiczki od klatki i ptaki rozleciały się po przedziale. Ojciec otwarł okno i przegnał je do pola. Podobno siadały na głowach pasażerów, paskudziły koronkowe narzutki z dwugłowym orłem nakrywające czerwony plusz przedziału pierwszej klasy cesarsko- królewskiej kolei żelaznej. Mój Ojciec nie znosił takich niespo­dzianek zwłaszcza w pociągu. w przeciwieństwie do mnie Ojciec nie lubił kolei żelaznej. Wtedy może nie tak bardzo jeszcze jak później, gdy każdy wyjazd koleją denerwował go piekielnie. Nie miał żadnych tajemnych związków uczuciowych z tym syste­mem lokomocji, które prześladowały mnie przez całe życie. Wiem, że Ojciec był dłużej, ale gdzie mieszkał nie pamiętam. Czy w kamienicy, czy w złączonym z nią małym domku? Wiem, że miał wąsy i brodę i cieszył się nami bardzo. Czy malował, dlaczego rodzice wówczas przyjechali, może były jakie święta? Potem już nie ma miejsca dla Ojca. Jeździmy z babką (naraz jest także babka) końmi wynajętymi od pana Buczery na spacer. Do Tęgoborzy na Wysokie, do Starego Sącza. Tam właśnie szewc mieszkający przy klasztorze Klarysek bierze mi miarę na, trzewiki mysiego koloru. Przed mostem na Popradzie płaci się kopytkowe, kiedyś zboczyliśmy do Dąbrówki, małej wsi gdzie we wspólnym grobowcu spoczną moi pradziadkowie, potem moja babka. Wtedy jednak cały świat żyje, nie wie o śmierci. Zabity kret, leżący w trawie, jest czymś także żywym jak i zdeptany chrabąszcz lub wdeptana w ciepły miał ścieżki mrów­ka, której nogi poruszają się wolniutko, coraz wolniej. Wiem, że mieszkałem w kamienicy obok domku wyżej wspomnianego. w małym domku mieszkali pradziadkowie. Drzwi były przebite między obiema „posesjami”. Ogród położony na tyłach obu do­mów był dla mnie czymś większym niż dzisiaj Europa. Obsa­dzony jarzynami i owocowymi drzewami, pełen zielonych gęst­win, ścieżek biegnących w cieniu gąszczów ciemnofiołkowych, śliskich z otworkami obdzierganymi szlaczkiem ziemi wykopa­nej przez dżdżownice lub mrówki. Ogród biegł ku błękitnej przestrzeni. w pewnej chwili leciał w dół ku linii kolejowej, biegnącej koliście u stóp pogórza, na którym stoi Nowy Sącz. Tam na samym dole był stary parkan i kępy pokrzyw. Zbocze porastały śliwy i czereśniowe drzewa o owocu ciemnym prawie czarnvm. Poza linią kolejową ciągnęły się Wólki aż po wikliny Dunajca. Dalej było już niebiesko i ogromnie daleko. w dnie czyste, co tylko obmyte deszczem, wyrastał w głębi poza zwyk­łym granatowym pogórzem lazurowy parawanik. Były to Tatry, jak mi powiedziano. Bliżej błyszczał blaszany dach kościoła w Podegrodziu. Na zboczu wytryskało źródełko. Woda z tego źródełka spływała rynną obrosłą zieleniną do beczki wkopanej w ziemię. Pradziadek cenił sobie bardzo tę wodę. Miała być lecznicza. Tak samo zresztą woda ze studni w podwórcu posia­dała, według moich pradziadków, lecznicze własności. Smierdziała siarkowodorem, jak mi później powiedziano, zwłaszcza po zlewach.

Nie wiedziałem że Ojciec mój jest malarzem. a może wie­działem? Pamiętam na ścianie w saloniku pradziadków małe obrazki malowane olejno. Jeden przedstawiał mojego pradziad­ka. Siedział na ławce na końcu górnego ogrodu. Panowała po­goda, miał kapelusz na głowie, a może na ławce. Kapelusz był popielaty z jaśniejszą wstążką dookoła. Wielki pies leżał obok stóp pradziadka ubranych w sztyblety do wciągania. Miał laskę, okulary na nosie I w ręku krakowski „Czas”. Nad nim rosło drzewo kasztana ale to już raczej wiadomość z doświadczenia popicważ tam właśnie zbierałem kasztany wyłupane z białych obsłon. Drugi obraz, także malutki, przedstawiał ogród właśnie ten tak zrosły z moim dzieciństwem. Stały słoneczniki, dalej par­kan i granatowe góry. Był poranek w obrazku i radość że może być tak świeżo i zielono. Nie było tam Tatr, ale było bardzo głęboko, niedzielnie. Nie zajmowało mnie wtedy skąd się to wzięło. Tak samo portret prababki w czepku, w głębi owe to­pole i niebo pełne wesołych chmur. Byłem wciąż z dala od Ojca, z dala od jego malarstwa, całą duszą w owym ogrodzie.

Pamiętam jak pradziadek robił ocet z węgla drzewnego. Jak kapało z beczułki stojącej w tamtej drugiej kuchni (nie kamienicznej gdzie ja przynależałem), gdzie był sąsiek pełny mąki. Przezroczysty płyn miał być octem. Poza tym pradziadek miał długą tykę opatrzoną maszynką do zrywania jabłek z drzewa, którego owoce uważał za skarb. Lepiej było nic zbliżać się do tej jabłoni.

Kiedyś wtedy pojawił się w naszym życiu kuc. Był na stajni u pana Buczery z przeciwka. Moja matka jeździła wózeczkiem zaprzężonym w tego kuca. Wiem, że był naszą włas­nością o czym przekonałem się dokładnie. Czy pojawił się wte­dy, kiedy Ojciec nie dowiózł nam owych ptaszków czy później, któż może wiedzieć. Wiem tylko że i on, tak jak i ja, przeniósł się na Zwierzyniec, wieś pod Krakowem, do willi „Pod Matką Boską”, którą rodzice zamieszkali kiedy Churchill dostał się do niewoli boerskiej. Kuc był zły, wierzgał i lubił gryźć.

I już więcej nie pamiętam Ojca w Nowym Sączu. Raczej pamiętam lat wiele później, chyba tuż przed pierwszą wojną, kiedy przybył na pogrzeb swojej teściowej. Bywałem w Nowym Sączu często, szczególnie w latach młodości. Znałem ów pejzaż, piękny bardzo, który otaczał wzgórze na którym stało miasto. Nigdy nie pojawił się w tłach kompozycji Jacka Malczewskiego ani w tłach portretów. Istniały tylko pejzaże malowane z natury, portrecisko familijne z nowosądeckim tłem, nigdy jednak w tym co Ojciec uważał za swoją istotną twórczość.

Tymczasem działy się rzeczy dziwne i straszne. Mówiono że przyjechał KAT! Skąd, nikt nie zdradził, albo nie wiedziano, lub może nie wypadało mówić. Chłopi buntowali się w okolicy, mordowali Żydów w powiecie. Mówiono że ksiądz Stojałowski szerzy anarchię. Nie wiem czy sama bytność kata w mieście miała uspokoić ruchawkę? Czy może zjechał jaki sąd doraźny, wprowadzono sądy wojenne czy jak? a może kat miał wieszać ludzi według swego wyboru i upodobania?...

Nie trudno byłoby dla historyka lub amatora grzebania w bibliotekach znaleźć przyczynki do tego rodzaju wspomnień. Tomy można by pisać o tym. Kiedyś przed przeniesieniem mnie na Zwierzyniec pod Krakowem, ujrzałem w nocy moją matkę z siną i zapuchłą straszliwie twarzą. Późny wieczór, weszła do pokoju, stanęła pod wiszącą naftową lampą. Zbłocona suknia omiatająca szczoteczką podłogę. Pokaleczone ręce. Powiedziano mi potem że powożąc kucem wpadła w przykopę i potłukła się bardzo. Później widziałem ładną fotografię. Siedzę na wózku, trzymam w ręce bat i lejce, boczkiem stoi gruby jak beczka kuc, strzyże uszami. To pewno z tych czasów. Jakiś taki mały byłem nawet w małym wózku. Później, na Zwierzyńcu, Ojciec mój wymalował na metrowej szarej tekturze olejno mnie i kuca, koguta z gołą szyją i dwa psy podwórzowe. Ale to już inny rozdział.

III

WISŁA i BIALODRZEWY

Przywieziono mnie na Zwierzyniec z dalekiego Sącza w spo­sób nieznany. Zapewne odbyło się to koleją, raczej jednak przy­byłem latającym dywanikiem by spaść w krainę czarów. Kuc przybył przede mną i stał w stajni. Rodzice mieszkali nad Wisłą w willi „Pod Matką Boską”. Tam ich ujrzałem po raz pierwszy naprawdę.

Było wiele przedmieść, wtedy raczej gmin opasujących kró­lewskie miasto Kraków. Wiele o przedziwnych nazwach jak: Pędzichów, Dajwór, Krowodrza, Grzegórzki, Kawiory, Czarna Wieś, Prądnik, Dębniki i najważniejsze w świecie Zwierzyniec. By dojść do Zwierzyńca-wsi z krakowskiego rynku trzeba było pójść ulicą Wiślną, minąć planty i drukarnię Anczyca, Zwierzy­niecką, przekroczyć most na Rudawie, minąć rogatkę położoną obok mostu dębnickiego i wejść do fantastycznie nazwanego Półwsia Zwierzynieckiego. Jest to jedyne Pół wsie jakie znam na świecie, jeżeli chodzi o oficjalną nazwę. Jakiś geniusz kom­promisu (zapewne ze szkoły Stańczyków) wymyślił tę nazwę. Ciągnęło się to wzdłuż lewego brzegu Wisły. Po pewnym cza­sie ulica zamieniała się w drogę, która omijała na skalistym wybrzeżu rzeki stary klasztor Norbertanek i dochodziła do miej­sca gdzie cesarski gościniec poczynał się piąć na wzgórze bieg­nąc ku wsi Zwierzyniec i dalej ku Przegorzałom, Bielanom, Liszkom i Czernichowu. Na prawo w owym miejscu odchodziła odnoga, dźwigająca się w stronę Kopca Kościuszki, druga — idąca na Wole Justowską. Gdy gościniec przekroczył najwyższe wzniesienie (może io metrów) i turysta ujrzał Wisłę na nowo, to schodząc cokolwiek niżej zobaczył po prawej ręce na wyso­kim tarasie piętrową willę, przed którą w ogródku stała biało- niebieska figura Matki Boskiej. Trzy olbrzymie białodrzewy trzymały straż nad domem i ogrodem. Tam właśnie minęło mo­je oczadziałe szczęściem dzieciństwo. Mój Ojciec zaś przeżył szczytowe lata twórczości, powodzenia i zmagań, i zmagań z sa­mym sobą. Dlatego też pragnę opisać dokładnie jak to wszystko wyglądało.

Opiszę ów świat oglądany oczami dziecka, pomnożony o zjawę zaczerpniętą z obrazów mojego Ojca. Nie wiem dopraw­dy gdzie kończy się moja dziecinna prawda a wchodzi tamto. Więc krajobrazy znad Wisły i jej brzegów, ogród, białodrzewy, podwórzec, domki sąsiadów, wyspa na rzece, ruń na zoranym polu, ciągnącym się aż do stóp Kopca Kościuszki, klasztor, stada wróbli obsiadujące krzaki. Chcąc wejść na obejście willi „Pod Matką Boską” należało pociągnąć za dzwonek ukryty w jednym ze słupów podtrzymujących żelazną bramę. Zanim ktokolwiek z domowników zbiegł by otworzyć wrota, rwały do bramy dwa psy, czarny seter-Murzyn i niezbyt urodziwy dog- Nero. Wyskakiwały ogarnięte szewską pasją na bramę i szcze­kały trwożąc przybysza. Potem wracały do budy spełniwszy obo­wiązek! Gość musiał od razu wspiąć się do góry po wygładzo­nych kocich łbach by znaleźć się w górnej partii podwórca. Mijało się studnię i po paru schodkach można było wkroczyć do domu. Było parę innych wejść. Na przykład mniej oficjalne przez oszkloną werandę w lecie obrosłą dzikim winem lub tyl­ne, dajmy na to prowadzące do łazienki i oranżerii. z podwórca można było pójść do ogrodu idąc schodami w górę, przedtem otworzywszy furtkę. Ogród wznosił się terasami wyżej i wyżej aż w pewnym miejscu rozszerzał się znacznie i stawał się pra­wie płaski. Aż potem znowu biegł w górę, i to ostro, po czym wcinał się w uprawne pola Norbertanek trójkątem podchodzą­cym prawie do drogi, wysadzanej kasztanami idącej na Kopiec Kościuszki. Ogród — radość, ogród — wieczna pogoda i wios­na. Nabój zapachów wabiących motyle — zmierzchnice, huczące jak odrzutowce. Na małej przestrzeni (dla mnie nieogarnionej) rosły byliny, krzewy, drzewa, co tylko mogło istnieć w takim zwierzynieckim raju. Pachniały bzy (moc odmian) jaśminy, sy­pał się złoty deszcz, nienazwane krzaki kwitły różowo, nocami kaprifolium wołało głuchą i namiętną wonią cichutko lądujące na kwiatach ćmy, puszyste, białe i ciemne. Wiosną spadały z białodrzewów kotki niczym małe angory. Siadały miękko na młodą trawę, kamienie podwórza, grządki jarzyn, schody, na dach willi, szosę przebiegającą poniżej i rolę buroczerwoną poza płotem ogradzającym posesje. Latem, gdy powiał wiatr i poodwracał ciemnozielone liście naszych opiekunów szumiały jas­nym srebrem.

Po naszej stronie szosy stały małe domki zupełnie jeszcze przedmiejskie chociaż to było na Zwierzyńcu-wsi o czym świad­czył niedaleki zamożny folwark, należący do Sióstr Norbertanek. Domki były ubogie, zamieszkałe przez rękodzielników, murarzy (z krakowska mularzy), rybaków, rzezimiechów. w ogóle fajny naród. o jakieś pięćset metrów od nas stała druga willa „Dom Pod Lipkami”. Pod owym starodrzewiem lipowym siadywał Książę Józef Poniatowski, wierny przysiędze, w drodze do El­stery.Willa była taka sobie, ale drzewa nader piękne. Ogród nie równał się z naszym. Zresztą nigdzie na świecie nic było takiego.

W naszym ogrodzie Ojciec uczył mnie poznawać ćmy i mo­tyle, różne żuczki, chrząszcze. Śledziłem jak krety ukazują swe aksamitne ciałka, zielone żaby przepowiadają pogodę siedząc w gąszczu drzew.

Jacek Malczewski kochał przyrodę, widzialny świat, stwo­rzenia boskie i był ciekawy wszystkiego co się w nim dzieje. Oczywiście ogrodnik sadził i ciął kwiaty w ogrodzie, takie które zwabiały owadzi świat z motylami na czele. Bo jeżeli chodziło o kwiaty Ojciec lubił właściwie tylko polne. Lubił ptaki i znał ich zwyczaje, mniej sympatii miał dla czworonogów, ssawców. Dzisiaj wiem, że zamiłowanie do przyrody zaszczepił w Ojcu jego długoletni nauczyciel Adolf Dygasiński, autor „Godów Ży­cia”. Ojciec wspominał go często, namalował jego portrecik z pamięci w roku 1905: jest zima, ptaszki skaczą po śniegu u stóp byłego nauczyciela.

Aż do końca życia Ojciec nie stracił przyrodniczych zacie­kawień. Nawet wtedy gdy Ojcu ciężko było chodzić, wybierał się ze mną nad Dunajec, cieszył się każdą mewką zrywającą się z wiklin nadbrzeżnych, każdym motylem, wylatującym krzy­wym lotem ponad wody szumiącej rzeki. Toteż w owych zwie­rzynieckich czasach mnóstwo stworzeń żyło u nas w domu. Kilkadziesiąt naszych pospolitych ptaków zimowało w oranżerii pełnej gałęzi i krzewów’ tak, by ptakom było wygodnie miesz­kać. Przez parę lat gościła u nas sowa, latająca cichutko nocą od pokoju do pokoju, wbite pod szafami spały węże, które zniknęły jesienią i moje poszukiwania za nimi szły na marne. Na strychu, nad wozownią a później nad pracownią Ojca, gnieź­dziło się coraz liczniejsze społeczeństwo gołębi. Sąsiedzi za po­mocą sposobów znanych każdemu gołębiarzowi kradli nam go­łębie. Często jednak taki porwany purcel czy grzywacz wracał przyprowadzając całą rodzinę tak, że stado rozmnożyło się wspaniale i gdyby nie Murzyn, podwórzowy seter, który wcinał z zapałem gołębie jaja, byłbym się załamał pod ciężarem obo­wiązków karmienia tych zgryźliwych wątrobiarzy, urodzonych firerków, niesłusznie zwanych gołębiami.

Poprzez całą twórczość Jacka Malczewskiego, na setkach obrazów, będą się pojawiać motyle, pasikoniki, ptaki jak gile, pośmieciuchy, skowronki. (Ostatnia kompozycja Ojca: św. Ag­nieszka ze skowronkami malowana w roku 1920-1921). Pasiko­ nik w mitologii greckiej oznacza nieśmiertelność, może Ojciec umieszczając to śliczne stworzenie w swoich obrazach miał ów symbol na myśli, może jednak pasja odtworzenia urody tego zie­lonego nad wyraz skrzypka kierowała wyborem Ojca. Tak samo owe ćmy i motyle, w iluż obrazach cisną się one na pierwszy plan, mają swoje odrębne życie, tajemne, owadzie, uzupełnia­jące czary dziwności całej kompozycji.

Jacek Malczewski nie malował nigdy ryb na talerzu. Parę razy młody Tobiasz niesie rybę, której żółć ma uleczyć jego ojca ze ślepoty. Ciekawe jak często ów temat Tobiasza, aniołów i ryby się powtarza.

W ogrodzie poznałem się z niektórymi modelami Ojca. z tymi właśnie, którzy przychodzili kraść czereśnie, jesienią gruszki. Była to młodzież zwierzyniecka, żadne tam zawodowe modele jak, do pewnego stopnia, miedzianowłosa, zielonooka dziewczyna z Przegorzał albo Helcia czy Stanisław lub wspa­niały Wójcicki, któremu należy się osobny rozdział. Nazywali się Październiki. Nie pamiętam ilu było chłopców, wiem że była jedna dziewczynka, pozowała do tej biedułi siedzącej obok wia­dra w jednym czy paru obrazach z serii „Zatrutej Studni”.. Byli to mili chłopcy, wyłamywali deskę w parkanie i pojawiali się w ogrodzie. Bawiliśmy się cicho, by nikt z domu nas nie zobaczył. Po czym familia Październików obżerała się owocami wprost z drzewa i hajda z powrotem przez dziurę. Ojciec nie bardzo lubił te czułości, wyłamywania parkanu, niszczenia drzew. Toteż wizyty ustały. Październiki obrażone tłukły się do bramy gdy ja byłem w pobliżu i gdy tylko podbiegłem bliżej, ryczały: Rafał, zielona żabo! Byłem wściekły, knułem zemstę. Kiedyś, gdy rodziców nie było w domu zwabiłem całą paczkę i zamknąłem, używając jakiegoś chytrego manewru, w ubikacji do wychodzenia na dwór w mieszkaniu. Po czym wyniosłem się na dwór do ogrodu. Październiki ze strachu siedziały cicho. Po paru godzinach, po powrocie rodziców do domu, zaczęła się awantura. Paru Październików służyło za modela do młodego Tobiasza i innych kompozycji malowanych w latach 1900, 1905- 1906. Październikówna razem z Wójcickim pozowała do „Mojej Pieśni” malowanej w roku 1904-ym.

W owych szczęśliwych latach dzieciństwa wydywałem sław­nych Polaków, przyjeżdżających do Ojca. Mówiono mi potem, źe ten mały pan o żółto-zielonej cerze, który przeszedł przez ogród, to Henryk Sienkiewicz. Wiedziałem co to za facet bo właśnie Ojciec czytywał mnie i mojej siostrze skrócone dla mło­dzieży wydanie Trylogii. Czytywał i rysował sceny i postacie z „Ogniem i Mieczem”, Zagłobę, małego rycerza, Wiśniowieckiego, Bohuna, Helenę. z czasem rysunki te wzięła moja sio­stra, jej dzieci miały je w swojej biblioteczce. Nie wiem czy prze­trwały ostatnie „uwolnienie” Polski.

Pamiętam Paderewskiego jak przyjeżdżał dorożką do pra­cowni mojego Ojca. Wiem, że Ojciec miał malować wiele obra­ zów dla niego. Skończyło się zakupem tryptyku, który był w Morges do przed-wojny. Pojawiał się Metropolita Szeptycki duży i przyjemny ksiądz i pan. z czasem, z majątków arcybiskupstwa grecko-katolickiego, zaczęły przychodzić limbowe deski parometrowej powierzchni. Wiem że Ojciec miał malować szereg wielkich kompozycji religijnych dla Szeptyckiego. Zo­stała się tylko jedna, wielki Tobiasz z aniołami, który przez lata wisiał w salonie rodziców.

Oczywiście, że nie mogłem widzieć wszystkich, którzy przy­chodzili do pracowni Ojca. Państwa Reymontów pamiętam dos­konale ponieważ zaczęli bywać u rodziców w domu. Pani była ładna, jasna, różowa blondynka, jego mniej pamiętam, chyba takim jaki jest na portrecie, z cwikierem na nosie, za nim krzak w którym hula zgraja wróbli, w tyle stodoły. Nawiasem mówiąc, zdaje mi się że są to zabudowania dworskie, choć Reymont już był autorem „Chłopów” i jako takiego, myślę, że chciał go Ojciec przedstawić. Rzadko jednak Jacek Malczewski malował wieś od strony małorolnego, nawet kmiecia czy jak to się dzisiaj mówi kułaka. Wiejskie chaty pojawiają się co najwy­żej blisko już horyzontu w głębiach kompozycji.

Zdarzało się nieraz, że ktoś opuszczał pracownię Ojca i szedł do ogrodu. Było osobne wyjście po schodkach — siadał na ław­ce, grzał się w słońcu, czekał by ktoś inny załatwił swoją spra­wę i się wyniósł. Często modelka okrywszy się czym tam miała szła do ogródka, by ustąpić miejsca jakiemuś gościowi nienawykłemu do golizny. w przedpołudniowych godzinach nie zbli­żałem się do owych schodków prowadzących na małe podwórko przed drzwiami pracowni. Ileż kompozycji Ojca powstało na tym podwórku, które było zacienione ścianą pracowni i zielonym dachem białodrzewu. Dwa razy zamieszkiwaliśmy owrą willę „Pod Matką Boską”. Wyprowadzając się po raz pierwszy by­łem na dnie rozpaczy. Zdaje mi się że po półtora roku mieszka­nia w tym paskudnym mieście zwanym Krakowem wróciliśmy znowu na wieś Zwierzyniec do tej samej willi „Pod Matką Bos­ką”. Teraz jednak Ojciec miał świeżo wybudowaną pracownię, przestał być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych, kuca za­stąpiły konie, wózek powóz. Nastały lepsze czasy w życiu i twórczości mojego Ojca. Lata powodzenia, dużych zarobków, rozwoju coraz bardziej własnej sztuki i wolności o ile taka istnieje dla człowieka o czułym sercu, wrażliwym, wiernym ma­larskiemu rzemiosłu.

*(dokończenie nastąpi)*

*Rafał MALCZEWSKI*

Andrzej Bobkowski: Siódma

Pierwsze podmuchy ciepłego powietrza, jeszcze rzadkie ale już mocne, ulatywały z rozgrzanych w słońcu dachów i spychane ku ziemi płazowaniem wiatru wpadały w ulice. Roztrącały zimo­wy chłód wypełzający z grubych murów kamienic, wyszarpywały zatęchłe zimno z bram i okienek piwnicznych, rzucały się w ciemne podwórka topiąc tu resztki brudnego lodu. Potem ulatywały w górę, rozhuśtywały nagie gałęzie drzew i tłukły się wzdłuż ścian, bębniły po okiennicach i świstały w dziurawych rynnach. Białe chmury na bladym błękicie nieba porozciągały się w długie i nastroszone pasma. Wiatr głaskał miasto pod włos, uskakiwał za węgły, przyczajał się by za chwilę znowu wyskoczyć i wszystko rozmierzwić.

Karol Sauczey szedł bulwarem i wdychał głęboko każdy z tych powiewów paryskiego przedwiośnia; szedł powoli, tak jak chodzi się zwykle w sobotę popołudniu. Wydaje się wtedy, że niedziela będzie wieczna a poniedziałek nigdy nie nadejdzie. Gdy uderzał silniejszy podmuch, Sauczey przystawał, odchylał lekko głowę w tył i zamykał oczy. Dotykał wiatru powiekami i łapał go na górną wargę badając uważnie temperaturę. Ostroż­nie I z namysłem przełykał jedno uderzenie po drugim; mogło się wydawać, że ktoś karmi go łyżeczką a on poddaje się temu z pieszczotliwą uległością.

„Pachnie wiosną”. Ta myśl przybrała postać pełnych słów i biegła wyraźnie ponad innymi snującymi się bezładnie i bez­kształtnie. Było mu dobrze i uczucie błogości dominowało w nim ponad wszystkim. Stan ten był jednym z najlepiej przestudio­wanych w jego psychice i wyłączanie się z linij wyższych na­pięć udawała mu się zwykle najlepiej. On sam określał to w ten sposób i było to jedno z jego ulubionych sformułowań technicz­nych. Twierdził, że za pomocą przykładów zaczerpniętych z tech­niki lub mechaniki najłatwiej jest wytłumaczyć pewne zawiłe pro­blemy filozoficzne lub psychologiczne. w dzień urodzin lubił mówić do siebie półgłosem: „Tak, tak — życie podlega także prawu przyspieszenia ziemskiego. Gamma pół razy czas do kwadratu. Czym bliżej śmierci tym szybciej leci”.

Teraz nie myślał o tym w ogóle i twierdził, że myśli o śmier­ci i bawienie się nimi są w gruncie rzeczy wulgarną rozrywką, a niezawodną oznaką „chamienia epok” (jak to określał) jest upowszechnienie i lekceważenie tej wielkiej niewiadomej. Śmierć to problem dla wybranych, to tajemnicze równania dla wielkich matematyków. „Nie jest dobrze gdy mięso wołowe jest droższe od ludzkiego” — powiedział raz swojemu rzeźnikowi kupując niedzielny, kartkowy kotlet. Rzeżnik, chudy Francuz, śmiał się długo i od dwóch lat witał go zawsze tym jego powiedzonkiem. Sauczey krzywił się pobłażliwie lecz odczuwał przyjemność. Jed­na z jego myśli nic poszła na marne. Intelekt, właściwy kąt spojrzenia, są w końcu tym co liczy się zawsze, nawet w tym świecie głupiej wojny. Trzeba je zachować i — jak mawiał — przechować gorące w termosie. Jego termosem był gruby notat­nik z wykaligrafowanym na pierwszej stronie napisem „Myśli”, w którym zapisywał wszystkie spostrzeżenia stylem krótkim i czujnym. Marzył że kiedyś wyda je w małym tomiku.

Idąc zatrzymywał się przed wystawami, oglądał dokładnie rozłożone za szybą przedmioty. Lubił szczególnie skórzaną ga­lanterię ale teraz, w czwartym roku wojny, w sklepach było więcej imitacyj niż prawdziwej skóry. Radioodbiornikom poświę­cił dłuższą chwilę i przypatrywał się im ze znawstwem. Amatorstwo dało mu do rąk fach, z którego utrzymywał się pracując jako radiotechnik lecz fach nie zabił w nim zamiłowania do majsterki w wolnych chwilach. Obok muzyki, radio stanowiło jego warownię. Zresztą te dwa zamiłowania łączyły się ściśle ze sobą i dopiero w ich obrębie Sauczey czuł się naprawdę sobą, a nawet więcej: imponował Sauczeyowi powszedniemu, temu co wsta­wał rano, szedł do pracy i zarabiał na utrzymanie i zachcianki tamtego. Gdy wieczorem rozkładał na pulpicie partyturę jakiejś opery lub symfonii i słuchał jej przy dwunastolampowym od­biorniku własnej konstrukcji dyrygując orkiestrą, przypatrywał się sobie z przyjemnością. Tych dwóch rzeczy strzegł pieczoło­wicie przed światem.

Pochylając się aby lepiej oglądnąć jakiś nowy model poko­jowej anteny powiedział półgłosem do siebie: „Jeszcze jedno oszustwo dla naiwnych” i uśmiechnął się sceptycznie. Wiatr da­lej przewalał się po bulwarze i obłoki, dotąd nieruchome, ruszyły nagle z miejsca przysłaniając chwilami słońce. Ich cień nasuwał się na kamienice i biegł szybko po pustej jezdni goniony z tyłu przez plamę światła. Gdzieś podleciało kilka papierów i przefrunęło ponad ulicą. Gdy furkot wiatru i trzaskanie okiennic cichły na chwilę, słychać było miarowe bębnienie dolatujące z małego placyku pod jakimś pomnikiem. Sauczey spojrzał w tamtą stronę i zaśmiał się z zadowoleniem. Teraz nie miał już żadnych wątpli­wości że wiosna nadchodziła naprawdę. Bębnili o niej uliczni akrobaci otoczeni grupą gapiów.

Podszedł w tamtą stronę i stanął z boku aby nie mieszać się z tłumem. Na asfalcie leżał postrzępiony koc i dwie dziew­czyny przeginały się na nim w tył. Przy każdym przegięciu kości biodrowe wyskakiwały z ich chudych ciał na wierzch i rozpy­chały krótkie spodenki a pod brudnymi koszulkami z trykotu ginęły rozciągnięte piersi. Tylko żebra rysowały się łagodnie jak fałdy na pralce. Ich ojciec bębnił i głośno opowiadał o wy­czynach żony i syna, które miały nastąpić po zebraniu odpowied­niej i nieokreślonej sumy rzucanych monet. Mrugał porozumie­wawczo do tłumu.

Sauczey obserwował widzów i utwierdzał się w swoich są­dach o łatwowierności ludu. Kilka zręcznych słów i białe, alu­miniowe monety zaczęły gęsto spadać na koc lub toczyć się po asfalcie. Cała piątka akrobatów przydeptywała je z udaną obojętnością aby nie toczyły się dalej. w ruchach ludzi rzuca­jących je była ta sama udana obojętność i Sauczey zastanawiał się w jakim stopniu były one wyrazem obopólnej pogardy. „Na­reszcie i oni mogą kimś gardzić, być panami i ciskać pieniądzmi. Rzucają bardziej dla samej przyjemności ciśnięcia monety niż dla tych tam” — myślał i odsunął się od jakiegoś drelichu śmierdzącego potem, winem i opiłkami żelaza. Nic zrobił tego ze wstrętem bo był na to za dobrze wychowany. Ten drelich był dla niego tym czym resztka łupki w jajku na miękko lub odprysk muszli w otwartej ostrydze: zjawiskiem zrozumiałym i koniecznym w życiu, którego jednak wcale nie musiało się prze­łykać razem. Ludzie jego pokroju odkładali to dyskretnie na bok.

Sauczey wyciągnął papierosa i pochylił się przysłaniając jed­ną ręką zapalniczkę ale automat krzesał tylko iskry i nie chciał zapalić. Zniecierpliwiony, postukał w ramię stojącego przed nim człowieka i poprosił o ogień. Zasmolona ręka sięgnęła do kie­szeni, wyjęła coś wielkiego, zapaliła na otwartym powietrzu i podała mu wstecz kopcącą pochodnię. Sauczey odpalił i podzię­kował, tamten nawet nie oglądnął się. „Że też te *ich* zapalniczki zawsze działają”. Zauważył to już wielokrotnie i obiecywał sobie przemyśleć kiedyś to zjawisko do głębi. Od dawna podejrzewał, że coś z tego kryje się w niepokojącej sile i popularności bolszewizmu.

Teraz miał nastąpić główmy punkt programu. Chłopak, do­tąd bezczynny, ustawił cztery butelki od szampana szyjkami w dół i na tym chwiejnym fundamencie umieszczał drewniany taburet. „Sześć taburetów na flaszkach i dopiero tam w górze, pod dachami, ten młodzieniec pokaże wam co potrafi” — ciskał się stary wybijając długie werble na bębnie. Ludzie uśmiechali się z uznaniem. Słońce opadło niżej i kryte blachą dachy zaczęły ostro lśnić. Cień kamienic pokrył placyk i powiało chłodem. Chłopak zbudował wieżę z taburetów i ostrożnie prostował się w górze mrużąc oczy od blasku. Potem pochylił sic i wolno sta­wał na rękach. Wszyscy wpatrywali się teraz w jego wyprężone i drgające nieznacznie nogi, w ledwo dostrzegalne chybotanie się spiętrzonych taburetów.

Sauczey palił papierosa i obserwował z uwagą I z lubością. Za młodych lat i on stawał świetnie na rękach, „wyciągał” sta­nie na poręczy balkonu na trzecim piętrze. w drobnym ułamku sekundy przewinęły mu się w głowie jakby symbole wspomnień i zsumowały błyskawicznie. Kiwa się po nich melancholijnie głową. Lwowski „Sokół”, matura, terezjańska akademia woj­skowa, armia austriacka i wojna, ta prawdziwa na włoskim froncie. Potem wojsko polskie j bolszewicka zabawa w Indian — „polnischer Indianerspiel” jak to zawsze nazywał. Zapatrzo­ny w górę zapomniał o papierosie. Nic odrywał wzroku od postaci chłopca, która już trzeci raz kurczyła się i prostowała z wysiłkiem. Sauczey czuł w rękach I w ramionach prężenie się mięśni, rozkoszował się nim jak wtedy. Widział pod balko­nem na Akademickiej jak ludzie gromadzili się, pokazywali pal­cami i wypatrywał przekrwionymi oczami policjanta. *To* były czasy, *to* była Europa. a potem nagle Polska, niepodległa ojczyzna. Uśmiechnął się wewnątrz z sarkazmem. Pipidówka o pretensjach stolicy, plemię z ambicjami narodu i mocarstwa. w pełni sił przeniesiono go w stan spoczynku bo był „z austria­ckiej armii”. Później obcięli nawet tę nędzną ameryturę, bez­prawnie, po złodziejsku. Dusił się w jakimś żydowskim domu bankowym w Krakowie i nie mogąc znieść tubylczego błazeń­stwa, wyjechał do Ffrancji. Dopiero na „Gare du Nord” poczuł się znowu człowiekiem, rozpoznał dawny zapach Europy. w nędznym pokoiku przy rue de la Roquette zwinął się w kłę­bek z rozkoszą i żył. Żył tak od trzynastu lat.

Rodzina akrobatów trzepała i zwijała koc, ładowała na ręczny wózek tabu rety i flaszki. Ojciec z matką liczyli pienią­dze ustawdając je na ziemi w jednakowych kupkach i kłócili się zajadle z synem, który żądał od razu swojej części. Ulica znowu opustoszała.

Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek, otworzył kopertę, spoj­rzał i delikatnie zamknął. Miał jeszcze pół godziny. „Madame Delphine-Massages” otwierała o trzeciej. Była to jego godzina. Maude była wypoczęta, lubi być pierwszy i nie śpieszyć się. Szedł znowu wolno sycąc oczy widokiem ulicy, sennym ruchem i ciszą. To był Paryż ale zupełnie inny; Paryż, którym od po­czątku wojny zaczął zachwycać się na nowo nie mając go nigdy dosyć. Ruch i zgiełk odeszły z ulic, odsunęły się jak fala z plaży w czasie odpływu i urok tego jedynego miasta zaczął wydoby­wać się na powierzchnię z każdego domu, z każdej ściany, z pla­ców i placyków', szerokich bulwarów i wąskich zaułków. Teraz był tylko monotonny szurgot stóp i klekotanie drewnianych san­dałów kobiet, rowery terkały jak świerszcze a śmiech dziewcząt było słychać z daleka. w nocy było ciemno, nad wejściami do „métro” paliły się sine lampki i wszystkie odgłosy ulicy stawały się jeszcze silniejsze.

Wszedł w rue Saint-Sulpice. Księgarnie były otwarte i przy każdej wystawie zatrzymywał się na chwilę przeglądając tytuły wystawionych książek. Spojrzał znowu na zegarek i upewnił się że już jest poru. Brama była uchylona, dom czcigodny jak wszystkie domy na tej ulicy. Wszedł rzeźko na drugie piętro i zadzwonił trzy razy. Otworzyła mu pokojówka i poprzez ciem­ny przedpokój wprowadziła go do małego saloniku. Usiadł w miękkim fotelu. Na stoliku i na etażerce porozkładane były książki, ta specjalna literatura saloników tych domów. Zawsze było to samo, znał to doskonale, a pomimo to zawsze odczuwał rozkoszny dreszczyk nowości, podniecającą ciekawość nieznanego. Maude wielokrotnie mówiła mu, że może przyjść do niego ale on wołał tutaj. Tkwiło w tym coś z rytuału świątyni i nie chciał nic z niego utracić. Była w tym jakaś wspaniała ciągłość, jakby przedłużenie słonecznej kultury Hellady, powiew wierszyków Archilocha i Alkmana. Zamyślił się. To żydowskie nazwisko już w greckiej poezji nie dawało mu nigdy spokoju i uważał to za bardzo sygnifikatywne. Co się potem dziwić, że tylu było ich w polskiej?

Czerwona portiera uchyliła się z szelestem i weszła Madame Delphine.

*— Bonjour, mon capitaine, comment ça va?*

Była wysoka i postawna I w całej postaci, w utlenionych włosach, w jasno niebieskich oczach I w stroju przechowała coś nieuchwytnie dawnego. Dla Sauczeya była natchnieniem wspom­nień', jakby rykoszetem Wiednia. „Kobiety w tym wieku zwykle są już tylko rykoszetem czegoś” — pomyślał. Postanowił to spostrzeżenie zapisać.

— Pan kapitan zawsze wierny swojej Maude. To bardzo uczciwa dziewczyna.

Jakże lubiał tę elegancję i dyskrecję, zacisze prywatnej kli­niki. Madame skarżyła się na różne braki, opowiadała mu ile musiała zapłacić ostatnio za mydło i ręczniki *(les prix sont stu­péfiants)* ale pocieszała się, że czystość w szanującym się domu nie ma ceny. Mimochodem zapytała go czy nie mógłby kupić jej fałszywych kartek na *chleb:les Polonais sont si débrouillards”.* Szarmancko wręczył jej połowę własnych prosząc, by przyjęła je bez żadnego skrępowania. *„Mon capitaine, vous-êtes un amour.* Kiedy zapalimy znowu amerykańskiego papierosa i napijemy się whisky?”

— Niedługo, już niedługo, madame — i mrugnął okiem porozumiewawczo.

Wyszła tak samo nagle jak weszła i po chwili zjawiła się Maude. Miała na sobie niebieski, roboczy szlafroczek z krótkimi rękawami. Była niska i pełna, ale pomimo przekroczonej trzy­dziestki zachowała figurę tak jak tylko Francuzki to potrafią. Sauczey obawiał się całkiem młodych. To młode pokolenie by­wało ordynarne i cyniczne. Maude mówiła mu zawsze *„vous” i*była delikatna jak pielęgniarka. Przywitał się z nią i objął. Lubił wyczuć pod dłonią zagłębienie tworzące się na pulchnym ramieniu pod naciskiem ramiączka biustnika. Było jak obietnica. Poszli jak zwykle do „ich” pokoju.

Maude. była taktowna, wzdychała w odpowiednim momen­cie nie za głośno i bez przesady, prawie naprawdę. Potem nie podśpiewywała, nie starała się naśladować jazz’u i uśmiechała się łagodnie nawiązując spokojną konwersację.

— Poznałam wczoraj jednego Polaka, miody lotnik. Miał poparzony kawałek twarzy i dałam mu pudełko „ocre” żeby się pudrował bo za samą plamę mogliby go złapać. Przyprowadził go jakiś z „résistance”. Biedny chłopak. Nie chciałam nic wziąć od niego, ale znalazłam potem w pantoflu tysiąc franków.

Sauczey uśmiechnął się.

— Na pewno fałszywe. Drukują franki w Anglii i dają im zawsze pięć tysięcy na drogę.

*— Tant mieux —* to znaczy że prawdziwsze niż nasze. Scho­wam na pamiątkę.

Sauczey znowu uśmiechnął się. Pomyleńcy, biją się o Polskę dla Sowietów. Od początku tej wojny nie wierzył w żadną Polskę, a teraz było to bardziej pewne niż kiedykolwiek. Polskie wojsko. w 39-ym chcieli i jego namówić, w „Reginie” bvł no­towany pochlebnie, ale odpowiedział im że w jego wieku ojczy­zna ma prawo domagania się życia, nie ma natomiast prawa wymuszania aby on w Bretanii nabawił się dla niej lekkomyślnie zapalenia płuc na cemencie, pod połówką koca. Zawsze wspa­niałe improwizacje, naród genialnych improwizatorów — na nie­mej klawiaturze.

Przeciągnął się i dyskretnie ziewnął. z kolei zaczął myśleć o wieczorze. Przyrządzi sobie dobrą kolację a potem koncert. Dyryguje w Berlinie von Karajan i niech mu spróbują prze­szkadzać. Kosztowało go to trzy miesiące pracy ale teraz ma ich w ręce. „Pubela” i Henri po obu stronach jego pokoju nie byli problemem, eliminowało się ich na sieci; natomiast ta parka z drugiej strony podwórza puszczająca na cały regulator „cafć au lait au lit” lub „Ici Londres” doczeka się swojego. Nie tylko Niemcy mogą głuszyć — on też potrafi dołożyć swoje.

Ubierał się wolno I z pedanterią. Czuł się naprawdę wspa­niale i wiążąc sznurówki przy bucikach podgwizdywał cicho uwerturę z „Zemsty nietoperza”. Pożegnał się z Maude uma­wiając się na przyszłą sobotę. Pogłaskała go po twarzy i powie­działa „/e *votts attendrai, chéri”.*

Gdy wyszedł na ulicę, słońce chyliło się ku zachodowi i już czerwone i wielkie opadało powoli nad Polami Elizejskimi. Po­stanowił przejść się jeszcze i poszedł w stronę Luwru. Bulwar Saint-Germain usiany był plamkami różnokolorowych przyczepek rowerowych. „Vélo-taxi” pomalowane na różne odcienie żywych barw należały teraz do szyku. Jeździły w nich przeważnie utrzymanki i wielkie kokoty przybierając w koszykach najpowab­niejsze pozy i reklamując ładne nogi odsłonięte aż do połowy uda. Czasem przemknął mały powozik na dwóch kołach ciągnię­ty przez kucyka lub rasowego kłusaka. To były wojenne „ Rolls Royce’y”. „Cierpią” — pomyślał i zaśmiał się sam do siebie. Bulwar rozpływał mu się w ustach, topił na podniebieniu jak wspaniała czekolada od Fouché.

Przeszedł na drugą stronę Sekwany i zanurzył się w od­wiecznym przeciągu Luwru. Ciepłe powietrze nagromadzone w plątaninie uliczek koło Palais Royal i rue de Rivoli, wsysane przez bramę chłodem wnętrza wielkiej podkowy i ogrodu, pę­dziło w stronę rzeki. I w nim wy wąchał już wiosnę. Pomnika Gambetty nic było, z posągu Joanny d’Arc opadła pozłótka i wy­glądał on jak wykopalisko. „Zaczęło się od Joanny a skończyło na Pétain’ic” — pomyślał. *„Sic transit gloria Galliae”.* Stanął pod pomnikiem i przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem. Przyszło mu na myśl, że ta figura, pozłacana co pewien czas, był niezłym symbolem tego kraju. Złocą. Teraz znowu pozłocą i będzie im się wydawało, że cały świat im uwierzy. Już Cezar mówił o' ich dzielności w czasie przeszłym porównując z Germa­nami. Uśmiechnął się z politowaniem. a jednak nie potrafił wy­obrazić sobie życia gdzie indziej. „A jednak...” — powiedział półgłosem do siebie. Tym „a jednak” zawracali głowę światu i sobie od wieków ale w końcu i to się skończyło. Zszedł do „ métro”.

Na rue de la Roquette było ciemno i brudno. Na chodnikach i na jezdni leżały odpadki brukwi, podstawowej jarzyny wszyst­kich ulicznych targów, w powietrzu unosił się smród kiszonki wydobywający się z przepełnionych pudeł na śmieci poustawia­nych w sieniach domów. „A jednak” — pomyślał znowu wcho­dząc do wielkiej kamienicy i wślizgując się w długi i źle oświe­tlony korytarz. „Pubela” wałęsała się tu jak zwykle, zawsze pijana i czatująca czerwonymi oczkami na wejście każdego loka­tora. Gdy przylgnął do drzwi aby otworzyć je i wsunąć się do swojego pokoju uchylając je jak najwęziej, czuł jej wzrok na karku i słyszał chwiejne ruchy poza plecami. Wsunął się bokiem I z ulgą przekręcił klucz w zamku.

Pokój Sauczeya przypominał wnętrze łodzi podwodnej. Poza normalną plątaniną rur wszelkich kalibrów rozpełzniętych po ścianach, które każdy pokój w tym mieście zamieniają bez żad­nych dodatków w coś w rodzaju kotłowni, Sauczey wykorzystał każdy decymetr kwadratowy i sześcienny przestrzeni zapełniając ją sprzętem radiowym, akumulatorami, bateriami, odbiornikami i sporym nadajnikiem własnej konstrukcji. To była jego duma, ostatni produkt i rezultat wytężonej pracy. Przy jego pomocy mógł teraz zamącać sąsiadom odbiór i zmusiwszy ich do milcze­nia, spokojnie słuchać muzyki. Jeszcze w płaszczu podszedł do niego i spojrzał z zadowoleniem. Przyda się na ciepłe miesiące gdy wszystkie okna otwierają się na podwórze i piekielna kako­fonia kilkunastu odbiorników zatruwa spokój każdego wieczoru. „Dlaczego hołota tak lubi hałas?” — zastanowił się i postanowił kiedyś przemyśleć to zjawisko do głębi. Już sam fakt, że obydwa wyrazy pisały się przez samo „h” nasuwał pewne po­dejrzenia. Było mu teraz trochę żal że wieczór był jeszcze chłod­ny i obawa przed „congestion” trzymała okna zamknięte. Miał ochotę, wypróbować. Cieszył się specjalnie na utrącanie tego szanteklera z „lei Londres”; nie znosił jego głosu i tonu, z których wynikało że walczy Francja a inni są tylko jej sprzy­mierzeńcami.

W pokoju było czysto i nawet w małej kuchence panował wzorowy porządek. Sauczey zdjął płaszcz, powiesił go starannie na wieszadle i zapaliwszy gaz postawił wodę na herbatę. Po­tem nalał do szklanki czerwonego wina, zdjął z półki z nutami gruby zeszyt i usiadł w fotelu. Przed jedzeniem lubił zawsze poczytać coś ze swoich „Myśli”. Ostatnia, zapisana poprzed­niego wieczoru, olśniewała go swoją trafnością i napawała du­mą. „W każdej cywilizacji nie rola dołów jest ważna lecz rola góry. Cywilizacja rozpada się gdy góra zaczyna znajdować smak w rozkładzie, gdy sam proces rozkładu zaczyna być identyfiko­wany z cywilizacją”. Zamyślił się. Odkręcił pióro i dopisał u dołu w nawiasie: „Francja?”. Był pewny że znak zapytania dodał temu ciężaru intelektualnego. Prawdziwy intelektualizm sprowadza się zawsze do pytania, odpowiedzi może się nie bać tylko prostak. Na pytania stawiane przez najgenialniejsze umy­sły odpowiadało i odpowiada zawsze chamstwo. Teraz Hitler i Stalin. i wynik był bezbłędnie jednakowy. Po nich odpowiedzą Amerykanie. Imbryk z gwizdkiem zaświstał wesoło i Sauczey wstał aby zaparzyć herbatę. Wokoło było cicho i był pewny że uda mu się spokojnie wysłuchać siódmej symfonii Beethoven’a. Od kilku lat obserwował już von Karajana i był pewny, że ten młody dyrygent wybije się bardzo szybko na jedno z pierw­szych miejsc.

Nakrył dla siebie na małym stoliku, otworzył puszkę sardy­nek, obrał kilka zimnych kartofli i pokroiwszy je w talarki, przyrządzał apetyczną sałatkę. Chleb był ciemny i kluskowaty, na pewno z domieszką trocin lub jakiegoś innego świństwa, ale na to nie można było poradzić. Usiadł i wsunąwszy róg czystej serwetki za kołnierzyk, zabrał się do jedzenia. Popijał wino i ża­łował że nie kupił tuzina ostryg. Już niedługo skończą się razem z miesiącami z „r”. Jeszcze „Avril” i potem aż do „Septem­bre” bez ostryg. Było naprawdę cicho I z przyjemnością wsłu­chiwał się w krótkie, urywane dźwięki gdy potrącił widelcem o talerz lub szyjką butelki o krawędź szklanki. w którejś z rur przeleciała z szumem woda. Wstał i wyjąwszy z półki z nutami album sonat Beethoven’a zaczął go przerzucać przy jedzeniu. Wydawało mu się, że jeden motyw z siódmej był w którejś z nich ale nie był pewny. Usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzał z niedowierzaniem, odczekał, pukanie powtórzyło się. Wstał, przekręcił klucz i chciał wyglądnąć przez szparę. Pchnęli drzwia­ mi gwałtownie, odepchnęli go nimi prawie na środek pokoju i weszli. Było ich trzech.

Jeden mówił źle po niemiecku, dwaj inni nie zwracali na niego uwagi wymieniając między sobą krótkie słowa po nie­miecku, twarde i bezosobowe jak stukot telegrafu. Nie zam­knęli drzwi za sobą i rozglądali się po pokoju, podchodzili do aparatów. z korytarza wpadał przeciąg i kartka w albumie so­nat uniosła się, stanęła pionowo, zachwiała się i opadła z po­wrotem. Drgnęła zasłona w oknie i sucha pelargonia w doniczce przygnieciona na chwilę brudnym kretonem, wyprostowała się sprężyście. Sauczey stał przygarbiony i wszystko widział. Do okna było pięć wzorzystych kwadratów na wydeptanym lino­leum, po korytarzu kręciła się bezszelestnie „Pubela” i zaglą­dała ciekawie do środka, gdzieś smażyli coś na ohydnym tłuszczu wołowym i pokój napełniał się ciężkim zaduchem. Fran­cuski *„flick"* podszedł do niego i przesunął po nim z wprawą rękami. *„Keine Waffe" —* powiedział zwracając się ze służal­czym uśmiechem do tamtych. Oglądali z zainteresowaniem na­dajnik. Sauczey przyglądał się Francuzowi i nagle nienawiść za­mroczyła go. Skośnym spojrzeniem obliczył dystans do drzwi i skoczył zwinnie zatrzaskując je za sobą. Dostrzegł tylko jak „Pubela” rzuciła się wprzód i zaczęła niespodziewanie pewnie biec przed nim. w tych kilku susach, w których doganiał ją, pomyślał że gdy wyskoczą i zaczną strzelać, mogą trafić i ją. Złapał ją za ramiona, zręcznie podbił nogi i zwalił na podłogę. Wyprostował się i biegł dalej. To go zgubiło, strzały dosięgły go tuż przed zbawczym zakrętem na klatkę schodową. Gdy upadał w tył pomyślał tylko, że lepiej tak. Tam w dole, na ulicy, nie mógł oczekiwać pomocy od nikogo, to nie była War­szawa. Żal i tęsknota rozświetlały nadchodzący mrok. Spod przymkniętych powiek dostrzegł nad sobą czerwone oczki „Pubeli”.

*— C'est pour... —* zdołał tylko wyszeptać.

Opieczętowali drzwi, znieśli go szybko do samochodu. *„]e l’ai eu quand, même, ce salaud"* powiedział głośno Francuz. Odjejechali dyskretnie i tylko na korytarzu i na schodach pozostały gwiazdki rozpryśniętej krwi. Mieszkańcy sąsiednich pokojów wychylali się ostrożnie, zbijali w lękliwą grupkę rozmawiając szeptem. Henri obracał brzuchem wokoło i opowiadał dokładnie, ze szczegółami, jakby wszystko widział. „Pubela” podeszła do niego i pokazując z głupim uśmiechem na czerwone plamy, mó­wiła w kółko: „Powiedział: *c’est pour, c’est pour..."* Henri rozglądnął się, przezornie i spojrzawszy na nią wyniośle, pod­niósł w górę rękę z wytkniętym palcem wskazującym:

*— Pour la Pologne, imbécile!*

*Andrzej BOBKOWSKI*

Archiwum polityczne

Juliusz Mieroszewski:“Modus Vivendi”

Czasem drobiazg rzuca snop światła — i nagle kontury zna­jomej rzeczywistości dostrzegamy w innym wymiarze. Przed kilku dniami jeden z posłów do Izby Gmin zapytał dlaczego amerykańskie bombowce stacjonowane w Anglii w czasie lotów służbowych mają na pokładach ostrą amunicję.

W jakim świecie taki pan żyje?

Jeżeli potencjalne niebezpieczeństwo nie materializuje się w pewnym okresie czasu ludzie przyzwyczajają się do owego za­grożenia. Owo przyzwyczajenie, poparte ignorancją, wytwarza poczucie bezpieczeństwa. To poczucie bezpieczeństwa jest fał­szywe stanowi jednak swoistą formę przystosowania się do sytuacji.

Zapytanie w Izbie Gmin cytowane powyżej jest typowym przykładem poczucia fałszywego bezpieczeństwa, które w odczu­ciu ludzi jest realne mimo, że jest oparte na całkowicie niereal­nych przesłankach.

W rzeczywistości Europa zachodnia z Anglią włącznie jest zagrożona a jej system obronny jest niedostateczny. Ponieważ jednak ten stan rzeczy trwa latami przyzwyczailiśmy się do tej sytuacji. Gdyby Rosjanie ruszyli jutro na całej linii od Bałtyku po Alpy — wszyscy załamaliby ręce i wykrzyknęli zgodnym chó­rem: „Boże, któż mógł to przewidzieć!”

Owego pasa 400 milowego między Bałtykiem a Alpami strzeże w tej chwili niepełnych... 15 dywizji. Jeżeli chodzi o bez­pieczeństwo powietrzne rewelacyjny system ostrzegawczy wyna­leziony przez Amerykanów („Scatter Communication”) znajdzie na tych wyspach praktyczne zastosowanie za dwa lub trzy lata. Do tego czasu — stwierdza ze stoickim spokojem „Daily Mail” — gdyby Rosjanie dokonali niespodziewanego ataku brytyjski system ostrzegawczy mógłby okazać się niedostateczny. Sygna­ły bowiem mogą być opóźnione lub unicestwione sowiecką akcją radiowego tłumienia (jamming).

Nie interesuje mnie w tej sprawie strona techniczno-wojskowa. Natomiast z politycznego punktu widzenia warto może za­uważyć, że istnieją sytuacje, które są de facto „niezainkasowaną agresją”. Gdyby 175 dywizji sowieckich (nic licząc satelickich) ruszyło na całej linii frontu europejskiego — nie jest rzeczą pewną czy dowództwu atlantyckiemu zezwolono by na użycie artylerii ato­mowej. Gdyby Sowiety podjęły błyskawiczną inwazję typu „kon­wencjonalnego” — można uznać za pewne, że w kołach poli­tycznych Zachodu nie brakłoby mężów stanu, którzy doradza­liby na „konwencje” odpowiedzieć „konwencją”. Poczucie bez­pieczeństwa z jakim mieszkaniec Paryża czy Londynu kładzie się co nocy spać jest typowym przykładem tak zwanego bez­pieczeństwa statystycznego. Jesteśmy niedostatecznie chronieni tak na lądzie jak I w powietrzu ale ponieważ ów stan zagro­żenia trwa już od wielu lat wnioskujemy, że skoro dwa lata te­mu, rok i pół roku temu nic się nie stało to zapewne jutro, za rok i dwa lata również nic się nie stanic. i każdy następny dzień, który rozpoczyna się nie wyciem syren ale pukaniem do drzwi mleczarza pogłębia w nas owo poczucie fałszywego bez­pieczeństwa.

Nie istnieje instytucja „kredytu” historycznego. Walka o czas nie jest walką o kredyt a jedynie o dogodniejszy termin spłaty. Rozgrywka — która nie zawsze przybiera formę kon­fliktu zbrojnego — zmierza do wyrównania poziomów. Jeszcze ciągłe zasadniczym motorem historii politycznej jest równowaga sił. Ideologie, rewolucje, wzloty i upadki narodów znajdują swój wyraz w zmiennej dynamice równowagi sił. Jeżeli w jednym punkcie globu wzrasta potencjał siły — ów potencjał stanowi automatycznie zagrożenie dla „status quo”, ponieważ każda realna siła jest zaborcza. Pacyfistyczny jest tylko dobrobyt, któ­ry jest siłą skapitalizowaną.

Na Zachodzie błędnie identyfikujemy bogactwo (w najszer­szym tego słowa znaczeniu) z aktywną siłą. Bogactwo, wielki przemysł, wysoka stopa życiowa — nie zapewniają bezpieczeń­stwa. Stopień bezpieczeństwa jest wprost proporcjonalny do po­tencjału aktywnej siły.

Bomby atomowe i wodorowe, samoloty, czołgi i cały nowo­czesny wojenny sprzęt jest sprawą przemysłów i kapitałów. Ale tak problem znalezienia tysięcy pilotów gotowych zrzucić owe bomby na wyznaczone cele jak i moment powzięcia decyzji — leżą poza sferą cyfr, statystyk, i wskaźników produkcji przemy­słowej. Ekonomia jest niezmiernej wagi ale o biegu Historii (z ekonomią włącznie) decydują poza-ekonomiczne elementy. Je­żeli marksizm obowiązuje dziś na jednej czwartej powierzchni globu nie jest to żadnym dowodem, że tezy ekonomiczno-spo­łecznego rozwoju głoszone przez Marksa okazały się w praktyce proroczo prawdziwe. Jest to natomiast dowodem, że w kształ­towaniu Historii element poza-ekonomiczny jest decydujący. Je­żeli ów element jest dostatecznej mocy można dziesiątkami lat naginać rolnictwo i organizację produkcji przemysłowej, kulturę i naukę do jednego z najbardziej zawikłanych i pełnego oczywi­stych sprzeczności systemu. Rosjanie mają tyle dynamizmu i woli kształtowania historii, że gdyby marksizm był niepomiernie bar­dziej zawikłany i jeszcze mniej praktyczny jak jest — nie daliby za wygraną i nakładem odpowiednio większych ofiar realizowa­liby go z żelaznym uporem.

Studium Historii nie uprawnia do twierdzenia, że idee racjo­nalne i humanitarne były równocześnie tymi prądami, które mo­bilizowały największą aktywność. Można natomiast stwierdzić, że idee, które spełniały rolę generatorów aktywnej siły uważane były zawsze przez swych wyznawców za wzniosłe i szlachetne.

Powyższe dygresje posłużą nam za tło do analizy zjawiska, które nazwałbym „plebiscytem neutralnych”.

W praktyce — jak wiemy — nie istnieje idealnie neutral­na... neutralność. Weźmy klasyczny przykład — Szwajcarię. Nie ulega wątpliwości, że tradycyjna neutralność Szwajcarii jest pro­zachodnia. Wizyta pp. Bułganina i Chruszczowa w Indiach mia­ła między innymi na celu skłonienie Indii do neutralności życzli­wej dla Sowietów.

Czego szuka kraj neutralny? Przede wszystkim bezpieczeń­stwa. w skali międzynarodowej bezpieczeństwo na dziś i na jutro zapewnić może jedynie neutralność przyjazna dla przysz­łego zwycięzcy.

Na łamach „The Observer” jeden z wybitnych brytyjskich ekonomistów wysunął nowy projekt pomocy ekonomicznej dla krajów azjatyckich podkreślając z naciskiem, że akcja tego typu musi być ściśle a-polityczna, wolna od jakichkolwiek politycz­nych powiązań.

Tego typu projekty są szczytem naiwności. w dzisiejszym świecie nie ma kapitału apolitycznego. Przyjmując koce, kakao i biskwity od amerykańskiej instytucji dobroczynnej nieszczęśni azjatyccy powodzianie w ocenie radia moskiewskiego popełnili czyn nieprzyjazny w stosunku do Zwdązku Sowieckiego. a cóż mówić o inwestycjach przemysłowych, za którymi ciągnie armia doradców, techników, ekspertów itd.

Anglicy czy Amerykanie mogą azjatyckiemu państwu X oferować pomoc chemicznie wolną od politycznych zobowiązań — mimo to rząd państwa X nim przyjmie ową pomoc dobrze się zastanowi jakie reakcje ów bezinteresowny dar wywoła w Pe­kinie I w Moskwie. I w tym sensie Zachód nie ma dziś żadnej możliwości działania apolitycznego. Związek Sowiecki upolitycz­nił na tym globie wszystko i wszystkich.

Ludzkość żyje dziś w cieniu konfliktu dwóch wodorowoatomowych mocarstw i politycznym towarem najbardziej poszu­kiwanym jest bezpieczeństwo a nie bogactwo. Premierowi Nehru, słowa: pokój i bezpieczeństwo dosłownie nie schodzą z ust a przecież nikt chyba bardziej nie potrzebowałby kromki z ame­rykańskiego słodkiego kołacza niż 400 milionów Indusów.

Prasa brytyjska komentując wizytę sowieckich przywódców w Indiach podkreślała uporczywie, że Sowiety nie mają nic do za­oferowania Indusom. Niestety tak nie jest. Marszałek Bułganin miał wiele okazji by powiedzieć premierowi Nehru: „Jeżeli Indie będą współpracowały z Sowietami w polityce utrwalenia pokoju i koegzystencji — być może do konfliktu w ogóle nie dojdzie. a jeżeli dojdzie Rosja uszanuje neutralność Indii”.

Co stanowi istotę atrakcyjności tego typu oferty? Aktywna siła Sowietów. Przekonanie, że komunizm światowy kierowany z Moskwy jest siłą z którą musi się znaleźć jakiś „modus vi­vendi”..'. ponieważ nie zanosi się na to by ktoś tę siłę zniszczył.

Najprzychylniej nawet usposobiony dla Zachodu polityk azjatycki, gdy zapozna się z dziełami czołowych reprezentantów współczesnej politycznej myśli amerykańskiej jak G.F. Kennan, Walter Lippman, G.H.J. Morgenthau czy Adlai Stevenson — musi dojść do wniosku, że to co ci panowie mają do zaofero­wania jest w gruncie rzeczy polityką koegzystencji w amerykań­skim opakowaniu. Któż politykę koegzystencji importuje z Wa­szyngtonu? Oryginalną koegzystencję importuje się z Moskwy.

♦

Należałem do pisarzy politycznych, którzy przez wiele lat łudzili się, że olbrzymie ciśnienie idei komunistycznej wywoła w końcu na Zachodzie reakcję, która wykrystalizuje się z cza­sem w koncepcję nowego porządku międzynarodowego.

Najwięksi realiści miewają złudzenia. Realista jednak tym różni się od innych ludzi, że umie w właściwym momencie złu­dzeń się wyzbyć.

Obecnie po niemal jedenastu latach, które dzielą nas od zakończenia wojny — sądzę, że nie ma żadnych rzeczowych pod­staw do wnioskowania iż Zachód wypracuje wreszcie i przeciw­stawi komunizmowi własną uniwersalistyczną koncepcję porząd­ku międzynarodowego. Takiej koncepcji nie ma i długo chyba nie będzie.

Adlai Stevenson w swej książce „Cali for Greatness” uwa­ża za cechę dojrzałości umiejętność pogodzenia się z częściowym niepowodzeniem tak jak w końcu godzimy się z artretyzmem. i zapytuje: może Ameryka zbliża się do tej fazy?

Z artretyzmem niewątpliwie należy się pogodzić ale klasy­fikacja niepowodzeń nastręcza znacznie większe trudności. To co początkowo określamy częściowym niepowodzeniem w później­szych konsekwencjach okazuje się często źródłem totalnej klęski.

Ale byłoby śmieszne gdyby wschodnio-europejski publicysta podejmował dyskusje w tych sprawach z wybitnym amerykań­skim politykiem, historykiem i kandydatem na najwyższy urząd Stanów Zjednoczonych. Któż może lepiej znać i pełniej wyczu­wać nurt amerykańskich przemian niż on?

Nie wnikając przeto w przyczyny wystarczy jeżeli stwierdzi­my, że Zachód, ściślej mówiąc Stany Zjednoczone— nie mają żadnej światowej koncepcji i jest mało prawdopodobne by ją kiedykolwiek wypracowały. Trzeba więc wyjść z realistycznego i skromnego założenia podobnie jak w sprawie Niemiec. Musimy sobie otwarcie powiedzieć: nic mamy dość dynamizmu by primo — wypracować własną koncepcję polityki światowej a se­cundo — by tę koncepcję narzucić innym. Jeżeli jednak nasze obecne „częściowe niepowodzenia” nie mają być w przyszłości źródłem totalnej katastrofy — musimy wydobyć z siebie tyle aktywnej siły by zmusić Sowiety do pewnego kompromisu i ustępstw w ramach ich własnej sowieckiej koncepcji politycz­nej. Jeżeli nie stać nas na własną koncepcję należy stanąć na stanowisku sowieckiej koncepcji koegzystencji, ale jako partner a nic jak statysta. Jeżeli nie stać nas by narzucić zasady naszej gry musimy siąść do stołu akceptując zasady gry Sowietów, ale nie po to by zawsze mówić „pas”, lecz by odważnie podjąć licytację.

Większość zarzutów wysuwanych pod adresem polityki ko­egzystencji polega na nieporozumieniu. Jest przecież oczywiste, że jeżeli wyklucza się wojnę jako instrument działania politycz­nego — tym samym skazuje się ludzkość na koegzystencję.

Fakt wyłączenia wojny z zespołu środków działania politycz­nego nadał technice współżycia międzynarodowego zupełnie no­wy wyraz. Powstają nowe formacje polityczne niekiedy bardzo dziwaczne. Polityka sowiecka jest bardzo pomysłowa w tej dzie­dzinie. Weźmy przykład pierwszy z serii. Ponieważ w obecnym okresie historycznym wojna została skreślona ze spisu narzędzi politycznych — Berlin nic stał się Serajewem. Rosja natomiast uznała za legalne dwa rządy niemieckie. Każdy z tych rządów uważa się za jedyny prawowity rząd niemiecki a Berlin za swoją stolicę. Uznanie dwóch konkurencyjnych rządów przez trzecie mocarstwo i akredytowanie dwóch ambasadorów w od­nośnych „stolicach” jest niewątpliwie jedną z najdziwaczniej­szych form polityki koegzystencji. Osobiście sądzę, że to jest dopiero początek. Polityka koegzystencji wytworzy jeszcze znacznie dziwniejsze formy i sytuacje. (Nawiązanie stosunków dyplomatycznych de jure nie musi być równoznaczne z uzna­niem ale w praktyce wychodzi na to samo).

Lecz nawiązanie stosunków dyplomatycznych to tylko aspekt formalny tego zagadnienia. Co oznacza polityka koegzystencji w swej treści? Jest tylko jedna odpowiedź na to pytanie: Ko­egzystencja oznaczać może wszystko z wyjątkiem wojny.

♦

Sowiety politykę koegzystencji pojmują jako formę walki o polityczne przywództwo świata — Zachód w koegzystencji pragnąłby widzieć wstęp do kontroli zbrojeń i ery ustabilizowa­nego pokoju. Termin ten należy rozumieć tak jak rozumieją go przywódcy sowieccy.

Dwa następujące elementy posiadają decydujące znaczenie.

Po pierwsze siła. Co ma myśleć mieszkaniec wschodniej Europy, który jednego dnia dowiaduje się z prasy I z radia o fa­ talnym stanie sił NATO w Zachodniej Europie a drugiego dnia słyszy z Monachium tekst świątecznego orędzia Prezydenta Sta­nów Zjednoczonych? Na to pytanie łatwo jest odpowiedzieć, ów rodak pomyśli z goryczą: „Po co mówić o wyzwoleniu po­kojowymi środkami wschodniej Europy, kiedy nie ma dość sił by obronić zachodnią Europę”.

I oto dochodzimy do punktu drugiego. Najbardziej szczere i najlepszymi chęciami dyktowane orędzia nie zastąpią dyplo­macji.

**Te** dwa elementy: aktywna siła i aktywna dyplomacja od­grywają zasadniczą rolę nie tylko w stosunku do Wschodniej Europy ale w pierwszym rzędzie w stosunku do państw neutral­nych. Neutralnych, chwiejnych, niezdecydowanych przyciąga siła i tylko siła.

Dyplomacja Zachodu w porównaniu z elastycznością takty­ki politycznej Sowietów robi wrażenie wprost muzealne. Rosja­nie nie wahają się stosować rozwiązań bez precedensu. Dyplo­macja Zachodu spętana jest tradycją i szablonem. Wskutek tego jakże często nie możemy zdobyć się na szybkie kontr-posunięcie bo posunięcie „bezprecedensowe” jest oczywiście z góry wy­kluczone.

Polityka Zachodu a w szczególności polityka amerykańska winna być niepomiernie bardziej imaginatywna. Sięgnijmy po przykład nam najbliższy. Ustrój komunistyczny w Polsce ma już za sobą przeszło io lat istnienia. Ci, którzy w okresie Jałty byli dziewięcio- czy dziesięcioletnimi dziećmi — dziś są dorosłymi ludźmi. Wychowali się i dojrzeli w ramach porządku, który wydaje im się trwały i wsparty o tradycję lat. Zapytuję: z kim I z czym ci ludzie mają identyfikować ową „inną” Polskę, któ­rej nie pamiętają. Radio Free Europe jest tylko amerykańską radiostacją — Emigracja mgławicą.

W okresie pierwszej konferencji genewskiej kiedy Prezy­dent Eisenhower obdarowywał pannę Żuków prezentami, a „ofensywę uśmiechów” brano za łuk tęczy zwiastujący pokój i pojednanie — poufną drogą dostałem list z Kraju. Mój infor­mator pisał dosłownie: „Reżym będzie wam tłumaczył, że musicie znaleźć jakieś „modus vivendi” z Polską „ludową”, jeżeli bowiem nie pójdziecie na koegzystencję odetniecie się zarówno od Kraju jak i od koegzystującego Zachodu. Staniecie się cał­kowicie wyizolowaną grupą”.

Istotnie w idyllicznie koegzystującym Zachodzie emigracja polityczna stałaby się obcą sektą. Jedno jest pewne. Jeżeli Ame­rykanie pragną doczekać się konkretnych rezultatów to ich wschodnio-europejska polityka nie może być parasolem, który ilekroć w Moskwie barometr opada wyciąga się z szafy... by natychmiast go zwinąć i schować gdy marszałek Bułganin się uśmiechnie.

Z kim I z czym młodsi ludzie w Europie wschodniej mają identyfikować wolność, której nie pamiętają? z polityką wyzwo­ lenia środkami pokojowymi, która winna się zacząć po tej stro­nie „żelaznej kurtyny”.

Istnieje cała gama możliwych posunięć. Jeżeli Rosja uznaje dwa rządy niemieckie i akredytuje przy nich swoich ambasado­rów dlaczegóż Stany Zjednoczone nie miałyby uznawać poza rządami komunistycznymi również emigracyjnych, *demokratycz­nie* wyłonionych przedstawicielstw Polski, Czechosłowacji, Wę­gier czy Rumunii?

Powyższe rozwiązanie nie jest bynajmniej jedyne. Istnieje szereg innych możliwości. Można by powołać i wyposażyć w sta­tut pół-oficjalny reprezentację wschodnio-europejską.

Jaki byłby cel takich rozwiązań bez precedensu? Chodzi o przywrócenie członkom narodów ujarzmionych w wolnym świę­cie choćby w formie pół-oficjalnej statutu sojuszniczego. Jeżeli bowiem polityka wyzwolenia środkami pokojowymi nic ma być traktowana jako pusty frazes tak po tej jak i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” — musi być realizowana wszędzie tam, gdzie jest to możliwe a więc przede wszystkim na Zachodzie.

Stany Zjednoczone dzielą z nami wiarę w wyzwolenie i usta­mi swych przywódców dają wyraz pragnieniu by narody wschod­nio-europejskie powróciły do wspólnoty wolnych narodów świa­ta. Ale wiara nie zastąpi ani polityki, ani dyplomacji. Nie bez słuszności powiedział ostatnio ambasador Kennan (o czym piszę obszerniej na innym miejscu w tym numerze) — że byłby mniej...zakłopotany amerykańskimi deklaracjami na temat Europy wschodniej, gdyby wiedział jaka będzie polityka Stanów Zjed­noczonych w stosunku do tego obszaru w chwili gdy panowanie Rosji dobiegnie tam kresu.

Można polemizować z tą wypowiedzią ale niemniej faktem jest, że polityki amerykańskiej w stosunku do wschodniej Euro­py — nie ma.

Nie ulega wątpliwości, że sformułowanie choćby ramowego poglądu na przyszłą rolę Europy wschodniej oraz przywrócenie choćby częściowe statutu sojuszniczego przedstawicielom naro­dów ujarzmionych wywarłoby potężny wpływ na opinię spo­łeczeństw za „żelazną kurtyną”.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

Londyńczyk: Kronika angielska

KARYKATURA

Jeden z naszych Czytelników w Kanadzie wystosował do Londyńczyka list w którym czytam między innymi co następuje:

„Drogi Panie! Po co? Po trzykroć po co? Po co, dlaczego i dla kogo zajmuje się Pan tak uporczywie politykę emigracyjną? Czy nie zdaje Pan sobie sprawy, że to podrywa zaufanie do Pańskiej publicystyki? Po­ważni pisarze komentują politykę światową a nie emigracyjny rozgardiasz.

„Drogi Londyńczyku — powinien Pan koniecznie wyjechać z Anglii przynajmniej na sześć miesięcy. Wówczas przekonałby się Pan, że spraw którym Londyńczyk poświęca tyle zachodu i uwagi nikt nie traktuje poważ­nie. To w ogóle nie są „sprawy” ani to me jest „polityka”.

Tyle nasz miły Czytelnik.

Mamy za sobą sto numerów „Kultury”. Istotnie, gdyby zebrać wszyst­kie „Kroniki Angielskie” otrzymalibyśmy spory tomik poświęcony niemal wyłącznie polityce emigracyjnej. Prawdą jest również, że żadne inne pismo polskie ukazujące się w wolnym świecie nie poświęciło polityce emigracyjnej tyle miejsca co „Kultura”.

Drogi Kanadyjczyku — posłuchajmy we dwójkę zaczarowanego fletu wspomnień....Oto żołnierze wracają z ćwiczeń do koszar i śpiewają: „Nikt nam nie weźmie nic, nikt nam nie zrobi nic — bo z nami jest, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz!” w kawiarniach, na dancingach, w knajpach, w barach, w biurach, w redakcjach — panowie dowcipkowali zachwyceni swoim własnym poczuciem humoru. Dowcipkowali z Rydza, ze schedy, z cudów nad urną I z tego... czy u Becka odkłoni się z daleka Bobkowski.

Owa lekkość i piankowość, owe rozkochanie w powiedzonkach i poin­tach — maskowały straszliwą bezradność i niedojrzałość. Jeżeli ktoś opowie­dział dwa kawały o BBWR i pośmiał się z Rydza — uważał, że błysnął jako duch niezależny, który „tych rzeczy” nie traktuje poważnie.

Do tego dołączała się tradycja z okresu zaborów, że za rządy odpo­wiadają zawsze „oni” — nigdy my. Ponieważ mieliśmy...ważniejsze rzeczy na głowie, „oni” rządzili bez przeszkód do samego końca. Nawet w ostat­niej godzinie nie umieliśmy ich zmusić do utworzenia rządu koalicyjnego.

Emigracja jest karykaturą okresu dwudziestolecia. Wszystko jest tak samo tylko w pomniejszonym formacie.

Drogi Kanadyjczyku! To nie tylko emigracyjna polityka jest niepoważna — to przede wszystkim *my* jesteśmy niepoważni.

Inteligencja wywiozła z Kraju lekceważący i obojętny stosunek do polityki. To jest legenda, że Polacy interesują się polityką. Polacy intere­sują się personaliami, „sitwami”, partyjnymi kombinacjami, ale to wszystko.

Obserwując od lat moich współrodaków na wyspach brytyjskich — podziwiając z jakim uporem, zaradnością i przedsiębiorczością rozbudowują swoje warsztaty pracy — doszedłem do wniosku, iż Polacy są znakomitym materiałem na wzorowych i wartościowych obywateli pod warunkiem, że politykę robi za nich ktoś inny. Na dnie duszy rodacy są z tego zadowoleni i cenią sobie porządek i unormowane stosunki.

Sprawa jest prosta. Ponieważ większość inteligentów — tak jak Pan. drogi Kanadyjczyku — obecnej reprezentacji politycznej nie uważa za „rzecz poważną” — ci panowie całą potencjalną opozycję traktują również za „rzecz niepoważną”. i choć jestem ich przeciwnikiem sądzę, że w tej materii się nie mylą.

Kryzys wewnętrzny trwa. TRJN jest ciągle tymczasowa. Wyborów nie przeprowadza, referendum (?) nie organizuje — wykazując we wszystkim wprost przerażającą bezradność. Temu marazmowi i niedołęstwu towarzyszy lenia środkami pokojowymi, która winna się zacząć po tej stro­nie „żelaznej kurtyny”.

Istnieje cała gama możliwych posunięć. Jeżeli Rosja uznaje dwa rządy niemieckie i akredytuje przy nich swoich ambasado­rów dlaczegóż Stany Zjednoczone nie miałyby uznawać poza rządami komunistycznymi również emigracyjnych, *demokratycz­nie* wyłonionych przedstawicielstw Polski, Czechosłowacji, Wę­gier czy Rumunii?

Powyższe rozwiązanie nie jest bynajmniej jedyne. Istnieje szereg innych możliwości. Można by powołać i wyposażyć w sta­tut pół-oficjalny reprezentację wschodnio-europejską.

Jaki byłby cel takich rozwiązań bez precedensu? Chodzi o przywrócenie członkom narodów ujarzmionych w wolnym świę­cie choćby w formie pół-oficjalnej statutu sojuszniczego. Jeżeli bowiem polityka wyzwolenia środkami pokojowymi nic ma być traktowana jako pusty frazes tak po tej jak i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” — musi być realizowana wszędzie tam, gdzie jest to możliwe a więc przede wszystkim na Zachodzie.

Stany Zjednoczone dzielą z nami wiarę w wyzwolenie i usta­mi swych przywódców dają wyraz pragnieniu by narody wschod­nio-europejskie powróciły do wspólnoty wolnych narodów świa­ta. Ale wiara nie zastąpi ani polityki, ani dyplomacji. Nie bez słuszności powiedział ostatnio ambasador Kennan (o czym piszę obszerniej na innym miejscu w tym numerze) — że byłby mniej...zakłopotany amerykańskimi deklaracjami na temat Europy wschodniej, gdyby wiedział jaka będzie polityka Stanów Zjed­noczonych w stosunku do tego obszaru w chwili gdy panowanie Rosji dobiegnie tam kresu.

Można polemizować z tą wypowiedzią ale niemniej faktem jest, że polityki amerykańskiej w stosunku do wschodniej Euro­py — nie ma.

Nie ulega wątpliwości, że sformułowanie choćby ramowego poglądu na przyszłą rolę Europy wschodniej oraz przywrócenie choćby częściowe statutu sojuszniczego przedstawicielom naro­dów ujarzmionych wywarłoby potężny wpływ na opinię spo­łeczeństw za „żelazną kurtyną”.

*Juliusz MIERO SZEWSKI*

Kronika angielska

KARYKATURA

Jeden z naszych Czytelników w Kanadzie wystosował do Londyńcryka list w którym czytam między innymi co następuje:

„Drogi Panie! Po co? Po trzykroć po co? Po co, dlaczego i dla kogo zajmuje się Pan tak uporczywie polityką emigracyjną? Czy nie zda je Pan sobie sprawy, że to podrywa zaufanie do Pańskiej publicystyki? Po­ważni pisarze komentują politykę światową a nie emigracyjny rozgardiasz.

,.Drogi Londyńczyku — powinien Pan koniecznie wyjechać z Angin przynajmniej na sześć miesięcy. Wówczas przekonałby się Pan, że spraw którym Londyńczyk poświęca tyle zachodu i uwagi nikt nie traktuje poważ­nie. To w ogóle nie są,.sprawy” ani to nie jest „polityka”.

Tyle nasz miły Czytelnik.

Mamy za sobą sto numerów „Kultury”. Istotnie, gdyby zebrać wszyst­kie „Kroniki Angielskie” otrzymalibyśmy spory tomik poświęcony niemal wyłącznie polityce emigracyjnej. Prawdą jest również, że żadne inne pismo polskie ukazujące się w wolnym świecie nie poświęciło polityce emigracyjnej tyle miejsca co „Kultura”.

Drogi Kanadyjczyku — posłuchajmy we dwójkę zaczarowanego fletu wspomnień....Oto żołnierze wracają z ćwiczeń do koszar i śpiewają: „Nikt nam nie weźmie nic, nikt nam nie zrobi nic — bo z nami jest, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz!” w kawiarniach, na dancingach, w knajpach, w barach, w biurach, w redakcjach — panowie dowcipkowali zachwyceni swoim własnym poczuciem humoru. Dowcipkowali z Rydza, ze schedy, z cudów nad urną I z tego... czy u Becka odkłoni się z daleka Bobkowski.

Owa lekkość i piankowość, owe rozkochanie w powiedzonkach i poin­tach — maskowały straszliwą bezradność i niedojrzałość. Jeżeli ktoś opowie­dział dwa kawały o BBWR i pośmiał się z Rydza — uważał, że błysnął jako duch niezależny, który „tych rzeczy” nie traktuje poważnie.

Do tego dołączała się tradycja z okresu zaborów, że za rządy odpo­wiadają zawsze „oni” — nigdy my. Ponieważ mieliśmy...ważniejsze rzeczy na głowie, „oni” rządzili bez przeszkód do samego końca. Nawet w ostat­niej godzinie nie umieliśmy ich zmusić do utworzenia rządu koalicyjnego.

Emigracja jest karykaturą okresu dwudziestolecia. Wszystko jest tak samo tylko w pomniejszonym formacie.

Drogi Kanadyjczyku! To nie tylko emigracyjna polityka jest niepoważna — to przede wszystkim ***my*** jesteśmy niepoważni.

Inteligencja wywiozła z Kraju lekceważący i obojętny stosunek do polityki. To jest legenda, że Polacy interesują się polityką. Polacy intere­sują się personaliami, „sitwami”, partyjnymi kombinacjami, ale to wszystko.

Obserwując od lat moich współrodaków na wyspach brytyjskich — podziwiając z jakim uporem, zaradnością i przedsiębiorczością rozbudowują swoje warsztaty pracy — doszedłem do wniosku, iż Polacy są znakomitym materiałem na wzorowych i wartościowych obywateli pod warunkiem, że politykę robi za nich ktoś inny. Na dnie duszy rodacy są z tego zadowoleni i cenią sobie porządek i unormowane stosunki.

Sprawa jest prosta. Ponieważ większość inteligentów — tak jak Pan, drogi Kanadyjczyku — obecnej reprezentacji politycznej nie uważa za „rzecz poważną” — ci panowie całą potencjalną opozycję traktują również za „rzecz niepoważną”. i choć jestem ich przeciwnikiem sądzę, że w tej materii się nie mylą.

Kryzys wewnętrzny trwa. TRJN jest ciągle tymczasowa. Wyborów nie przeprowadza, referendum (?) nie organizuje — wykazując we wszystkim wprost przerażającą bezradność. Temu marazmowi i niedołęstwu towarzyszy całkowita obojętność inteligencji emigracyjnej. Atakowanie BBWR kończyło się czasem w Berezie. Ale na emigracji obóz koncentracyjny nikomu nie grozi.

Gdyby pisarze, naukowcy,.profesorowie, przedstawiciele życia gospo­darczego, lekarze, adwokaci, architekci — zaczęli bombardować pisma emi­gracyjne listami do redakcji w których domagaliby się uporządkowania spraw zasadniczych a przede wszystkim wyborów — akcja taka nie minęła bez echa. Ale... wiadomo, że takiej akcji nie będzie. i jak w roku 2000 gene­ral Odzierzyński składając Radzie Trzech życzenia noworoczne zapewni, że trjn...przygotowuje wybory i...bada sprawę Bergu — również żadnej reakcji nie będzie.

Owa fałszywa i oportunistyczna „ apolityczność” naszej inteligencji i sfer intelektualnych była źródłem jednego z najbardziej upokarzających kontrastów w okresie dwudziestolecia. z jednej strony mieliśmy doskonałe pisma i perio­dyki, wielkiej miary pisarzy i poetów, na europejską miarę uniwersytety, znakomitych aktorów i wspaniałe teatry — a z drugiej strony mieliśmy sejm, który był parlamentem jedynie we wschodnim tego słowa znaczeniu.

Ów zdumiewający kontrast między poziomem życia intelektualnego a formacjami politycznymi — reprodukujemy wiernie na emigracji.

Wszystko to jest w dużej mierze konsekwencją braku zmysłu państwo­wego. Ów brak wyrównujemy — patriotyzmem. Ten sam malarz, pisarz czy architekt, który nigdy nie zajmuje się polityką i szczyci się tym — gdy zagrzmi złoty róg rzuca wszystko i idzie do wojska...najchętniej do kawalerii. Ale nawet na wschodzie Europy okresy pokoju trwają w sumie dłużej niż wojny. i wskutek tego zbrojny patriotyzm nie zastąpi zmysłu pań­stwowego i demokratycznego, który wyraża się świadomością, że obywatel- wyborca odpowiedzialny jest za wszystko i za wszystkich.

W świecie demokratycznym nie ma ucieczki ani od polityki, ani od odpowiedzialności. Tymczasem Polak pójdzie do wojska, wyjedzie na emi­grację, będze płacił ofiary i daniny...byle nie musiał maczać palców w po­lityce.

Praca społeczna? A... to całkiem co innego. Im dana instytucja stoi dalej od polityki tym jest popularniejszą wśród emigrantów.

Apolityczność w połączeniu z patriotyzmem i gotowością do ofiary stwarza idealny klimat dla dyktatury.

Było wielkim szczęściem, że mieliśmy Piłsudskiego. Gdyby go bowiem nie było mielibyśmy dyktaturę z tą tylko różnicą, że rządziłby nami czło­wiek nie tak wielkiego formatu.

PUNKT NIEMIECKI

Przemawiając w dniu 29 grudnia ubiegłego roku w Waszyngtonie na dorocznym posiedzeniu „American Historical Association” były ambasador G. Kennan powiedział między innymi że...byłby mniej zaniepokojony ame­rykańskimi deklaracjami na temat Europy Wschodniej, gdyby wiedział jaka będzie amerykańska polityka w stosunku do tego obszaru w chwili gdy pano­wanie Rosji dobiegnie tam kresu. Nie jestem entuzjastą politycznych koncepcji p. Kennana — niemniej trzeba przyznać, że zagadnienie poruszone przez niego jest bardzo istotne.

Nie tylko ambasador Kennan i kierownicy polityki Stanów Zjednoczo­nych ale i my najbardziej w tej sprawie zainteresowani — nie mamy wy­pracowanej odpowiedzi na pytanie: jak powinna być zorganizowana Europa Wschodnia po uwolnieniu?

Dla bardzo znacznego procentu emigrantów samo pytanie nie jest ważne. Większość zakłada, że Rosja (tak czy inaczej) upadnie a Niemcy spętane ograniczeniami zbrojeniowymi nie będą groźne.

Omawiając świąteczne orędzie prezydenta Eisenhowera londyński „Dziennik Polski” w artykule wstępnym stwierdził, że dziś i Polacy nie chcą wojny lecz pragną wyzwolenia środkami pokojowymi. Gdyby „Dzien­nik Polski” odważył się wystąpić z podobną tezą siedem lat temu — emigranci londyńscy zlynczowaliby redaktora jako defetystę.

Wyzwolenie środkami pokojowymi — bez względu co o tej koncepcji sądzimy — automatycznie przekreśla ideę wilsonowską tak zwanego samo­stanowienia.

Dlaczego? Dlatego, że wyłącza...zrównanie Rosji z ziemią. Zakła­damy bowiem, że Rosja pod wpływem gróźb, nacisków, negocjacji itp. — któregoś pięknego dnia wycofa się z Europy Wschodniej. Ale oczywiście nawet jeżeli się wycofa nie przestanie być nadal wielkim\* i groźnym mocar­stwem.

Byłoby nonsensem mówić o samostanowieniu w uwolnionej Europie Wschodniej wciśniętej pomiędzy potężną Rosję a odbudowane Niemcy.

W tym momencie w każdej dyskusji na te tematy pada magiczne słowo: federacja.

Jaka federacja? Czy uzgodniliśmy choćby na cierpliwym papierze jakiś konkretny projekt federacji dla Wschodniej Europy? Nie, takiego planu nie mamy. Istnieje natomiast cała seria projektów raczej sprzecznych.

Analiza tych sprzeczności wybiega poza ramy kronikarskiej notatki. Wy­starczy jeżeli stwierdzimy, że znakiem rozpoznawczym tych koncepcji fede­racyjnych jest stosunek do Niemiec. Nie będzie przesady w opinii, że jedną z kardynalnych przeszkód, które uniemożliwiają znalezienie wspólnego języka w tej sprawie — jest tak zwany problem polsko-niemiecki. Byłoby uproszczeniem twierdzić, że to jest jedyna przeszkoda — sądzę jednak, że gdyby tę zaporę udało się usunąć — inne różnice poglądowe straciłyby znacz­nie na ostrości.

Do tego zagadnienia powrócę w jednym z następnych artykułów w,.Kulturze”, na tym miejscu chciałbym tylko zwrócić uwagę Czytelników na pewną paradoksalność sytuacji, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Koncepcja wyzwolenia środkami pokojowymi odbiera wilsonowskiemu „samostanowieniu” wszelki realizm. Jeżeli mamy istnieć pomiędzy potężną Rosją a potężnymi Niemcami — mamy przed sobą trzy drogi: 1) Szukać oparcia o Rosję; 2) Szukać oparcia o Niemcy; 3) Utworzyć związek fede­racyjny.

Ale w gruncie rzeczy to jest rozumowanie teoretyczne, schematyczne, papierowe a nie polityczne.

Dlaczego? Dlatego, że dziesiątki wieków historii pouczają nas, że słabi nie szukają nigdy oparcia u słabych. Wprawdzie slaby słabemu w ni­czym nie zagraża ale również nie jest w stanie niczego zabezpieczyć.

W chwili obecnej w całej Europie Wschodniej dominuje nastrój anty­rosyjski. Jeżeli okupacja potrwa jeszcze kilka lat uczucia anty-rosyjskie będą zasadniczym budulcem porozumienia po wyzwoleniu krajów Europy Wschod­niej. Jeżeli Niemcy będą umieli wygrać politycznie ten atut — Polska z niezałatwionym problemem niemieckim może się znaleźć w całkowitej izolacji.

Wystarczy spojrzeć na przykład Czechosłowacji. Przed wojną mieliśmy politykę w stosunku do Niemiec niemal identyczną jak Czesi. Różniliśmy się natomiast w podejściu do Rosji. Dziś sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Mamy identyczną politykę w stosunku do Rosji a różnimy się w podejściu do problemu Niemiec.

To jest zwrot bardzo charakterystyczny. Według tego klucza rozwijać się będzie sytuacja polityczna w Wschodniej Europie.

Co to wszystko oznacza przełożone na język realistycznej polskiej poli­tyki?

Oznacza to, że nawet związek federacyjny nie uchroni nas przed ko­niecznością dokonania wyboru. Musimy się ułożyć albo z Rosją albo z Niem­cami. Do federacji — która byłaby jak Światowid — na wschodzie zwróco­na przeciwko Rosji a na zachodzie przeciwko Niemcom — w Europie Wschodniej nie znajdziemy partnerów.

ANKIETA

Nie zadajemy pytań jeżeli odpowiedź pozytywna na dane pytanie jest oczywistym nonsensem. Nikogo nie zanudzamy pytaniami w rodzaju: Czy księżyc jest z marcepanu? Czy istnieje różnica między wodą a dżinem? Czy p. A. Zaleski kiedykolwiek zrezygnuje?

Wiadomo, że logicznie poprawna odpowiedź na powyższe pytania może być tylko -negatywna i dlatego nie ma powodu ich zadawać.

Nie wszyscy jednak podzielają nasz pogląd w tej sprawie. Pewien londyński tygodnik o dużych ambicjach politycznych (co jest niewątpliwie jego zaletą) — rozpisał ankietę, której pierwsze pytanie brzmi następująco:

Czy państwo polskie jest w stanie walczyć samodzielnie przeciw Rosji i Niemcom równocześnie?”

Ponieważ wzmiankowany tygodnik wzywa wszystkich publicystów pol­skich na emigracji by wzięli udział w ankiecie — uważam za swój obowią­zek dziennikarski wyrazić mój pogląd w tej sprawie.

Drodzy Panowie! Ależ oczywiście jesteśmy w stanie walczyć samo­dzielnie (i równocześnie!) nie tylko przeciwko Niemcom i Rosji lecz rów­nież przeciwko innym naszym odwiecznym wrogom a mianowicie przeciwko: Ukraińcom, Czechom, Litwinom, Białorusinom i Żydom w Izraelu. Ktokol­wiek w to wątpi jest człowiekiem mizernej wiary. Dla takich niedowiar­ków nie może być miejsca w zwartych szeregach naszej superpolitycznej emi­gracji.

Kronika kulturalna

Londyńczyk: August Zamoyski

W roku 1919, w Warszawie, powiedział mi pewien wybitny emigrant rosyjski: „Stale czytam wasze gazety i jedna rzecz mnie uderza: nie ma w nich prawie wcale literackich aluzji czy cytat z literatury tak jakbyście jej wcale nie mieli — poza jedną jedyną cytatą, która za to powtarza się aż do znudzenia: „Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną”. o parę ulic dalej od miejsca, gdzie mieszkał ten emigrant, w tym samym roku, w gmachu Polonii, odbyła się pierwsza wystawa rzeźb Augusta Zamoyskiego. Sensacja i skandal. Lasy naprawdę płonęły, a rzeźby Augusta Zamoyskiego to były „róże”, które ten artysta zdecydował się kultywować wbrew powtarzanym w kółko w ga­zetach tłumaczeniom, że nie czas na sztukę, że to „róże”.

Zamoyski, ten rzeźbiarz-ekspresjonista na granicy abstrak­cji, pojawił się wówczas z Niemiec. Jego rzeźby — dziwne elipsy, koła, bloki, kiełbasy i kuby. Niektóre z nich, pomimo form abstrakcyjnych, były jednocześnie portretami, a co dziwniejsze, że te portrety — Kasprowicza, Heleny Potockiej, Zborowskiego — były uderzająco podobne, choć jak i inne ówczesne rzeźby Zamoyskiego, jak najdalej odległe od realistycznego ujęcia twarzy.

Lasy płonęły: Lwów, wojna z bolszewikami na karku, chaos niebywały, powstające Państwo Polskie, cała młodzież na froncie, Piłsudski Naczelnikiem Państwa („mam wiadomości pewne, że Piłsudski ma podziemny telefon z Moskwą” — sły­szałem, w owym czasie, na własne uszy jak to mówiła na ulicy Traugutta w Warszawie paniusia paniusi). i naraz te elipsy i koła w Polonii — do niczego niepodobne i do niczego niezdat­ne („ten rzeźbiarz żonaty z tancerką to musi być... mason”).

„Róże” pierwszych lat Polski. Pamiętajmy, że jedyna sztuka jaką znała wtedy *ulica* to był „Ułan i dziewczyna” Woj­ciecha Kossaka i... Stachiewicz z Matejką i Grottgerem jako tło.

Zamoyski miał już wtedy za sobą studia filozoficzne w Hei­delbergu i Fryburgu, udział w wojnie, niewolę w Niemczech — prawda, że niewolę z tamtych czasów. Pozwolono mu miesz­kać w Monachium, — bez prawa wyjazdu I z obowiązkiem mel­dowania się policji.— i pracować jako rzeźbiarz i kamieniarz u sławnego wówczas artysty, Wackerle. Pozwolono mu nawet wziąć udział w wystawie ekspresjonistycznej grupy „Aktion” w Berlinie, z Pechsteinem! Tam spotyka braci Hulewiczów, przyjaźni się z nimi i dzięki nim trafia do poznańskiej grupy „Zdroju”, a stamtąd do Warszawy. Katalog wystawy Zamoy­skiego opatrują wstępami formiści: Chwistek i Stanisław Igna­cy Witkiewicz.

Jakże dziś łatwo nazwiska formistów wyrecytować i usta­wić jako jeden z szacownych kierunków sztuki w Polsce okresu międzywojennego. Ale jakże inaczej to wyglądało gdy ta grupa zaczęła tworzyć i propagować swoje idee. To była naprawdę *awantura:* manifesty, wystawy, studia teoretyczne o sztuce, stu­dia filozoficzne, malarstwo, rzeźba, hece po kawiarniach, wie­czory poetyckie no i jednodniówki. „Skamander”, w porówna­niu, zdawał się nam wówczas prawie pudełkiem od czekoladek Wedla. Dziś, patrząc wstecz, uderza klasa artystyczna formis­tów. Była to chyba najwybitniejsza grupa artystyczna w Polsce międzywojennej. Witkacy, pisarz i malarz, dramaturg, filozof i teoryk sztuki, facecjonista tragiczny i genialny słowotwórca; z rzeźbiarzy — Zamoyski, z malarzy: bracia Pronaszkowie, Mie­rzejewski, Tymon Niesiołowski i przede wszystkim Tytus Czy­żewski; z filozofów — Leon Chwistek.

Wystawa Zamoyskiego w Warszawie była przecież pcryferyczną manifestacją tego ruchu, którego sercem był Kraków i może bardziej jeszcze — Zakopane.

Kiedy formista Zamoyski wystawiał w Warszawie — „lasy płonące” zajmowały mnie osobiście więcej niż „róże”, I z tej małej salki Polonii, zapełnionej dziwnymi rzeźbami zachowałem słabe wspomnienia. Dopiero w roku 1921, w Akademii Krakow­skiej, formiści dotarli i do mojej świadomości poprzez Klub Gałki Muszkatułowej, założony i obmalowany przez nich w ka­wiarni Esplanada. Tam też wysiadywał Peiper ze swoją „Zwrot­nicą”, do której pisywał Zamoyski, tam biegali Kapiści ([[1]](#footnote-1)).

Od Formistów szły te koncerty malarskie, organizowane przez kapistów: Jaremę, Waliszewskiego, Cybisa i Szczyrbułę, te wieczory poetyckie, gdzie przemawiali Jasieński i Młodoże­niec, a afisze malował Waliszewski, te jednodniówki Tytusa Czyżewskiego i Jasieńskiego, groźne i gorszące.

Kto się gorszył? Szlachetny Żeromski, bronił nawet arcydrastycznych ustępów „Zenobii Palmury” Iwaszkiewicza, po­równując je z wyznaniami J.J. Rousseau, a nas wszystkich na mawiał byśmy nareszcie włączyli się w nurt sztuki kwiatowej, uwalniając się od obsesji narodowego wieszczowania, ale, bodaj w „Snobizmie i Postępie”, pisał boleśnie jak to robotnicy w Polsce odrodzonej głodni wiedzy i światła kupują przy wyjściu z fabryki jednodniówkę Ęormistów: „Chceiny szczać we wszyst­kich kolorach”.

Zawsze mnie zastanawiała reakcja na tego rodzaju wybryki starego Krakowa. Profesor Leopold Jaworski, faktyczny prezes konserwatystów, filuternie i przyjaźnie pochylał swą ogromną łysą głowę, gdy przechodził obok Esplanady i Gałki Muszkatułowej i uśmiechał się pod wąsein. Arcykatolickie hrabiny udając, że nic nic wiedzą, czy naprawdę nic nie wiedząc, posyłały swoje torty i swoje córki na bale akademickie, gdzie królowali wy­znawcy Formistów, a lekarze i dentyści zakupywali ich obra­zy, darmo leczyli, a nawet razem dokazywali. Kraków był za­hartowany przez „Zielony Balonik”, „nagą duszę” przybyszewszczyków i wierszyki Boya, a może najprościej był miastem w Polsce najkulturalniejszym i dzięki temu tolerancyjnym, z perspektywą widzenia i humorem.

W galerii typów, tworzących ruch Formistów, August Za­moyski był chyba, obok Witkacego, najkolorowszy i najbardziej gorszący. Gorszyło nie tylko to, że ożenił się z tancerką i wy­stawia rzeźby do niczego niepodobne, ale i to, że wprowadził zupełnie nowy typ artysty: zadzierżysty, głośny humor, ani śla­du suchot, ani peleryn, ani długich czy półdługich włosów, za to buty z ćwiekami, portki z surowego płótna czy z łowickich pasiaków, szał sportowy, championaty nart, a na dobitkę jeszcze rekordy rowerowe (216 km. przeciętnie na dzień z Paryża do Za­kopanego i brama triumfalna na cześć półnagiego rowerzysty przed kawiarnią Karpowicza). Dziś sezon nart należy do obrzę­dów światowego życia, jak kiedyś wyścigi i karnawały. Zapo­minamy jak ten styl w owym czasie był nowy w Polsce. Do­słownie gorszył.

Może w historii Zamoyskiego datą najbardziej znaczącą jest nie przyłączenie się do grupy berlińskich ekspresjonistów, czy wystawa w Polonii, czy nawet cały okres formistyczny, ale rok 1923, kiedy artysta wzbogacony doświadczeniem swych lat pra­cy nad „czystą formą” z całą bezwzględnością wraca do na­tury i naturę z powrotem studiuje, rzeźbi akty i głowy. Od tego roku przeważnie tkwi w Paryżu. *Jego,* między innymi, posiew abstrakcyjny pleni się i rozrasta na całym świecie, a on sam, jakby od tej, od natury oderwanej, formy odwracał się plecami. Na zeszłorocznej Biennale w Sao Paulo, w Brazylii, byłem uderzony podobieństwem, *pokrewieństwem* wielu wystawianych tam rzeźb abstrakcyjnych z całego świata z rzeźbami Zamoy­skiego sprzed... laty. Rodzone siostry. Jedna z takich właś­nie rzeźb Zamoyskiego: „Kasprowicz”, znajduje się w zbio­rach muzeum w tymże Sao Paulo.

Nie tkwiąc w rzemiośle sztuki, a będąc jedynie jej odbiorcą, trudno jest zrozumieć jak śmiałe, jak rzadkie i ryzykowne, jest tego rodzaju przejście od sztuki abstrakcyjnej czy półabstrakcyjnej z powrotem do przedmiotowej. Już w roku 1924, na wysta­wie w Paryżu zastanowił mnie portret Marcussisa, czołowego kubisty, przyjaciela Apollinaire’a. Robił wrażenie szczytu beztalencia, przeciętnego akademizmu, a przecie Marcussis był wy­bitnym kubistą. w naszych czasach jeden z najgłośniejszych abstrakcjonistów, de Stahl, próbował wrócić cło malarstwa przedmiotowego. Jego samobójstwo sprzed roku było komento­wane jako skutek tego przeskoku, którego nerwowo znieść nie potrafił. Eklektyzm jest łatwy dla smakoszów sztuki, dla arty­stów konieczność wyboru bywa tragiczna — angażować go musi *całego.*

W Paryżu, w latach od 1923 do 1933, Zamoyski pracuje w marmurze i granicie. Znają go wszyscy i on zna wszystkich. Jest jednym z niewielu rzeźbiarzy o głębokiej wiedzy i pasji rze­miosła. Około roku 1933 wraca do Polski i pozostaje w niej z krótkimi do Paryża nawrotami. Jego wielka wystawa w IPS’ie, w 1936 roku, jest sukcesem. Otrzymuje zamówienia na pomniki i nagrodę miasta Warszawy. w roku 1938 zaś w Paryżu — wielką nagrodę rzeźby. Na swoim ukochanym Podlasiu, gdzie zamieszkał po śmierci ojca, rzeźbi między innymi „Głowę Wierki”. Wydaje mi się ona arcydziełem Zamoyskiego. Ta głowa z czarnego granitu jest dziś w Muzeum Narodowym w Warsza­wie, a jej replika tutaj, w Paryżu ([[2]](#footnote-2)).

Wojna wyrzuca Zamoyskiego do Brazylii. Tam, na terenie całkowicie nieznanym, ten rzeźbiarz o wściekłym temperamen­cie, już nie polskim, nie słowiańskim, a chyba węgierskim (mat­ka Węgierka) — stwarza cały ruch. Mianowany profesorem Akademii w Rio de Janeiro buduje na spółkę z żoną, uroczą i szlachetną Brazylijką, wielkie pracownie gdzie zespołowo, z uczniami, wykonuje rzeźbiarskie zamówienia na zasadach koo­peratywy, gdzie artyści i pisarze brazylijscy zbierają się, by dys­kutować o sztuce. Wyrusza ze swymi uczniami w głąb pustego kraju, wiezie ich aż do kamieniołomów w interiorze i tam, na miejscu, uczy jak wydobywać bloki kamienne i oceniać ich war­tość. Ostatnie trzy lata wykłada rzeźbę w Sao Paulo.

Szereg rzeźbiarzy znanych dziś w Brazylii wyrosło z jego uczniów. Niejednego jednak Zamoyski do rzeźby zniechęcił, bo lubi tłumaczyć, że rzeźbiarzem z prawdziwego zdarzenia można zostać dopiero po 30-tu latach nauki. Nie jest rzeźbiarzem ten, kto sam nie umie kuć i sam rzeźby odlewać.

W Rio, na głównym placu, stoi pomnik Chopina dłuta Za­moyskiego. Chopin we fraczku, prawie chłopięcy, trzyma jedną rękę po uchu — przysłuchuje się głosom z Polski. Taka była idea pomnika. Ustawiono go podczas wojny, w ogrodzie nad morzem, na niskim cokole, z twarzą skierowaną ku Polsce. Ale burmistrz miasta, chcąc uczcić rzeźbiarza, kazał przenieść pomnik, typowo kameralny, na ogromny cokół (będący jedno­cześnie wentylatorem gmachu teatralnego) na główny plac, na­przeciwko Opery („przecież tam grają Chopina” — mówił bur­mistrz). Dysproporcja postaci z wielką masą cokołu-wentylatora niszczy harmonię pomnika, przy tym pod cokołem jest stacja autobusów. Chopin nadstawia ucha, a autobusy ciągle trąbią. a do tego, tuż obok, inny ogromny pomnik pełen kamiennych fal, nagich kobiet i panów z brodami, pomnik wobec którego nawet niedawno zniesiony z placu Louvre’u Gambetta wydawał­by się klasycznie surowy — miażdży kruchą postać Chopina. Zamoyski mówi o tym z goryczą, jako o zniszczeniu jego pracy.

Dzisiejszy prezydent Brazylii, Kubiczek, wówczas wielko­rządca stanu Minas Gérais, stworzył nowoczesną miejscowość wypoczynkową przy Bel Horizonte — Pampulię. w zespole pro­jektodawców, obok jednego z największych architektów Bra­zylii, Nicmeyera i malarza Portinari — brazylijskiego Picassa — był również Zamoyski, który ustawił tam wielką, rzeźbę półleżą­cej, nagiej kobiety na tle kasyna, zaprojektowanego przez Niemeyera. Również w Brazylii pozostawił Zamoyski potężną rzeź­bę z białego marmuru: wielki akt kobiety zamyślonej o bujnych kształtach i schylonej głowie. „Tę rzeźbę nazwałem *Ziemia" —* mówi Zamoyski — „jest odpowiednikiem *Myśliciela* Rodin’a”. Dwadzieścia kilka rzeźb przywiózł obecnie artysta z powrotem do Paryża, gdzie dalej zamierza pracować. Gdybyż jednak Za­moyski był tylko rzeźbiarzem! Problematyka religijna i filozo­ficzna pasjonuje go od zawsze a dziś może więcej niż kiedykol­wiek. Od dwóch lat przygotowuje się do rzeźby „Piety” i ma już szereg szkiców w brązie i glinie. z kategorycznością i iemu właściwą wyłącznością, widzi dziś w sztuce religijnej jedyną formę sztuki godną wysiłku i pracy. Ale i tu chodzi własnymi drogami, równie daleki od taniej słodyczy Saint-Sulpice jak od „moderny” sztucznej i wysilonej wystaw „art sacré”.

„Urodził się Pan trzysta lat za późno, albo trzysta lat za wcześnie” taką dedykację wypisał Zamoyskiemu na swojej książce Bernanos, w Brazylii.

Ostatnią swoją rzeźbę — Św. Jana Chrzciciela, dwumetro­wą postać w brązie z podniesioną ręką — Zamoyski, po przyjeździe do Paryża, ustawił w ogrodzie domu „Kultury”. Zrobił nam tę radość i ten zaszczyt. Wierzymy że rzeźba ta nie będzie u nas wnękować, że zechce ją nabyć muzeum, galeria czy kolek­cjoner. Głowy i akty Zamoyskiego znajdują się przecież w wielu muzeach i prywatnych kolekcjach od Warszawy i Paryża po Rio i Sao Paulo.

Ten wielki polski rzeźbiarz, jeden z pierwszych twórców rzeźby abstrakcyjnej, walczy dziś o istnienie sztuki rzeźbiarskiej figuralnej, „sur nature”, jakby powiedział Cézanne. Jest on może znamieniem czasu: wyprzedza swoją świadomością to, do czego jeszcze nie doszła masa dzisiejszych rzeźbiarzy na Zacho­dzie — oddani abstrakcyjnym eksperymentom i abstrakcyjnej modzie zapomnieli kuć i już nie umieją pracować *sur nature.*

*Józef CZAPSKI*

Józef Czapski: Slavistica w Harvardzie

Skromne, bardzo skromne, były początki tego co stanowi dziś chlubę Stanów Zjednoczonych: Harvard University. Cambridge, przedmieście Bos­tonu, jest typowym miastem uniwersyteckim, daleko odbiegającym od prze­ciętnych miast amerykańskich. To Harvard nadaje mu oblicze, wyciska na nim piętno. Uniwersytet rozrósł się tak ogromnie, że nie mieści się w mu­łach swojego potężnego „campus u”, wybiegł nawet z Cambridge do róż­nych części Bostonu. Młodzież uniwersytecka dominuje na ulicach, w skle­pach, miejscach rozrywkowych. Na Harvard Square i sąsiadujących ulicach pełno księgarń, zaopatrzonych w różnojęzyczną literaturę. Można dowoli, godzinami wertować stosy starych książek, co najmniej jak w sławnych anty­kwariatach Paryża, Londynu, Warszawy, Wiednia, Berlina, Pragi czy Ham­burga. Nikt nie przymusza do kupna, nikt niczego nie zaleca. Pożerają książ­ki młodzi ludzie, studenci i studentki, a świeżą zdobycz podają sobie z rąk do rąk w zacisznej restauracyjce. Brakuje w niej tylko europejskiego kel­nera, który by udzielał studentom kredytu.

Harvard University, najlepsza wyższa uczelnia w Stanach Zjednoczo­nych, posiada w swoim gronie profesorów, zajmujących czołowe stanowiska w nauce świata. z tej uczelni wyszło wiele najznakomitszych osobistości nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całej Ameryki. Dyplom jakiegokolwiek wydziału Harvard jest najlepszym biletem wizytowym młodego człowieka. Nic więc dziwnego, że o prawo studiowania na tej uczelni toczą się do­słownie boje. Nie wystarczy mieć środki materialne, mimo iż to pomaga, nie wystarcza być synem lub córką absolwenta tego uniwersytetu, jakkol­wiek jest to pomocne, trzeba zadowolić wymagania dziekana wydziału. Aspirant na studenta w Harvard czyni pierwszy krok za pośrednictwem dyrektora szkoły średniej, jeszcze przed końcowymi egzaminami. Do poda­nia załączone są wyniki szkolne z kilku ostatnich lat, opinia dyrektora oraz profesorów. Aspirant bywa wzywany indywidualnie do dziekana na wstęp­ną rozmowę. Brak takiego zaproszenia równoznaczny jest z odrzuceniem podania. Po końcowym egzaminie szkolnym odbywa się druga kolejna roz­mowa w dziekanacie i dopiero wówczas zapada decyzja. Niektórzy stu­denci czekają cierpliwie kilka lat na Harvard, jeszcze inni przychodzą tam na studia podyplomowe.

Harvard powstał w 1639 roku oczywiście jako „college”, w rok po śmierci fundatora Johna Harvarda I w rok po założeniu miasteczka Cam­bridge. Naturalnie było to dzieło purytanów angielskich, którzy postanowili uczcić sławną uczelnię z której 'wyszli. John Harvard nie był ani sławnym pisarzem ani uczonym. Gdy zmarł, liczył zaledwie 37 lat. w spadku zosta­wił £780, co stanowiło połowę jego majątku, oraz 260 książek. Ten kapi­ tał i księgozbiór stanowiły zaczątek Harvard College i biblioteki. Uczelnia rozbudowywała się systematycznie i szybko wybijając się na czoło wszyst­kich późniejszych wyższych zakładów naukowych Stanów. Dziś Harvard University, pozostając uczelnią prywatną, jest bodajże najbogatsza. Wartość samych budynków wynosi około 500 milionów dolarów, roczne dochody łączne z dotacjami wynoszą dziesiątki, czasami setki milionów. Personel profesorski przekracza 2.000 a ilość studentów 20.000. Uczelnia wydaje rocznie ponad 2.000 dyplomów. Do tego dochodzą setki dyplomantów z in­nych uniwersytetów, uzupełniających w Harvard swoje studia. Uniwersytet posiada naturalnie liczne instytuty badawcze, szereg muzeów. w tym wspa­niałe muzeum sztuk pięknych (Fogg) i cały zespół gmachów bibliotecznych. Księgozbiór uniwersytecki liczy około 6 milionów tomów i jest najwięk­szym uniwersyteckim księgozbiorem świata. Nie brak w nim najrzadszych bibliofilskich okazów. Osobne budynki mieszczą pierwodruki angielskie, in­ne rękopisy, stare druki, wydawnictwa lingwistyczne, księgozbiory sztuki itp. Niezależnie od tego wydziały posiadają własne biblioteki, niejako pod­ręczne. Warunki pracy są idealne. Specjalne aparaty powiększające są do dyspozycji pracujących nad rękopisami. w gabinetach naukowych znajdują się cichopiszące maszyny, w korytarzach, przy regałach książek, rozmiesz­czone są biurka. Tutaj student może mieć dowolną ilość książek, po które sam sięga.

SLAWISTYKA

Slawistyka jest młodym wydziałem na Harvard; do 1948 roku była jed­noosobowa. Prof. Cross był tym omnibusem. Na wydziale historycznym znaj­dował się od 1927 roku prof. Michał Karpowicz, jednakże nie wykładał na slawistyce. Trudno powiedzieć dlaczego wydział był tak zaniedbany, jakkolwiek na innych uczelniach slawistyka była wcale dobrze postawiona, nie mówiąc o tym, że w Harvard prowadzi się poważne studia nad posz­czególnymi zagadnieniami z zakresu slawistyki. Zmarły już historyk prof. Lord, autor bardzo dobrego dzieła o drugim rozbiorze Polski, położył wiel­kie zasługi nad skompletowaniem księgozbioru historycznego (polskiego I o Polsce). Brakło jednak wydziału w pełnym tego słowa znaczeniu. Gdy prof. Cross zmarł zwrócono się do prof. Karpowicza z propozycją objęcia wydziału.

W kancelarii wydziału slawistycznego wisi wielki portret Adama Mic­kiewicza. To rodzaj plakatu na otwarcie wystawy mickiewiczowskiej w Houghton Library. Profesor Karpowicz wstrzemięźliwie i dyskretnie od­słania kulisy swojej pamiętnej decyzji.

*— Wielki to zaszczyt stanąć na czele jakiegoś wydziału* u> *Harvard, ale nie chcialem iść w ślady swojego czcigodnego poprzednika, to znaczy nie chcialem być jednoosobowym Wydziałem. Kiedy otrzymałem propozycję i gdy Wskazano mi, że jestem najodpowiedniejszą osobą, zarówno ze Wzglę­du na swoje pochodzenie, jak i długoletni pobyt w Harvard, zastrzegłem sobie prawo namysłu. Następnie zakomunikowałem władzom uniwersytec­kim, iż przyjmę Wydział pod warunkiem zabezpieczenia środków na jego rozbudowę. Oświadczyłem, że jeśli zatwierdzą odpowiednie projekty wów­czas podejmę się zadania stworzenia godnego tej uczelni wydziału slawis­tycznego. Władze uniwersyteckie przyjęły bez zastrzeżeń moje warunki i tak w*1948 *roku znalazłem się na czele wydziału. Nie porzuciłem jednak całko­wicie swojej katedry na wydziale historycznym, ograniczyłem tylko swoje za­jęcia. Pierwszą moją funkcją było zaangażowanie profesorów poszczególnych przedmiotów. Dziś, obok mnie, są następujący profesorowie: Jacobson, filolo­gia ogólna, ze szczególnym uwzględnieniem rosyjskiej; pani Pirkova-Jacob son, język i literatura czeska; Weintraub, język i literatura polska; CzyżeWskij, słowiańska filologia porównawcza, język rosyjski; Lunt, filologia; Lord, język i literatura jugosłowiańska; Poggioli, literatura rosyjska; Mc Lean, rosyjski- Do tego dochodzą lektorzy języków słowiańskich. Na wydziale na­szym nie mamy, niestety, katedry ukraińskiej, jakkolwiek mamy odpowied­niego profesora a mianowicie p. Czyżewskiego. Ten stan rzeczy nie jest Wynikiem złej woli z mej strony czy też administracji uniwersyteckiej, ale braku zainteresowania wśród studentów. w bieżącym roku mamy* 25 *stu­dentów,* 35 *słuchaczy po dyplomach na innych Wydziałach. Jednakże te cyfry nie dają pełnego obrazu działalności czy prac wydziału. Na lekcje języków słowiańskich, przede Wszystkim rosyjskiego, uczęszcza bowiem bar­dzo wielu studentów i dyplomatów z innych fakultetów.*

*Mamy w Harvard zupełnie swoisty wydział, tzW. Régional Studies. Powstał on w czasie wojny i miał doraźne cele przeszkolenia młodych ludzi do określonych zadań na terenach wyzwolonych. Studenci uczyli się języ­ków — czasami wybierali jeden — historii, geografii, ekonomii itp. Sło­wem otrzymywali dość rozległe, jakkolwiek powierzchowne, wykształcenie, specjalizując się w jednym państwie. Régional Studies utrzymano, ale oczy­wiście zreorganizowano je. w grupie państw słowiańskich Wykładają nasi profesorowie.*

*Natomiast znany na całym świecie Russian Research Centre nie jest komórką uniwersytecką. Jest to instytut badawczy, którego prace finansowane są przez Fundację Carnegie. Wchodząc w skład rady Research Centre nie biorę jednakże udziału w bezpośrednich, aktualnych pracach tego ośrodkaNiemniej jednak mamy stały kontakt-*

Prof. Karpowicz patrzy optymistycznie na rozwój wydziału. Uważa, że największe trudności zostały przezwyciężone.

*— Muszę być optymistą. Obejmowałem wydział jednoosobowy I w prze­ciągu siedmiu lat mamy ośmiu znakomitych profesorów, wybitnych specja­listów. Liczba studentów stale wzrasta. Ciągle co prawda największe zain­teresowanie budzi rusycystyka, ale jestem przekonany, że i to się niebawem zmieni.*

POTOMEK POWSTAŃCA z 1831 ROKU

— Jak się Pan dostał do Stanów, panie profesorze? — pytam. Pro­fesor Karpowicz śmieje się:

*— Muszę pana wyprowadzić z błędu. Wcale nie jestem emigrantem rosyjskim. Nieomal silą zmuszono mnie do Wyjazdu z Rosji. a tak, niech się pan nie dziwi! Lecz zanim do tego dojdziemy zdradzę panu również,.tajemnicę” swego pochodzenia. Naturalnie każdy wie, że jestem Rosja­ninem. i tak jest w istocie, gdy chodzi o samopoczucie i najbliższą przesz­łość. Dalsza natomiast, podobnie jak fakty i legendy rodzinne, przedstawiają się nieco odmiennie. Mój dziad był Polakiem i katolikiem. w rodzinie opo­wiadano, że jako młodzieniaszek szkolny brał udział w powstania w*1831 *roku. Zapewne nie był wybitnym żołnierzem i zbytnio nie naraził się admi­nistracji carskiej, gdyż zamiast na Sybir wyjechał z Wileńszczyzny do Ty fli­su. Tutaj skończył wydział medyczny, następnie osiadł na stale. Ożenił się z Gruzinką, ale katoliczką z domu Tumanów. Mój ojciec byl inżynierem, również mieszkał w Ty flisie, gdzie i ja się urodziłem, i ożenił się z Rosjan­ką- Mówił jednakże dobrze po polsku i języka tego używał zawsze w roz­mowach ze swoją rodziną. Otrzaskałem się Więc słuchowo z językiem pol­skim od dzieciństwa. Mogę dziś swobodnie czytać po polsku, ale trudno mi jest rozmawiać. Jeśli Więc pan chce można mnie uważać za wnuka powstańca polskiego z*1831 roku. *Więcej takich polskich potomków znaj­dzie się wśród Rosjan.*

*Wróćmy jednak do mojego przymusowego Wyjazdu z Rosji.* z *Wybu­chem pierwszej wojny światowej powołany zostałem do służby wojskowej. Przydzielono mnie do ministerstwa spraw Wojskowych w Petersburgu. Tam spotkałem w marcu* 1917 *roku, na ulicy, swojego ziomka z l yflisu, przy­jaciela rodziny, ministra BachmietjeWa. Powiedział mi, iż został mianowa­ny przez nowy rząd posłem pełnomocnym w Waszyngtonie. Zapowiedział, że zamierza zabrać mnie ze sobą. z miejsca odmówiłem. Byłem pijany noWą rzeczywistością w Rosji i uważałem, że jest znacznie ciekawiej na miejscu, aniżeli gdziekolwiek na świecie. Zamierzałem być czynnym uczestnikiem Wykluwania się rosyjskiego systemu demokratycznego. BachmietjeW jednak nie przejął się moją odmową. Po pewnym czasie powiadomił mnie, że poczynił urzędowe kroki celem mianowania mnie członkiem swojego posel­stwa. Broniłem się bardzo energicznie, Wreszcie uległem, gdy zapewnił mnie, że uważa swoją misję za przejściową. Zamierza jedynie załatwić po­życzkę amerykańską a następnie powrócić do Petersburga. Wskazywał, że musi mieć w swoim gronie bliskiego człowieka, na którym może bezwzględ­nie polegać. Zostałem Więc czymś w rodzaju jego sekretarza I w lipcu opuściliśmy Rosję. Jak pan widzi misje przejściowe mają to do siebie, że trwają nieskończenie długo. z BachmietjeWem urzędowaliśmy do* 1922 *ro­ku i to na wyraźne życzenie władz amerykańskich. Kiedy Wreszcie zakoń­czył się żywot naszego poselstwa, wziąłem się do tłumaczeń, powróciłem do pracy naukowej. w*1927 *roku zostałem powołany na profesora historii i lite­ratury rosyjskiej w Harvard. Nie znalazłem się więc w Stanach w charak­terze emigranta, przybyłem przypadkowo jako członek misji dyplomatycznej i pozostałem. Naturalnie nie żałuję.*

DOROBEK PROF. KAPROWICZA

Prof. Karpowicz wychował już poważne grono rusycystów. Około 30 jego uczniów jest wykładowcami na różnych wyższych uczelniach w Sta­nach, kilku mą katedry w Harvard. Jest on autorem podstawowego pod­ręcznika historii rosyjskiej pt. „Imperial Russia”, który ukazał się w 1932 roku. w dziele zbiorowym „Economie History of Europe sińce 1750” prof. Karpowicz jest autorem rozdziału „Russia”. Jest redaktorem czasopisma ro­syjskiego „Nowyj Żurnał”, współpracuje z czasopismem „Russian Review”, gdzie stale publikuje artykuły. w przygotowaniu do druku są trzy wielkie dzieła: 1) *History of Russia, 2) Intelectual History of Modern Russia,* 3) cztery tomy nowoczesnej historii Rosji od Aleksandra I-go w 10-tomowym zbiorowym dziele pod redakcją prof. Wernadskiego z uniwersytetu Yale.

Prof. Karpowicz jest bardzo wysokiego zdania o amerykańskich rusy­cystach. Śmieszne i naiwne — mówi prof. Karpowicz — jest podejście już nie tylko emigrantów, ale w ogóle Europejczyków. Wyobrażają sobie, że my, tutaj, w Stanach, nie potrafimy wychować specjalistów, że trzeba ko­niecznie należeć do danej grupy narodowej, by orientować się w jego pro­blemach. Proszę mi wierzyć, że uczyniono wiele, bardzo wiele, na uczel­niach amerykańskich celem wyszkolenia odpowiedniego narybku i naukowe­go i dla służby publicznej. Śmiało twierdzę, że wielu Amerykanów zna lepiej poszczególne zagadnienia sowieckie, aniżeli niejeden z emigrantów. Trochę więcej skromności i obiektywności na pewno nie zaszkodzi. Mógł­bym wymienić szereg nazwisk, które stanowiłyby chlubę każdego uniwersy­tetu europejskiego. Bynajmniej nie mam na myśli wyłącznie wychowanków Harvard University, jakkolwiek ci nie zajmują najpośledniejszego miejsca.

Mamy wielu doskonałych badaczy wyszkolonych w Europie, mamy Euro­pejczyków, którzy wyszkolili się na uniwersytetach amerykańskich, mamy wreszcie rdzennych Amerykanów, którzy świetnie wgryźli się w zagadnie­nia europejskie, naturalnie mówię głównie o specjalistach z zakresu naro­dów słowiańskich.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Wspomnieliśmy wyżej o bogatej bibliotece uniwersyteckiej. Jak wy­gląda slawistyczny dział? Odpowiedź ścisła jest trudna, gdyż niektóre dzieła księgowane są w innych działach. w przybliżeniu slawistyka liczy około 80.000 tomów, z tym że najlepiej przedstawia się dział historyczny. Polo­nistyka reprezentowana jest przez około 8.000 tomów, obok zbiorów czaso­pism. Według ogólno-amerykańskiego planu bibliotecznego Harvard ma stać się ośrodkiem zbioru polskiego, jak Library of Congress w Waszyngtonie ro­syjskiego. Istnieje więc nadzieja, że księgozbiór polski będzie systematycz­nie uzupełniany. Dla sowietologów największym rarytasem biblioteki Har­vard jest tzw. archiwum Trockiego obejmujące zbiór jego rękopisów, listów, materiałów, notatek itp.

Wystawa mickiewiczowska w Houghton Library wykazała, że Harvard posiada wcale piękne okazy. Wystawa została zorganizowana przez dyrek­tora biblioteki Jacksona i prof. Wiktora Weintrauba. Składa się z 45 dru­ków oraz z oryginalnych listów Adama Mickiewicza do amerykańskiej przy­jaciółki Margaret Fuller. Wszystkie listy pisane są w języku francuskim i obejmującą okres od 18. 2. 1847 do 9. 9. 1949 roku. w gablotkach znaj­dujemy pierwsze wydania większości dzieł Mickiewicza; pierwsze wyda­nia tłumaczeń na obce języki, prace o Mickiewiczu w obcych językach, ze szczególnym uwzględnieniem amerykańskich i angielskich. w tej gablotce prac w języku angielskim zajmuje widoczne miejsce dzieło prof. Wein­trauba „The Poetry of Adam Mickiewicz”. Przekład angielski „Dziadów” (doskonały zresztą, jak mnie informowano) dokonany został przez Potockie­go of Montalk. Prawo przekładu (copyright) zastrzeżone przez (cytuję): His Majesty Władysław the Fifth King of Poland and Hungary (Count Po­tocki of Montalk). Wystawa mickiewiczowska robi bardzo dobre wrażenie. Prasa miejscowa zamieściła wysoce pochlebne wzmianki.

Prof. Weintraub może pochwalić się już dwoma doktorantami, obaj rdzenni Amerykanie. Harold Siegell napisał pracę o „Komedii rybałtowskiej” i dostał katedrę na jednym z uniwersytetów na Florydzie. Edvard M. Foley doktoryzował się pracą o listach Słowackiego jako dziele sztuki. Trzecim doktorantem będzie Amerykanin pochodzenia polskiego p. B. Je­zierski.

Doktorat w Harvard (nie na slawistyce), uzyskał przed kilku laty p. Kamil Dziewanowski, wykładający obecnie historię w Boston University College. Na wydziale nauk politycznych w Harvard wykładają dr Adam Ułam, który kończył studia uniwersyteckie w Stanach, podobnie jak dr Zbigniew Brzeziński, syn byłego konsula R.P. w Montrealu. Obaj mają opinię bardzo zdolnych uczonych, którym rokuje się wielkie kariery nauko­we. Brzeziński przeprowadził źródłową analizę wychowania politycznego w sowieckich siłach zbrojnych a w druku jest jego praca o „czystkach” bolszewickich. Ułam jest autorem pracy o brytyjskiej Labour Party oraz „Titoism and the Cominform”, która ukazała się w ramach Russian Research Centre. Praca dr. Dziewanowskiego o historii Partu Komunistycz­nej Polski ma się niebawem ukazać w druku. w serii prac Russian Research Centre ukazało się dzieło „The Formation of the Soviet Union” Richarda Pipesa, pochodzącego z Warszawy. Nie mam wątpliwości, że poszukiwania w archiwach i rejestrach do­starczyłoby interesujących „poloników”, pozwoliłoby na ustalenie listy daw­nych studentów-Polaków tej uczelni, być może znaleźliby się jacyś zagu­bieni czy zapomniani profesorowie. Mnóstwo ciekawostek czai yę w biblio­tece. Jest prawie kompletny zbiór wydawnictw „naukowo-politycznych” nie­mieckich władz okupacyjnych odnośnie Śląska i Ziem Zachodnich. w dzia­le rosyjskim znajdują się dwie książki Stanisława Mackiewicza a miano­wicie monografia o Dostojewskim, jeden egzemplarz w języku angielskim, drugi w niemieckim.

*B. HEYDENKORN*

“ Kultura” dla plastyków

Polskie społeczeństwo emigracyjne potrafiło, w miarę swoich możliwości, dać wyraz pewnej materialnej trosce o swoje piś­miennictwo. Świadczą o tym wydawnictwa, pisma i nagrody — jakkolwiek skromne i rozdrobnione.

Inaczej się przedstawia sytuacja sztuk plastycznych na emi­gracji. Jest to poniekąd zrozumiałe, gdyż, jeśli pisarz polski pisze niemal wyłącznie dla swoich rodaków — polski malarz czy rzeźbiarz ma odbiorcę również w kraju, w którym mieszka.

„Kultura" chciałaby jednak zacieśnić związek pomiędzy pol­skimi artystami i społeczeństwem emigracyjnym. w tym celu opracowujemy plan subskrypcji na drzeworyty, miedzioryty, lito­grafie, który ogłosimy w najbliższych miesiącach.

Podajemy dziś do wiadomości inną, skromniejszą inicjatywę: postanowiliśmy zapoczątkować kolekcję obrazów i rzeźb polskich artystów na uchodźtwie, przeznaczając na zakup jednego obrazu (lub rzeźby) rocznie sumę 70.000 franków (£70, S200). Miejmy nadzieję, że czytejnicy-mecenasi pozwolą nam tę inicja­tywę bardziej rozbudować.

Ponieważ emigracja nasza rozproszona jest po całym świe­cie, widzimy następującą formę realizacji tego projektu. Propo­nujemy mianowicie polskim malarzom i rzeźbiarzom aby przy­słali nam do wyboru, przed 1. IX. 1956, fotografie trzech obra­zów czy trzech rzeźb (podając rozmiary i fakturę), które skłonni byliby nam sprzedać za wyżej wymienioną sumę. Po przeprowa­dzeniu wstępnej selekcji Redakcja poprosi swoich specjalnie wy­znaczonych przedstawicieli w różnych krajach o obejrzenie da­nego dzieła i ogłosi swą decyzję przed 1. XII. 1956. „Kultura" będzie zamieszczać reprodukcje zakupionych dzieł w jednym z pierwszych numerów następnego roku wraz z artykułem o twórczości artysty.

Kraj

Jedzmy, nikt nie woła...

*Ani na ogłoszony w listopadowym numerze „Kultury” list otwarty do 48-miu, którzy podpisali wezwanie emigrantów do powrotu, ani na wysłane do nich za pośrednictwem „Tygodnika Powszechnego” listy indywidualne nie otrzymaliśmy dotąd żad­nej odpowiedzi. w listach tych zapraszaliśmy 48-miu na trzy­dniowy pobyt do Maisons-Laffitte, proponując spotkanie na po­łowę marca.*

*Listy wraz z tekstem naszej odezwy wysłaliśmy* 4. X. 1955 *listem poleconym za pokwitowaniem zwrotnym, prosząc Redak­cję „Tygodnika Powszechnego”, który uprzednio ogłosił apel Ą8-miu, o przekazanie ich adresatom. Potwierdzenia odbioru do­tąd nie otrzymaliśmy.*

*W ciągu ostatnich miesięcy „Kultura” cytowana była często przez prasę krajową. Zwłaszcza ankieta nasza o przemia­nach w Polsce była przedmiotem żywej dyskusji. Cytaty z „Kzdtury” pojawiały się też nieraz w audycjach rozgłośni „Kraj”. Tylko nasze zaproszenie 48-miu, wnoszące przecież pewną nową nutę do stosunków emigracji z krajem, zostało pominięte całko­witym milczeniem.*

*Milczenie to stanowi kontrast z rozgłosem, jakiego zapro­szenie 48-miu doczekało się w prasie zagranicznej. Omówiło je kilka pism, jak „Le Monde”, „Preuves”, „The Christian Science Monitor” i parę pism niemieckich. Kilka radiostacji (z wyjątkiem Voice of America i Free Europe} podało je do wiado­mości w swych programach polskich, a radio francziskie omówiło je nawet w programie narodowym i dziennikach radiowych w róż­nych językach. o echach zaproszenia w prasie emigracyjnej mó­wiliśmy obszerniej w numerze poprzednim.*

*Bywają milczenia wymowne. z milczenia 48-miu wynika jasno, że nie będą mogli przyjechać. Żałujemy tego szczerze i chciełibyśmy wierzyć, że z naszymi niedoszłymi gośćmi nie żegnamy się na zawsze. Ponieważ korespondencja z nimi natra­fia na nieprzezwyciężone przeszkody, korzystamy z tej drogi dla zapewnienia ich, że będziemy o nich często myśleli.*

*Jakkolwiek dotychczasowe stosunki w kraju nie dawały po­wodu do optymizmu, musimy przyznać, że nie spodziewaliśmy*  *się takiego wyniku naszego zaproszenia. Rząd upoważnił był 48-miu* *szanowanych obywateli do zwrócenia się do emigrantów w sprawie tak pełnej drażliwości i niedomówień jak powrót do kraju. Rozmowa z emigrantami zdawała się leżeć w samej na­turze takiego mandatu. z milczenia 48-miu wynika więc, że pierwotne upoważnienia ich zostały cofnięte lub okrojone tak, że nie starczyło ich nawet na udzielenie nam odmownej odpo­wiedzi. Grupa 48-miu przestała więc praktycznie istnieć; wolno przypuszczać, że zapowiada to zarazem koniec zapoczątkowanej przez ich odezwę kampanii powrotowej.*

*Manewr obliczony na sukces stał się dla reżymu źródłem zakłopotania. Można rozszerzyć margines wolności w Polsce na­wet nie zmieniając oblicza politycznego. Ale nie wolno wolności „udawać”, gdyż póki istnieje polska emigracja a więc partner swobodny w dyskusji, choćby potencjalnej — fałsz ten zawsze wyjdzie na jaw.*

*REDAKCJA*

W momencie gdy numer był na maszynach przyszła wreszcie, po trzech miesiącach, odpowiedź w postaci audycji p. Zb. Florczaka w radio „Kraj”, proponująca spotkanie ale... w Warszawie. Zażenowana proza p. Florczaka i fakt że z „48-miu” on jeden tylko podjął się takiej odpowiedzi — po­twierdza naszą ocenę.

P. H.: Z kraju milczenia

ODEZWA 62-ch

W chwili łamania numeru otrzymaliśmy tekst nowego wezwania do emigrantów, nadanego przez rozgłośnię „Kraj” i noszącego podpisy 62 osób stojących w większości z dala od życia politycznego. Na miejsce 48-miu pojawiła się nowa grupa osób, z których 33 podpisały wezwanie z 31 lipca, 29 zaś prze­mawia po raz pierwszy do emigrantów. Nowe wezwanie do po­wrotu, różniące się znacznie od pierwszego, przynosi też pewną uboczną odpowiedź na zaproszenie skierowane przez redakcję „Kultury” do 48-miu. Przytaczamy tu jego główne ustępy:

Na tle międzynarodowego odprężenia, pod wpływem apelu, który pod jej adresem skierował kraj,... wśród emigracji zaczęły się dokonywać po­ważne procesy myślowe. z różnych kół rozległy się trzeźwiejsze głosy, domagające się zrewidowania dotychczasowego stanowiska i zerwania z za­cietrzewieniem w stosunku do Polski Ludowej... w wyniku tych procesów wzrosły na emigracji nastroje za repatriacją. Zwiększyła się liczba uchodź­ców powracających ze wszystkich krajów.

Z słów tych widać, że autorzy odezwy nie są dobrze po­informowani o nastrojach emigracji, czemu trudno się dziwić wobec ich braku kontaktu z emigrantami. w dalszym ciągu odezwa donosi o terrorze, stosowanym przez emigrantów wro­gich repatriacji i przez policję krajów zachodnich, do osób ujawniających zamiar powrotu do kraju. Autorzy odezwy dodają tu:

Aczkolwiek bowiem większość rządów sprzyja naszej akcji repatria­cyjnej, to jednak metody zastraszania spotkały się tu i ówdzie z poparciem czynników obcych, co wpływa hamująco na decyzję powrotu niektórych emigrantów.

I tu również autorzy odezwy zdają się być źle poinformo­wani., Od repatriacji odstrasza przede wszystkim fakt, że do kraju łatwo jest wrócić, lecz trudniej zeń potem wyjechać. Przy­toczone na ostatnim miejscu zdanie posiada być może pewien głębszy sens, do którego później wrócimy.

Otrzymujemy wiele listownych zapytań i wiele spotykamy notatek w prasie emigracyjnej na temat przebaczenia win powracającym. To proste i jasne sformułowanie usiłują niektórzy tłumaczyć w ten sposób, że każdy emigrant uważany jest widocznie w kraju za winowajcę skoro trzeba mu wy­baczać. a przecież jest oczywiste, że przebaczenie dotyczy jedynie tych, którzy są w kolizji z prawem.

Prawdziwie sybillińskie wyjaśnienie! Przypuszczać można, że samych autorów odezwy ogarnęło zdumienie, gdy słowa te, zaopatrzone ich podpisem, ujrzeli na papierze.

Są i tacy, którzy czują, że nie zdołają już długo płynąć przeciwko fali powrotnej, więc odwlekają decyzję, zasłaniając się rzekomą niejasnością sytuacji. Są i tacy, którzy chcieliby przed powrotem przedyskutować i wy­jaśnić sobie różne nawarstwione w ciągu lat wątpliwości. Takie bezpośred­nie rozmowy z rodakami z zagranicy uważamy za możliwe i celowe. Właści­wym jednak miejscem takiej szczerej rozmowy między Polakami jest Polska... Musimy jednak oddać sprawiedliwość naszym rodakom na emi­gracji i stwierdzić, że ogromna ich większość nie odczuwa już dzisiaj potrzeby prowadzenia przewlekłych dyskusji...

W tych ostatnich zdaniach można wiedzieć pośrednią odpo­wiedź na zaproszenie skierowane przez nas do 48-miu.

Z listów tych, którzy wrócili wcześniej, wiecie już, że powracający przyjmowani są przez społeczeństwo i władze jak najżyczliwiej. Nie dajcie się sprowadzić na manowce ludziom, którym ślepa nienawiść do Polski ludo­wej odebrała wszelką trzeźwość oceny i sądu. Straciliście już przez nich dziesięć długich lat powojennych. a teraz chcą was nakłonić do dalszego beznadziejnego życia poza krajem... Wasza ojczyzna — Polska — jest dla was otwarta... Wracajcie więc jak najrychlej!

*NIEDOLE CZYNNIKA SPOŁECZNEGO*

Widać od razu, że nowa odezwa do emigrantów jest dzie­łem innego pióra niż odezwa 48-miu. Stylizacja jej jest niewyso­kiej próby; w bezceremonialnym upraszczaniu faktów ma w so­ bie coś z języka używanego na jarmarku dla zachwalenia ochwa­conego konia. Autorzy odezwy zlikwidowali już emigrację (jak­kolwiek z Zachodu jednostki tylko wróciły i raczej nie najcie­kawsze) i, zadowoleni z siebie, mówią z protekcjonalnym lekce­ważeniem o ociągających się jeszcze z wyjazdem.

Taka pewność siebie i mówienie z góry na dół dziwić muszą w ustach osób, których własna pozycja jest bardzo słaba i któ­rych samo nawet upoważnienie do zabierania głosu — jak widać z doświadczeń 48-miu — jest niepewne i ograniczone. Ton taki budzić musi podejrzenie, że podpisani nie są być może wcale autorami odezwy.

Podejrzenie to wzmacniają jeszcze cytowane już wyżej sło­wa: *„Aczkolwiek bowiem większość rządów sprzyja naszej akcji repatriacyjnej...”* Słowa te zwracają na siebie od razu uwagę emigranta. Skąd też autorzy odezwy o tym sprzyjaniu rządów wiedzą i co właściwie mają na myśli? Od dawna wiadomo, że Kreml i rządy demokracji ludowych, w celu zwiększenia sku­teczności swej propagandy powrotowej, szukają sposobu osła­bienia sytuacji emigrantów w krajach udzielających im azylu i dążą do rewizji statutu emigrantów na Zachodzie. Dyplomaci sondują na ten temat rządy, mniejsi agenci próbują różnych ciemnych praktyk, na które zwracano już uwagę w „Kulturze”. z przytoczonych wyżej słów odezwy można by wnosić, że autorzy jej są poinformowani o tych zabiegach i notują z zadowoleniem ich wyniki. Czyżby i oni chcieli się w takie rzeczy bawić? Trud­no temu uwierzyć. Wypada raczej przypuszczać, że nic o tym wszystkim nie słyszeli — „Kultury” im czytać pewnie nie wol­no — iw całkowitej niewinności nie dostrzegli nawet sensu pod­pisanej przez siebie odezwy.

Jeżeli zdanie obwieszczające, że właściwym miejscem na rozmowy z rodakami z zagranicy jest Polska, przeznaczone jest dla redakcji „Kultury”, jest to klasyczna niemal odpowiedź „z pozycji siły”. Do lekceważącego stylu dołącza się tu też właściwa mu niejasność spadających z pogardliwie wydętych ust słów. Czy sens tej odpowiedzi jest: naprzód repatriacja, potem rozmowa? Takie postawienie sprawy, przypominające formuł­kę: „naprzód pacyfikacja, potem reformy”, zaprzeczałoby moż­liwości wszelkich w ogóle rozmów między obywatelami „Rzplitej ludowej” i emigracją. Czy też należy widzieć w niej jakieś nie­jasne zaproszenie redakcji „Kultury” na rozmowy do kraju? Ta ewentualność prowadziłaby znowuż do zamiany jednego z rozmówców. Pragnęlibyśmy rozmawiać z 48-miu jako czyn­nikiem społecznym, przyjazd zaś redakcji „Kultury” na jakichś uprzywilejowanych warunkach — poza „akcją repatriacyjną” — do kraju wymagałby uprzedniego traktowania z rządem, który nie bez racji mógłby zapytać, co mu „Kultura” wzamian za te przywileje ofiaruje. Zamiast 48-ciu, rozmawialibyśmy więc z prześwietnym rządem. Perspektywy mało obiecujące. Najklasyczniejszym wzorem takich rozmów jest rozmowa aresztowanego z przesłuchującym go urzędnikiem policji. Do takich roz­mów nikt się z własnej woli nie śpieszy.

Nie chcemy wdawać się z 62-ma w dyskusje. Nie mieliby­śmy racji bombardując ich argumentami, na które — jak uczy doświadczenie 48-miu — nie mogą odpowiedzieć. Zresztą i sami autorzy odezwy do tego wcale nie zachęcają. Wystąpienie ich wyjaśniło w znacznej mierze sytuację. Wynika zeń, że wraz z za­kończeniem okresu odprężenia skończyła się także rola czynnika społecznego, zrodzonego z lipcowej euforii w postaci grupy 48-miu. Resztki tej ostatniej zostały wcielone do nowej grupy 62-ch, nie korzystającej już z tych samych luzów i powtarzającej tylko *verba magistri..*

Kto pamięta lipcową odezwę 48-miu, tego potykające się i depczące grządki kroki 62-ch muszą wprawić w pewne zdu­mienie.

Bo i co pan, panie Edziu, wyrabiasz? Ależ z pana, panie Kaziu, niezgrabiasz.

Taka zmiana obyczaju i stylu nie mogła obyć się bez jakie­goś grubszego przywołania czynnika społecznego do porządku i odesłania go z powrotem do szeregu.

Widok tylu, przeważnie starszych i szanowanych obywateli, oprowadzanych na tak krótkiej smyczy byłby tragiczny, gdybyśmy brali pod uwagę jedynie rangę, jaką każdy z nich posiada w swoim zakresie jako profesor, artysta czy pisarz. Zacho­wajmy jednak poczucie proporcji. Wielu z nich posiada auto­rytet w jakiejś dziedzinie myśli. Żaden natomiast nie zasłynął umiejętnością zręcznego manewrowania wśród nie znoszących sprzeciwu władz, ani znajomością spraw emigracyjnych. Na tym obcym terenie są bezradni, potykają się lub drepczą na miejscu. Odwróćmy oczy i nie wyciągajmy stąd żadnych wnios­ków. Niezręczność w tańcu — jakkolwiek nie należy w tym prze­sadzać — nie przynosi ujmy lekarzom czy archeologom. Dlatego nie bierzemy tragicznie potknięć się i niezręczności 62-ch, w przypuszczeniu, że i oni sami nie biorą tego zbytnio do serca.

*P. H.*

Numer imprezy 1950

Kiedy podczas mego ostatniego pobytu w Polsce (parę mie­sięcy temu) schodziłem w hotelu na śniadanie czy kolację, cze­kał na mnie dwuosobowy stolik z radosną chorągiewką o bry­tyjskich barwach narodowych. Kelner, często przedwojennego stylu, zwracał się do mnie z zapytaniem:

— Pan delegacja brytyjska? — Tak.

— a numer imprezy, proszę pana?

— Impreza 1950, odpowiadałem.

Nie należałem do mniej uprzywilejowanych „gości krajo­wych”, ograniczonych przepisami wywieszonymi w każdym hallu hotelowym. Podobnie jak księżycowo uśmiechnięte zespoły Chińczyków i Koreańczyków, podobnie jak festiwalowa grupa brazylijskich Murzynów, byłem numerowanym „inturystą”, „imprezą” w ramach odprężenia.

Byłem gościem „Paxu”. w Polsce często słyszy się zdania o „zagranicznikach”, na których trzeba zrobić dobre wrażenie. Do „zagranicznika” stosunek jest złożony. z jednej strony cho­dzi o pozyskanie opinii Zachodu na rzecz „ducha Genewy”. o przekonanie gościa, zależnie od jego politycznego zabarwienia, bądź źe przebywa w kraju w którym buduje się radosny socja­lizm, bądź że warunki są całkiem podobne do warunków na Zachodzie. To część „oficjalna”, wynik instrukcji rządowych, przekazujących nowy plan „ofensywy pokojowej” Kremla, ma­jącej na celu uśpienie Zachodu, rozbicie jego jedności. z drugiej strony samo społeczeństwo polskie na pewno liczy na „odprę­żenie” jako na możliwy środek wytworzenia bardziej znośnych warunków życia. Konferencja genewska była na pewno ciosem dla społeczeństwa polskiego, które mimo wszystko, bezwiednie liczyło w ciągu dziesięciu lat na „wyzwolenie”, nie zdając sobie zresztą jasno sprawy czy miała je przynieść wojna czy negocja­cja z pozycji siły. Nadziejom tym konferencja genewska położyła kres — przynajmniej w perspektywie najbliższych lat. Nic dziw­nego zatem że Polacy chcieliby przynajmniej wyciągnąć jak naj­więcej korzyści z nowych możliwości kontaktu z zachodem, licząc na to, że „odprężenie” międzynarodowe wzmaga szanse wewnętrznej „odwilży”.

Jeśli o mnie chodzi, byłem w sytuacji nieco odmiennej od zwykłego cudzoziemca, przybywającego z Zachodu. Moja zna­jomość języka polskiego, moja długoletnia służba w polskim wojsku, sprawiały, że moje odruchy były zapewne zbliżone do tych, jakie miałby cały szereg moich polskich przyjaciół z emi­gracji gdyby się razem ze mną w Polsce znaleźli. Przy tym często spotykałem dawnych kolegów i przyjaciół z I-ej Dywizji Pan­cernej, lub bliskich krewnych ludzi, których widuję niemal co­dziennie w Londynie'czy w Paryżu.

Mych przyjaciół na emigracji i mych przyjaciół w Polsce o tej samej duchowej i intelektualnej formacji dzieli piętnaście lat historii w swej najbardziej jaskrawej i dramatycznej formie. Polak w Londynie — jakiekolwiek by były jego indywidualne formy ewentualnego zakłamania — nadal rozumuje kategoriami prawa, sprawiedliwości i tysiącletnich koncepcji cywilizacyjnych. Koncepcje te nie zostały wśród Polaków w kraju całkowicie zniszczone, ale są silnie naderwane. Powoduje to często rozdwo­jenie psychiczne a nawet zamęt przejawiające się w różnorodnej formie. i tak spotykam wierzących katolików, gorliwie wertu­jących Św. Augustyna i starających się wychować dzieci w „światopoglądzie chrześcijańskim”, którzy jednocześnie do­stosowują swój światopogląd do całej ekwilibrystyki intelektual­nej marksistów i nieraz do brzemiennego w skutki „realizmu” w działaniu. Spotykam też ludzi którzy więcej stracili lub mniej zyskali na nowym reżymie tak jak mój dawny przyjaciel, kiedyś zamożny ziemianin, dziś gnieżdżący się z całą rodziną w jednej izdebce, który poważnie i szczerze oświadcza mi że „jedyną dro­gą dla ludzkości jest droga do socjalizmu”. Wydaje mi się jednak, że tego rodzaju opinia jest wyjątkowa. Ze szczerych rozmów, które udało mi się przeprowadzić z ludźmi stojącymi poza aparatem komunistycznym, czy aparatem „Paxu” wnios­kuję, że ogromna większość narodu patrzy na „nową rzeczy­wistość” z nienawiścią, pogardą i podejrzliwością. Nie znaczy to jednak, że społeczeństwo polskie w całości odrzuca politykę rządu komunistycznego. w kilku ważnych punktach całość pol­skiego społeczeństwa aprobuje politykę reżymu. Najważniejszy­mi z nich są: granice zachodnie, odbudowa Warszawy, uprze­mysłowienie kraju. Jeśli w innych dziedzinach Polacy mówią o rządzie „oni”, w tych dziedzinach funkcjonuje pojęcie „my”. Władze ludowe doskonale zresztą umieją wykorzystać tę sytua­cję. Na każdym kroku, czy to w prasie, czy w przemówieniach, czy w literaturze istnieje dążność do wzmocnienia tego nieokre­ślonego poczucia solidarności społeczeństwa z rządem. Dlatego argumentacja wiecowa jest częściej nacjonalistyczna niż komu­nistyczna. Dlatego „typem” Polaka, zręcznie podsuwanym przez reżym i jego wykonawców nie jest wcale, jak można by przy­puszczać, stary komunistyczny bojowiec, czy też młody zetempowiec, ale dość mętna, „szlachetna”, oczywiście „bezpartyjna” postać Polaka, zasadniczo „postępowego”, który cieszy się i Wro­cławiem i Warszawą i Nową Hutą i ma co drugie słowo na ustach „nasze dokonania”, „nasze osiągnięcia” „naszą młodzież”, aż wreszcie, w potoku tych „naszości” wymknie mu się także „nasz rząd”. Nie znam Polski przedwojennej, ale wydaje mi się że pod tym względem psychologiczne metody są dość podobne do czasów „radosnej twórczości”. *Toutes proportions gardées,* cieszono się naszym' COPem, naszą Gdynią, starano się nie my­śleć o Berezie i pacyfikacji Ukrainy, a zwłaszcza nie mówić o nich na zewnątrz, bo „zły to ptak co własne gniazdo kala”. Na emigracji popełnia się często kardynalny błąd przypuszcza­jąc, że Polacy wcale nic uważają dzisiejszego państwa polskiego za „swoje gniazdo”. Otóż tak nie jest i trzeba powiedzieć że granice pomiędzy służbą społeczeństwa a kolaboracją z rządem agentów sowieckich są w Polsce bardzo trudne do określenia. Oczywiście na jednym krańcu są agenci bezpieki — a są tacy i wśród pisarzy i wśród katolików I w każdej grupie społeczeń­stwa — na drugim zaś krańcu ludzie, którzy tkwią w milczącej i godnej opozycji do reżymu. Ale pomiędzy tymi skrajnymi po­ stawami trudno byłoby określić kto „kolaboruje”, a kto nie. Dlatego tak rozpowszechnione jest w Polsce nieokreślone poczu­cie winy, niesmak do swej własnej postawy, dyktowanej co praw­da koniecznościaini życiowymi, ale która jest sprzeczna z tkwią­cym w każdym niemal Polaku snem o bohaterstwie i honorze. Dlatego tak różnie komentowane są te wypadki, w których ktoś rzeczywiście przejawia odwagę i buntuje się przeciw codziennej przemocy. Miłosz, którego książki znane są wszystkim chyba polskim „intelektualistom” jest tu dobrym przykładem. Miłosz ma rację — twierdzą wszyscy. Ale — dlaczego „wybrał wol­ność” zagranicą, dlaczego nic przepłynął wpław przez jakąś zieloną granicę, pytają się z goryczą ludzie, którzy nic mogą Miłoszowi darować, że zdobył się on na decyzję na którą oni sami nie zdobyli się — i którzy zazdroszczą mu dzisiejszej jego wolności i mają mu za złe tak jasne sformułowanie ich własnego „zniewolenia”. Inny poeta polski napisze w kraju wiersz, który zadziwia odwagą? Jego koledzy literaci powiedzą, że on właśnie nic ma prawa tak występować, żc nie ma prawa do postawy „sędziego”.

Ogromna większość Polaków jest oczywiście antykomunis­tyczna. Spotykałem się nawet ze zdaniem, wypowiadanym nie­raz ze smutkiem przez polskich liberałów, że dziesięć lat komu­nistycznych rządów wytworzyło społeczeństwo bardziej „reak­cyjne” od społeczeństwa przedwojennego. Antysemityzm, chuli­gaństwo, apolityczna i aspołeczna postawa całej nowej warstwy społeczeństwa — wiejskiego proletariatu przekształcającego się w proletariat robotniczy — wszystko to należy do objawów, któ­re w społeczeństwie „demokratycznym” prowadzą zwykle do fa­szyzmu. „Obiektywne” warunki faszyzmu istnieją w dzisiejszej Polsce silniej może niż w Polsce przedwojennej. Ale na te obiek­tywne warunki narzucono terror biurokracji, posługującej się frazeologią marksistowską.

Żargon inteligencji i biurokracji jest wyraźnie ketmański. Żargon ludu jest po prostu pijacki. Bywają sceny wprost nie­wiarygodne. Sam widziałem grupę (może delegację?) w Bristo­lu o n-ej w nocy całkowicie pijaną. Obok siedziały delegacje włoskie, amerykańskie, belgijskie. Członkowie owej grupy pol­skiej, którzy z trudem utrzymywali się na krzesłach w ponury sposób symbolizowali polską rzeczywistość.

Dlaczego piszę o pijaństwie? Konsumowanie alkoholu win­no być drobnym nieważnym szczególikiem w życiu człowieka. Piszę o tym dlatego, że w Polsce alkoholizm urasta do uderzającego fenomenu. Wydaje mi się że to powszechne pijaństwo jest koszmarną odpowiedzią społeczeństwa na te nowe piętra ce­lowo budowane nad istniejącymi budynkami dla pomieszczenia aparatów zagłuszających głos Zachodu. Alkohol dla Polaków jest dziś jedyną drogą do chwilowej wspólnoty w zapomnieniu. Zapomnieć, nie czuć, nie myśleć — odciąć się od nienawistnej rzeczywistości. Co ludzie myślą o zachodnich radiostacjach?

Odnosi się wrażenie, że robotnicy i chłopi cieszą się całym sercem z brutalnego antykomunizmu Monachium i Madrytu. Na­tomiast przerażona inteligencja, która w Polsce Ludowej...„treuhandluje” — nienawidzi wszelkiej propagandy. Niena­widzi propagandy zarówno sowieckiej jak i amerykańskiej. Gdy­by BBC które niewątpliwie cieszy się pewnym powodzeniem na skutek obiektywizmu jaki reprezentuje — wykazało odwagę i wprowadziło w swych polskich programach choćby godzinę tygodniowo wolnej dyskusji — z całą pewnością przyciągnęłoby i tych, którzy się wahają.

Pismo, na którego łamach mam zaszczyt wyrazić moje „czarno-reakcyjne” myśli i spostrzeżenia — jest w Polsce ce­nione. „Kultura” z dużą siłą duchową i inteligencją stara się walczyć z zaślepionym „banderyzmem” komunistycznym, który eufemistycznie określa się mianem „budowy socjalizmu”.

Z pisarzy polskich przebywających poza Krajem — Czesław Miłosz i Juliusz Mieroszewski są najbardziej cenieni. To są lu­dzie, którzy grzebiąc się w niechlujstwie umieją się nie pokalać.

Ludzie w Kraju rozumieją rolę jaką odgrywają w wolnym świecie Polacy zagraniczni. Nie wykazują jednak żadnego za­interesowania dla politycznych emigracyjnych koterii, intryg i swarów. P. Hanke wypełnił swoje zadanie i dokonał pewnego zamieszania. Naród jednak patrzy już dziś obojętnie na podob­ne widowiska. w każdym Polaku głęboko zakorzeniona jest świadomość, że Polska nie zaczęła się wczoraj i że jutro się nie skończy. Skarb narodowy Polaków nie składa się tylko z arra­sów w Kanadzie, z Nowej Huty ale spoczywa w katedrach, ko­ściołach i kaplicach. Tam ludzie modlą się i spowiadają i szu­kają prawdziwego dobra, które w życiu zewnętrznym Polski „ludowej” nie istnieje.

Dla mnie duch Polski — katolicki i europejski — wyraża się w prostych a niezapomnianych słowach, które wypowiedział J.E. Kardynał Prymas Wyszyński ubowcom strzegącym jego więzienia: „Panowie, tu będę się dalej za was modlił”.

*Auberon HERBERT*

Naukowe cwaniactwo

Stan nauki psychologii w Polsce, w okresie zwanym z marksistowska..międzywojennym” przedstawiał się bardzo niezadowalająco, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że w ogóle stan psychologii w tym okresie wszędzie, z wyjątkiem może krajów anglosaskich, był bardzo niski.

Nie mieliśmy wtedy w żadnym z zakładów akademickich wydziału po­święconego psychologii. Nie można było naprawdę uprawiać naukowych ba­dań psychologicznych innych niż tylko w pewnych zakresach psychologii sto­sowanej (mianowicie pedagogicznej lub medycznej), nie było też naukowych stopni akademickich w psychologii. Trudno zaś uznać aby w jakiejkolwiek dziedzinie naukowej mogła istnieć i rozwijać się twórcza i odkrywcza dzia­łalność w zakresie nauki stosowanej jeżeli nie uprawia się równocześnie nauki czystej w tym samym zakresie.

Byli wprawdzie w naszych uniwersytetach profesorowie psychologii, ale ich katedry pozostawały w ramach innych wydziałów, przeważnie filozo­ficznych, lub pedagogicznych. Jeżeli więc nawet ktoś specjalizował się w psychologii, to i wtedy musiał się liczyć z tym, że jego praca czy roz­prawa będzie rozpatrywana i oceniana przede wszystkim jako praca *filozo­fa,* czy *pedagoga* (czasem lekarza).

Zagadnienie dlaczego tak było — nie tylko zresztą u nas, bo stosunki w wielu innych krajach europejskich były dość podobne — to sprawa zu­pełnie inna, nie należąca do tematu psychologii.

Nie jest zatem rzeczą trudną krytykowanie wyników prac naszych psy­chologów przedwojennych i wykazywanie ich niedociągnięć, głównie w za­kresie prawie zupełnej niemożności wyjścia poza „fotelową psychologię’, jak się to obecnie przyjęło nazywać na Zachodzie.

Toteż zadanie, jakie zostało podjęte przez czwórkę młodych psychologów-pedagogów w Polsce dzisiejszej — frontowy atak na grupę przedwo­jennych psychologów w rozprawie zatytułowanej „Analiza krytyczna poglą­dów na osobowość w polskiej psychologii okresu międzywojennego” (I) było przedsięwzięciem łatwym i tym prostszym, że krytycy nie mieli potrzeby formułowania i uzasadniania swej postawy światopoglądowej. Mają oni po­stawę filozoficzną swych opinii ściśle określoną, szczegółowo rozwiniętą i nie podlegającą dyskusji.

Przystępując do omówienia wspomnianej rozprawy byłoby, rzecz oczy­wista, bezcelowe polemizować z podstawą filozoficzną, na której stoją auto­rzy „Analizy”. Postawa materializmu dialektycznego jest jedyną dla nich możliwą. Jednak nawet akceptując tę postawę można w „Analizie” wytknąć parę ustrzelonych (grubszych) byków.

Mówiąc że się akceptuje tę postawę do dyskusji nie znaczy to bynaj­mniej, że się ją w ogóle popiera. Jednakże, jeżeli się nawet nie jest wy­znawcą czy to materializmu dialektycznego, czy też jakiejś innej postaci monizmu materialistycznego to należy uznać, że materializm dialektyczny może stanowić zadowalającą podstawę filozoficzną dla rozwinięcia wcale obszernych zakresów nauk empirycznych a więc i psychologii naukowej. To, że tak zbudowana nauka psychologii nie potrafi sięgnąć do *wszystkich* za­kresów zjawisk psychicznych — nie jest zasadniczą przeszkodą. w tych zakresach, które taka nauka może objąć, jej koncepcje teoretyczne, twier-

Jerzy Ekiel, Ida Kurczówna, Ryszard Radwiłowicz i Janusz Reykowski. — Studia Pedagogiczne, Tom I, Wrocław, 1954, str. 320. Cena Zł. 30. (Polska Akademia Nauk, Komitet Nauk Pedagogicznych. Komitet Redakcyjny: Henryk Jabłoński, Aleksander Lewin, Bogdan Suchodolski i Tadeusz Tomaszewski. Jako redaktor tomu podpisana jest Wanda No­wacka, jako sekretarz Redakcji: Eugenia Dąbrowska). dzenia i prawa psychologiczne mogą być uważane za ścisłe i stosowalne w praktyce dyscypliny stosowanej, podobnie jak prawa mechaniki newto­nowskiej, praktycznie biorąc tylko ścisłe w zakresach zjawisk fizycznych nie przekraczających granic pewnych maksymalnych szybkości i pewnych minimalnych wymiarów, mogą być z powodzeniem stosowane w technice. Mielibyśmy prawo czuć się zadowoleni, gdyby psychologia w Kraju, choćby w tych zakresach do których ją materializm dialektyczny ogranicza, rozwi­jała się bujnie, aby tylko rozwijała się rzetelnie.

Mogą sobie nasi młodzi psychologowie studiować materializm dialek­tyczny (zresztą *muszą* to robić, a im głębiej go będą studiować tym łacniej poznają jego ograniczenia) ale niech przy tym studiują rozprawy naukowe w czasopismach psychologicznych obcojęzycznych, a przede wszystkim niech się zabiorą do gruntownej pracy w laboratoriach i zakładach doświadczal­nych psychologicznych. Siedzenie nadal w psychologii „fotelowej”, choćby innej, renomowanej marki, nie posuwa naprzód sprawy nauki. Mogą, mają nie tylko prawo, ale nawet obowiązek krytycznego ustosunkowania się do osiągnięć i sformułowań uczonych innych generacji czy narodów, ale ich krytyka winna być konstruktywna, oparta na rzetelnej wiedzy, nie na „wiatrologicznym” frazesie. Powinni pamiętać że „Na wiedzę indywidualną składa się wiedza wszystkich pokoleń ludzkich i że każde następne pokolenie roz­poczyna poznawanie przyrody nie od nowa, lecz opiera się na wiedzy na­gromadzonej przez pokolenia poprzednie” (2).

Na wstępie swej rozprawy autorzy oświadczają iż podejmując analizę poglądów na osobowość w polskiej psychologii przedwojennej, traktują swe zadanie jako fragment „ofensywnej ideologicznej walki... z tymi poglądami jako elementami kapitalistycznej nadbudowy”. Brak rzetelności naukowej krytyków ujawnia się tu od razu w tym, że nie zadali oni sobie trudu aby w poglądach na osobowość u omawianych autorów odróżnić aspekty filo­zoficzne od aspektów psychologicznych, a więc naukowych. Inaczej mówiąc nie potrafili oni odróżnić koncepcji teoretycznych, wynikają­cych z filozoficznej postawy autorów od uogólnień obserwacji empi­rycznych, stanowiących zdobycz naukową. Jest to błąd, zasadniczy i po­ważny, właśnie z punktu widzenia materializmu dialektycznego. To bowiem, co w omawianych poglądach na osobowość jest aspektem naukowym, to może być nieścisłe, może uogólniać powierzchowne lub błędne obserwacje, może wymagać zastąpienia przez lepsze, dokładniejsze przybliżenie do rzeczywi­stości (3), ale nie *należy do nadbudowy,* z którą krytycy mieliby podjąć „ofensywną ideologiczną walkę”. Poglądy naukowe nie należą bowiem do nadbudowy, ani kapitalistycznej ani żadnej innej, co autorytatywnie stwier­dził Stalin: „Nadbudowa — to polityczne, prawne, religijne, artystyczne, filozoficzne poglądy społeczeństwa oraz odpowiadające im instytucje poli­tyczne, prawne i inne” (Nie podaję tu odsyłacza bo cytat ten właściwie

N. Miroszkina — Zagadnienie Teorii poznania materializmu dialek­tycznego. — Woprosy Dialekt i czeskogo Materializma. Inst. Filosof. Akad. Nauk ZSSR, 1951.

„Człowiek nie może ogarnąć, odzwierciadlić *całej* przyrody w pełni w jej bezpośredniej całkowitości może on tylko wiecznie *przybliżać* się do tego, tworząc abstrakcje, poięcia, prawa, naukowy obraz świata itd., itp.” (W.I, Lenin — Fiłozoficzeskije tietradi, 1947).

każdy marksista powinien umieć na pamięć). Klasycy marksizmu muszą być rozumiani i interpretowani ściśle; nawet drobne odchylenia ujawniają co najmniej tandetność przygotowania teoretycznego, jeżeli nawet nie „tendencje subwersyjne”. w określeniu Stalina poglądy naukowe nie są wymienione w wyliczeniu czynników nadbudowy, a zatem do niej, dla marksistów, nie należą. Tendencje do plątania poglądów naukowych z filozoficznymi są takim samym błędem ideologicznym jak ten, który spowodował klęskę Marra z jego teoriami filologicznymi, opartymi na założeniu że dawna nauka języ­koznawstwa była nadbudową bazy.

Drugim punktem ujawniającym albo brak rzetelności, albo przygotowa­nia (może obu?) jest wybór dzieł i autorów poddanych analizie. Do dzieł psychologów-filozofów oraz psychologów-pedagogów dorzucają oni, ni w pięć ni w dziewięć, niemal drugie tyle prac publicysty o wykształceniu i nasta­wieniu antropologiczno-socjologicznym (Jaxa-Bykowski). Co to ma wspólnego z psychologią i zapowiedzianą tytułem analizą poglądów na osobowość w polskiej *psychologii?* Nic. Ale krytycy albo nie zdają sobie sprawy z te­go czym się różni psychologia, choćby pedagogiczna, od antropologii czy socjologii quasi filozoficznej do jakiej, w najlepszym wypadku można by prace Jaxy-Bytkowskiego zaliczyć, albo też muszą się uciec do takiego pro­stackiego wybiegu aby podbudować swoje cytaty pikantnymi szczegółami i vz ten sposób odwrócić uwagę czytelnika od zdumiewającego braku rzeczy­wistej argumentacji naukowej w swej „Analizie”.

Do tego samego rodzaju wybiegów, nierzetelności naukowej należy wy­siłek krytyków wydobycia z omawianych autorów jakiegoś „wizerunku” czy „ideału człowieka”. Jasne jest przecież,-że podobne koncepcje nie należą do psychologii i nie reprezentują psychologicznych poglądów na osobowość, nawet gdyby można je przypisać osobom, które także zajmowały się psycho­logią. Zrozumiałe jest więc, że przykłady w tym zakresie wydobywane są przeważnie z wyraźnie filozoficznych utworów. Cały ten dział „Analizy” jest więc tylko balastem, bajdurzeniem zupełnie nie na temat rozprawy i powinienby być właściwie przez redakcję tomu opuszczony. Nie ma to być przecież artykuł omawiający poglądy na osobowość u polskich *filozofów),* tym bardziej że przy największym nawet naciąganiu nie można by omawia­nych autorów przedstawić jako reprezentacyjną grupę polskiej filozofii.

W tych nielicznych fragmentach gdzie krytycy chcą coś powiedzieć na temat zagadnień psychologicznych — aby choć częściowo usprawiedliwić tytuł i założenie swej pracy — ujawniają oni zdumiewającą nieporadność i brak znajomości przedmiotu, pokrywane buńczuczną werbalną gestykulacją. Na przykład, mówiąc o cechach osobowości, zapalają się do pouczania, że cechy osobowości mogą być rozumiane tylko na tle środowiska społecznego, bo „człowiek może być zły lub dobry tylko w społeczeństwie a nie na bez­ludnej wyspie” — powiadają oni, nie orientując 6ię, że przecież „zły” czy „dobry” to nie są cechy osobowości tak jak ją pojmuje psychologia, która nie jest dyscypliną wartościującą. „Zły” czy „dobry” to może są cechy etyczne albo kategorie filozoficzne ale na pewno nie psychologiczne cechy osobowości.

Charakterystyczne jest, że na temat, na przykład teorii osobowości, czy instynktu, krytycy nie mają właściwie nic do powiedzenia, poza zdawko­wymi nieobowiązującymi komunałami, mimo, że to są właśnie zagadnienia zajmujące ważne miejsce w nowoczesnej psychologii naukowej, nie tylko na Zachodzie. Pokazanie jak te zagadnienia były przedstawiane i rozu­miane przez polskich psychologów przedwojennych mogło stanowić dosko­nały punkt wyjścia do porównania tych opinii z wynikami nowszymi uczo­nych, choćby tylko sowieckich, jeżeli literatura naukowa zachodnio-europej­ska jest dla krytyków niedostępna, czy to ze względów językowych, czy innych. Mogliby przecież I w tym zakresie znaleźć łatwe pole do popisów prawomyślności ideologicznej, na przykład próbując wykazać, że „właściwa” postawa filozoficzna pozwala unikać sprzecznych i błędnych postulatów oraz prowadzi do najszybszych rozwiązań prawidłowych. Na tym tle można było też doprowadzić do jakichś konstruktywnych wniosków z analizy, szkicując, choćby w ogólnych zarysach, zadania stojące przed młodymi polskimi psychologami.

Zamiast tego dali oni w swej analizie szablon, prostacki, nietwórczy i, naukowo, bezcelowy. Swe zadanie krytyki wykonali nieudolnie, wręcz par­tacko I z rażącymi błędami właśnie z punktu widzenia ideologii marksistow­skiej. Jeżeli praca tego typu mogła ukazać się w druku i to nie byle gdzie, bo w wydawnictwie Akademii Nauk, to świadczy to niedwuznacznie, że stan nauki psychologii w Polsce wciąż jeszcze pozostaje „poniżej poziomu morza. Że jest to dziedzina w której pewność siebie i bezczelność cwa­niacka zastępować może kwalifikacje intelektualne i naukowe. Czyżby na­prawdę nie było polskich marksistów, którzy naukę psychologii traktują po­ważnie i mają w jej zakresie coś do powiedzenia?

*J. HORZELSKI*

Dwa końce kija

W „Times” z dnia 31 grudnia ukazał się artykuł o polskiej poezji współczesnej. Artykuł ten, omawiający tendencje buntownicze polskich poe­tów, zawiera nieścisłości zrozumiałe u cudzoziemców — na przykład Tuwim wrócił do Polski z New Yorku a nie z Ameryki Południowej, Broniewski tylko część wojny spędził we Lwowie, pozostałą zaś w więzieniu i łagrach sowieckich, następnie w armii Andersa. Powtarza też dziwną bajkę pusz­czaną przez pewne koła zagranicą o prawdopodobnym aresztowaniu Ważyka. Na ten artykuł odpowiedź pióra Krzysztofa T. Toeplitza pt. „Jak Times uczcił Mickiewicza” zamieściło „Życie Warszawy”. Polemika ta (jeżeli wolno ją tak nazwać) przypomina dziecinną zabawę w zepsuty telefon i ty­powa jest dla wielu wypowiedzi prasy krajowej. Zawiera (oczywiście) i atak na Miłosza, do którego, w braku lepszych argumentów, próbuje się teraz przy­czepić historyjkę o litewskim paszporcie. Passus o Miłoszu nasuwa myśl, że warto, aby pomyślano w kraju o zasadniczej weryfikacji pisarzy i dzienni­karzy z punktu widzenia dokumentów, jakie mieli w okresie wojny. Oczy­wiste wydaje się, że ci, co przyjęli paszporty sowieckie wtedy, kiedy za ich odmowę spotykała tysiące ich rodaków wywózka do łagrów, powinni być dzisiaj wyłączeni ze wspólnoty i napiętnowani. Można by też przystą­pić do dalszej czystki i zapytać czy Żydzi zaopatrzeni w „murowane” dokumenty niemieckie chroniące ich osoby i majątki — jest publiczną tajem­ nicą, że był to np. wypadek zamożnej rodziny Toeplitzów — me podlegają kolejno potępieniu. Idąc dalej wyłączyć należałoby wszystkich, co posiadali różne fantastyczne aussweissy i egzotyczne obywatelstwa, wreszcie Wilnian, których litewskie paszporty nie chroniły jednak od represji, gdyż żaden quislingowski rząd w „Ost” nie istniał. Gdyby przeprowadzić taką czystkę, okazałoby się, że grono intelektualistów Warszawy kurczy się z zastrasza­jącą szybkością. Wykazujemy z okazji artykułu Toeplitza absurdalność zało­żenia. Używanie argumentów „dokumentowych” w kraju, który został roz­członkowany i którego każda część podlegała innym tragicznym losom, wy­daje się nam obrzydliwe. Nie przyszłoby nam na myśl deprecjonować np. twórczości Adolfa Rudnickiego -dlatego, że miał paszport sowiecki, gdyż mierzymy człowieka według jego zachowania się a nie według tego, co mogło wynikać ze splotu warunków okupacyjnych i jest sprawą jego sumie­nia. Niewątpliwie wzywać pisma warszawskie do przestrzegania reguł przy­zwoitości byłoby stratą czasu. Odnotować jednak należy w odwilżowym okresie, że zatraciły już całkowicie zdolność do dyskusji, to jest do pisania o ludziach im niewygodnych bez obrzucania ich błotem.

***N.***

Krajowe nowości  
wydawnicze

PROZA

DĄBROWSKA (Maria). ***Gwiazda zaranna.*** Opowiadania. Str. 224. (Czytelnik, 1955).

KOWALSKA (Anna). ***Opowieści wrocławskie.*** Str. 314. (PIW, 1955).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). ***Zloty lis.*** Str. 145. (PIW, 1955).

RUDNICKI (Adolf), ***żywe i mar­twe morze.*** Str. 709. (Czytelnik, 1955).

MALEWSKA (Hanna). ***Przemija postać świata.*** T. I-szy str. 391, T. 11-gi Str. 372. (PAX, 1954).

BUCZKOWSKI (Leopold). ***Czarny potok-*** Str. 239. (Pax, 1954).

BUNSCH (Karol). ***Olimpias.*** Po­wieść hist. z czasów Filipa II Ma­cedońskiego. Str. 374. (Wyd. Li­terackie, Kraków, 1955).

PRZEKŁADY

GASCAR (Pierre). ***Czas umarłych,*** przeł. M. Wisłowska i B. Kiel- ski. Str. 109. (PIW, 1955).

CONRAD-KORZENIOWSKI (J.) ***Los,*** przeł. W. 1 atarkiewiczowa. Str. 460. (PIW, 1955).

DOSTOJEWSKI (Fiodor). ***Zbrod­nia i kara.*** Tł. Cz. Jastrzębiec- Kozłowski. Str. 540 (PIW, 1955)

TOŁSTOJ (Lew). ***Wojna i pokój.*** Tomy I", II, II, IV. Str. 386, 399, 427, 367. Przeł. Z Peterso- wa. (PIW, 1955).

COSTER (de Karol). ***Legenda ja­ko też bohaterskie i sławne przy­gody Dyla Sowizdrzała i Jagnusz- ka Poczciwca W krajach flamandz­kich i gdzie indziej.*** Str. 635. Przeł. H. Szumańska-Grossowa. (PIW, 1955).

UNDSET (Sigfnd). ***Olaf syn Au- dana.*** T. I str. 481, T. II, str. 445, przel. z niemieckiego W. Kragen (PAX).

DEFOE (Daniel). ***Przypadki Ro- binzona Kruzoe,*** z ilustracjami. T. 1 str. 359. T. II str. 315, pod re­dakcję J. Kotta (PIW, 1953).

KLASYCY  
LITERATURY  
POLSKIEJ

POTOCKI (Stanisław). ***Podróż do Ciemnogrodu i iwislek krytyczny.*** Str. CX, 469, I ni. Opr. E. Ki­pa. (Bibl. Nar. Seria 1, Nr. 154), (Zakł. im. Ossolińskich, 1955).

ŻEROMSKI (Stefan). ***Wiatr od morza.*** Str. 272. (Czytelnik 1955).

PAMIĘTNIKI

SIEMPOWSKI (Stanisław). ***Pa­miętniki*** 1870-1914. Str. 429. (Za­kład im. Ossolińskich, 1953).

SZTUKA

I WYDAWNICTWA  
ARTYSTYCZNE

***Ziemia rodzinna.*** Album. Wiersze wybrali: T. Kubiak i A. Między­rzecki. Fotografie zebrał i ułożył E. Hartwig. (Wyd. Nasza Księ­garnia, 1955).

SZENIC (St.) i CHUDEK (J.). ***Najstarszy szlak Warszawy*** (Kra­kowskie Przedmieście - Nowy Świat - Aleje Ujazdowskie). Str. 365. PIW, 1955).

ŚW1ECHOWSKI (Zygmunt). ***Ar­chitektura na Śląsku do połowy XIII wieku.*** Str. 386 plus mapy i ilustracje. (Wyd. „Budownictwo i Architektura", Warszawa 1955).

BOGUCKI (Janusz). ***Rozmowy o sztuce.*** Str. 225. (Wyd. Literac­kie, Kraków, 1955).

POEZJE

STAFF (Leopold). ***Wiersze zebra­ne.*** Tomów pięć. Str. 443 , 440, 419, 336, i 375). (PIW', 1955).

TUWIM (Julian). ***Dzieła.*** T. 1 (w dwóch częściach, str. 306 i 367). T. II str. 301 („Kwiaty Polskie") (Czytelnik, 1955). Wbrew tytuło­wi sę to raczej wiersze wybrane niż całość twórczości poety.

GAŁCZYŃSKI (K.I.). ***Satyra, gro­teska, żart liryczny.*** Str. 407. (Czytelnik, 1955).

LEŚMIAN (Bolesław). ***Wiersze wybrane.*** Str. 288. (Czytelnik, 1955).

JASNORZEWSKA - PAWLI­KOWSKA (Maria). ***Wiersze Wy­brane.*** Str. 122. (Czytelnik, 1954).

CZECHOWICZ (Józef). ***Wiersze wybrane.*** Str. 388. (Czytelnik, 1955).

Książki

K. A. Jeleński: “Tristes Tropiques”

Claude Lévi-Strauss jest jednym z największych współczes­nych etnografów. Jego „Structures Elémentaires de la Parenté” są rezultatem długoletnich studiów, podstawowym dziełem. Alt lata spędzone wśród dzikich plemion, przebyte nurty Amazonek, wielkie deszcze u podnóża Himalajów, epidemie i tropikalne skwary — wszystko sprowadza się tu do kilku prostych rów­nań, do kartoteki znanych ludzkości systemów pokrewieństw. i zapewne takie właśnie przyczynki są celem ostatecznym etno­grafa. z nich składa się ta coraz większa suma wiadomości o człowieku, która zmieniła nasz stosunek do „postępu”. Ale u podstawy wyboru który decyduje o tym że człowiek poświęca życie cywilizacjom innym niż jego własna tkwi coś szerszego i bogatszego zarazem. Coś co może wyjaśnić jedynie analiza świata i autoanaliza etnografa. Taką właśnie podróżą po róż­nych cywilizacjach (i po różnych epokach) jest ostatnia książ­ka I.evi-Straussa, *Tristes Tropiques* (Plon 1955) — jedna z naj­piękniejszych książek francuskich jakie ukazały się po wojnie i jeden z najoryginalniejszych wkładów do filozofii społecznej. Książka pesymistyczna i melancholijna, która jednak nigdy nie przygnębia, gdyż przenika ją pozbawione jakiegokolwiek senty­mentalizmu szczodre poczucie braterstwa z człowiekiem.

Z szeregu uwag rozrzuconych po *Tristes Tropiques* wniosku­jemy że autor jest wyjątkowo muzykalny. Sama jego książka zbudowana jest na wzór symfonii. Mamy uwerturę, andante, larga, nawet kilka allegro eon brio. Przez tę symfonię przewija się stale kilka leitmotivôw. Głównym z nich jest zasadnicze dla etnografa zagadnienie postępu. Pytanie które narzuca mu się u progu kariery jest następujące: czym są społeczeństwa które nazywamy prymitywnymi wobec naszych społeczeństw, które nazywamy cywilizowanymi? Wiek dziewiętnasty odpowiadał na te pytania bez wahania: istnieje jednolita droga postępu, u kresu której stoi nasza zachodnia cywilizacja, o nieograniczonych dal­szych możliwościach rozwoju. Ale w ciągu ostatnich kilkudzie­sięciu lat pewność ta została podważona zarówno przez teorie etnografów i antropologów (Durkheim, Mauss, Frazer), histo­ryków i socjologów (Spengler, Toynbee), jak i przez doświad­ czenia ludzkości: świetlaną wizję postępu pokryły wojny, dymy Oświęcimia, atomowy grzyb Hiroszimy. Lévi-Strauss jest twór­cą nowej teorii „postępu” opartej na prawie wielkich liczb. Po­równuje on cywilizację do ruletki na której „grają” różne spo­łeczeństwa. w pewnej chwili jedno z nich „wygrywa”: doko­nuje w danej dziedzinie wielkiego kroku naprzód. Ale ta wygra­na byłaby o wiele trudniejsza, matematycznie niemal niemożliwa do osiągnięcia, gdyby wszystkie społeczeństwa („gracze”) sta­wiały na jeden i ten sam numer. To właśnie rozrzucenie stawek, swoista gra ludzkości „ekipą” sprawia że od czasu do czasu możliwe są te „wygrane”, będące warunkiem przejścia danego społeczeństwa na wyższy poziom techniczny, umysłowy, czy mo­że nawet „duchowy” (choć marksista Lévi-Strauss nie używa naturalnie tego wyrażenia). Dlatego nie należy zapominać że jeśli niektóre społeczeństwa pozostały pozornie „w tyle”, są „zaco­fane”, to dlatego że stawiały na numery które — dotychczas — nie wyszły na tej cywilizacyjnej ruletce. Jasne, że Lévi-Strauss jest zwolennikiem jak największej różnorodności cywilizacyjnej, która dla całej ludzkości zwiększa szanse „postępu”. Teoria ta nie jest zresztą wypowiedziana w *Tristes Tropiques:* stanowiła ona temat kilku artykułów na łamach „Temps Modernes”, z których zdawałem częściowo sprawę w „Kulturze”. Jeśli ją teraz przypominam, to dlatego że stoi ona jednak u podstawy szacunku i zrozumienia które Lévi-Strauss okazuje dla społe­czeństw najbardziej nawet „prymitywnych”. Inne pojęcie, zwią­zane z poprzednim, przenika również *Tristes Tropiques.* Historia ludzkości nie jest jedną stałą linią, jak sobie wyobrażali doktrynerzy postępu. Dzieli się ona na rozliczne prądy. Każda kultura róż­ni się od innych akcentem położonym na jakąś specyficzną sferę ludzkiego działania.

Każda kultura wyróżnia się przede wszystkim hie­rarchią tych poszczególnych dziedzin u danego społeczeństwa. Nasza zachodnia kultura jest najdalej posuniętym etapem dla tych społeczeństw które u szczytu hierarchii postawiły techno­logię, ujarzmienie i wykorzystanie sił przyrody. Ale istnieją też hierarchie inne. Jeśli się najwyżej ceni inne wartości, jak wzloty duchowe, sprawiedliwość, integrację społeczeństwa, poczucie piękna, to „wyższość” naszej cywilizacji staje się już bardziej wątpliwa. Gdyż nie sposób usunąć z ogólnego bilansu wojen, nędzy proletariatu, nowych form niewolnictwa, samotności współczesnego człowieka „cywilizowanego”.

W miarę jak staram się przekazać myśl Levy-Straussa, spostrzegam się jak ważnym elementem jego książki jest styl, jak trudno jest dać pojęcie o jej tonie bez kilku cytatów. Oto chociażby, z dziedziny o której mowa powyżej, kilka zdań o spo­łeczeństwie, które w hierarchii wartości najwyższej postawiło estetykę (chodzi o brazylijski szczep Indian Bororo):

„...pomieszczenia majestatyczne rozmiarami mimo kruchości; sklecone z materiałów i za pomocą techniki które znane nam są tylko w miniaturze; gdyż te chaty są nietyle zbudowane co związane, splecione, utkane, wyhaltowane; zamiast przygniatać mieszkańca obojętną masą kamieni, czujne są wiotko na jego obecność i ruchy; w przeciwieństwie do tego co ma miejsce u nas, poddane są one zawsze człowiekowi. Wokół wieśniaków wieś sama staje się lekką i elastyczną zbroją; podobniejszą do kapeluszy naszych ko­biet, niż do naszych miast: rodzaj naturalnej ozdoby, zachowującej coś z życia trzcin i liści, których swobodę potrafili uszanować budowniczowie, naginając ją jednocześnie do swych złożonych planów. Nagość mieszkańców wydaje się chroniona trawiastym aksamitem ścian i frendzlami palm: wyśliz­gują się oni ze swych mieszkań tak jakby zrzucali z siebie olbrzymie płaszcze „strusich piór”.

Albo jeszcze bardziej prymitywni Indianie Nambikwara, również zamieszkujący Brazylię, którzy wśród nędzy bytowania potrafią kultywować najsubtelniejsze, choć najprostsze ludzkie uczucia:

„W wędrowcu który po raz pierwszy obozuje w puszczy z Indianami wzbiera zarazem strach i litość na widok tej ludzkości tak całkowicie wyzby­tej z jakichkolwiek dóbr: jak gdyby przytłoczonej do złowrogiej ziemi przez jakiś nieubłagany kataklizm; nagiej, drżącej z zimna wokół przygasających ognisk. Krąży się po omacku w gąszczu, omijając to rękę, to nogę, to pierś, których obecność zdradza ciepły odblask ognia. Ale ta nędza ożywiona jest szeptami i śmiechem. w uściskach łączą się pary, jakby szukając utraconej jedności; czułości ciał nie przerwie krok obcego. u wszystkich odgaduje się ogromne ciepło, głęboką beztroskę, naiwne i urocze zwierzęce zadowolenie, a jako sumę tych wszystkich różnych uczuć, coś co wydaje się wyrazem najbardziej wzruszającej i autentycznej czułości ludzkiej”.

Lévi-Strauss ma dwóch mistrzów: Rousseau i Marksa. Histo­ryczne nieporozumienie przypisuje Rousseau koncepcję „szlachet­nego dzikusa”. w istocie jest to myśl Diderota. Rousseau był znacznie subtelniejszy: nie szukał on „człowieka naturalnego” w historii. Lévi-Strauss idzie jego śladem pisząc: „Człowiek naturalny nie jest do pojęcia ani przed istnieniem społeczeństwa, ani poza społeczeństwem. Do nas należy odszukanie jego formy związanej ze stanem społecznym, poza którym nie ma ludzko­ści”; należy zatem „rozpoznać co jest naturalne, a co sztuczne w obecnej formie człowieka”. Lévi-Strauss podziela poniekąd nos­talgię Rousseau do człowieka neolitycznego (Rousseau pisał że wyjście z tego stanu było dziełem „jakże zgubnego przypadku”). Interpretuje on zresztą tę myśl Rousseau za pomocą najnow­szych koncepcji biologicznych:

„W tym mitycznym okresie człowiek nie był wolniejszy niż dzisiaj, ale więzy narzucała mu wyłącznie jego własna ludzkość. Ponieważ jego władanie nad przyrodą było bardzo ograniczone, był on chroniony — I w pewnej mierze wyzwalany — amortyzacyjnym mechanizmem swych marzeń. w miarę jak te marzenia przemieniały się w poznanie, władza człowieka się powiększała. Ale ta władza która dała nam, jeśli tak można powiedzieć, „bezpośrednie spięcie” z wszechświatem, ta władza z której jesteśmy tak dumni, czyż nie jest ona po prostu subiektywną świadomością powiększającej się wciąż szczeliny pomiędzy ludzkością i światem fizycznym, którego wiel­kie determinizmy działają teraz, nie tak jak dawniej — pod postacią groź­ nych i tajemniczych sił zewnętrznych — ale poprzez naszą samą myśl, kolonizując nas na rzecz milczącego świata, którego staliśmy się wyko­nawcami

Lévi-Strauss jest nie tylko materialistą, ale świadomym marksistą. Marksizm jego jest zresztą tak różny od prymityw­nych form myślowych świata sowieckiego, że oddaje on nam jeszcze jedną przysługę, rehabilitując wielki wkład filozoficzny Marksa, deformowany i najgłupiej upraszczany odkąd stał się jednym z wehikułów tyranii. Kategoriami marksistowskiej dialektyki posługuje się Lévi-Strauss bez cienia przesądów. Inte­gracja i braterstwo społeczeństwa ludzkiego jest dla niego ce­lem, choćby cel ten był nieosiągalny w „Historii”. „Złoty wiek, który ślepy przesąd stawiał *poza* nami, albo *przed* nami, jest w nas samych”. Zawsze i wszędzie ludzie zaczynają od nowa to samo zadanie, z tym samym celem i jedynie ich środki się różnią. Braterstwo ludzkie osiąga konkretny sens, jeśli w naj­nędzniejszym szczepie widzimy nasz własny obraz i doświad­czenie, które, dorzucone do tylu innych, może nam zawsze udzie­lić jakiejś nauki. Od tysięcy lat człowiek się tylko powtarza; wszystko dokonuje się zawsze od początku.

W abstrakcyjnym schemacie Marksa, praca miała być przy­krym i tymczasowym środkiem. Marksiści na usługach tyranii wywyższają ideę pracy, przekształcając środek w cel. Praca jest naczelnym pojęciem sakralnym w sowieckim świecie, do tego stopnia, że nie wiadomo co by ją mogło zastąpić, gdyby techni­ka i ograniczenie liczby urodzin (wmiast marksistowskiego schematu historycznego) miały kiedyś zmniejszyć do minimum jej potrzebę. Dla Levi-Straussa marksizm nie jest dogmatyczną filozofią historii, ale dialektyką, która nie przestanie obowiązy­wać podczas pobytu ludzkości na ziemi (nie widzi on „końca historii”). Ale uznając jej prawa za potencjalnie obowiązujące, nie przecząc konieczności technicznego postępu — od którego nie ma odwrotu — cel ludzkości widzi on w tych rzadkich chwi­lach kiedy człowiek nie musi zasklepiać rosnących wciąż szczelin w więziennych murach swych potrzeb. Szuka on ostatecznie schronienia

**„w** kontemplacji minerału piękniejszego niż wszystkie nasze dzieła; w **za­**pachu, bardziej uczonym od wszystkich naszych ksiąg, który czerpiemy w kielichu lilii; lub w mrugnięciu okiem, zawierającym zarazem cierpliwość, spokój i obopólne przebaczenie, które czasami przypadkowe porozumienie pozwala nam zamienić z kotem”.

Takie jest końcowe zdanie tej książki. Idąc za jednym tylko wątkiem myślowym, zubożyłem ją niepomiernie.*Tristes Tropi­ques,* to przede wszystkim pasjonujące opisy prymitywnych cy­wilizacji, to także bogactwo różnorodnych dygresji. Autor ope­ruje z największą swobodą wszystkimi narzędziami nowoczesnej nauki. Obok materializmu dialektycznego znać na nim wpływ lingwistyki strukturalnej (Saussure i Trubeckoj), psychoanalizy i fenomenologii egzystencjalnej. Przy tym Lévi-Strauss pierwszy zastosował do socjologii metody myślowe współczesnej fizyki. Ale posługuje się on tymi metodami w sposób na wskroś indy­widualny i swobodny, nie broniąc żadnych tez jakiejkolwiek „szkoły”.

Ta książka o podróżach naokoło świata uczy nas właściwie że ucieczka w egzotyzm już nie istnieje. Nie ma we współczes­nym świecie miejsca w którym człowiek cywilizacji zachodniej mógłby się uchylić od problemów które mu się stale narzucają. Cywilizacja nasza dotarła już wszędzie, chociażby siejąc zniszcze­nie. Lévi-Strauss znaczną część swej książki poświęca Azji. w rodzącej się boleśnie industrializacji Chin i Indii widzi on po­wrót do antyhumanistycznego koszarowego życia, które zrodziło się po raz pierwszy w Azji i dziś do niej powraca, po przerwie kilku tysięcy lat, w ciągu których ta sama Azja była kolebką wielu cywilizacji. Ostatecznego wniosku z tych rozważań na skalę uniwersalną Lévi-Strauss jednak nie wyciąga. Trzeba bę­dzie kiedyś przecież ograniczyć liczbę ludzi, jakikolwiek by nie był postęp produkcji. Optymiści zapowiadają, że za sto lat ludz­kość będzie się żywiła wodą morską, że istnieją jeszcze stepy i sahary które energia atomowa nawodni, że atom i energia słoneczna zastąpią ograniczone zasoby węgla i nafty. Ale to jest optymizm na miarę wieku. Przy obecnej skali przyrostu natural­nego (i jego wzrastającej krzywej) jakiż optymista da odpowiedź na miarę tysiąclecia? Problem ten jest stale zakrywany różnymi formami zaślepienia: optymizmem marksistów, próżnością na­cjonalistów, dogmatyzmem katolików. Ale nie ma od niego ucieczki, jeśli wojny nie mają przejąć jutro funkcji którą w his­torii świata spełniały epidemie i głód. Nad „smutnymi tropika­mi” świata wisi mściwy cień Malthusa.

*K. A. Jeleński*

Józef Łobodowski: Białe plamy na mapie

**I**

Amator historii jest trochę jak kandydat na podróżnika. Powiedzmy, jak kandydat na podróżnika przed stu czy choćby kilkudziesięciu laty. Gdy skończyłem siedem lat, ktoś podaro­wał mi stary atlas, bodaj z połowy ubiegłego wieku. Na mapie Afryki i Ameryki Południowej widniały liczne białe plamy, do­tyczące obszarów jeszcze niezbadanych. Wyobraźnia zaludniała je fantastycznymi ludami i miastami, przy czym z walną po­ mocą przychodziła lektura Jules Verne’a i opisy egzotycznych krajów takich podróżników, jak np. ulubiony przeze mnie Mikłucha-Makłaj, a jeszcze bardziej tragicznie zmarły na wyspie Vanikoro, kapitan La Perouse.

Mapy geograficzne białych plam prawie już nie znają. Nato­miast obfitują w nie mapy historyczne i nic bardziej fascynu­jącego nad dalekie podróże w głąb Czarnego Lądu zamierzch­łych dziejów. Tym bardziej fascynujące, że całość należy odga­dywać z ułamków, a niezawodną busolę musi w wielu wypad­kach zastępować intuicja. Jedna z największych białych plam historycznych na mapie Europy starożytnej i wczesno-średniowiecznej rozlewa się na rozległej przestrzeni czarnomorsko-kaspijskiej, z jednej strony zagarniając góry i podgórza kaukaskie, z drugiej — wdzierając się w dorzecze Wisły. Kiedy zjawiły się tam po raz pierwszy plemiona słowiańskie? w jakim stopniu nastąpiło ich przemieszanie ze stepowymi ludami irańskiego po­chodzenia? Jaki procent wędrownych szczepów tiurskich wsią­kał w etniczną masę autochtonów? Jak układały się najwcześ­niejsze stosunki między Litwą i Rusią? Byli Gedyminowicze od­gałęzieniem dynastii Ruryka, czy nie? Jaki był wygląd etnogra­ficzny Ziemi Czerwieńskiej w zaraniu dziejów?

Na każdym kroku na podróżnika czyha nowa przygoda, na­rzucają się kuszące hipotezy i trzeba się bardzo strzec, by nie ulec ich malowniczości, lub własnych pobożnych życzeń nie wziąć za rzeczywistość.

Gdybym nie był poetą, na pewno zostałbym historykiem, oczywista, zakładając, że nieobecność żywiołu lirycznego, raz po raz zmieniającego zamierzone rejsy i często uniemożliwiają­cego przybicie do zaplanowanych portów, ułatwiłaby zdobycie się na konieczną metodę i na to, co Niemcy bardzo brzydko nazywają *Sitzfleischem.* a tak pozostało amatorstwo, coś w ro­dzaju „skrzypiec Ingresa”, które na pozór spokojnie wiszą na ścianie, aż się je ponownie odkurzy i weźmie do rąk.

II

Niestety nie znam angielskiego, więc „The Origin of Russia” prof. Henryka Paszkiewicza, dzieło, o którym głośno ostatnio w prasie emigracyjnej, nie tylko polskiej, pozostanie dla mnie niedostępne, aż ukaże się w oryginale, lub tłumaczeniu na inny język, bardziej — jakby powiedzieli Hiszpanie — „katolicki” od angielszczyzny. Na razie trzeba się zadowolić i tym, co mogę wyczytać z obszernych na szczęście recenzyj prof. Strońskiego, Pawła Hostowca, Stanisława Sopickiego... To za mało, by wdawać się w poważną dyskusję; wystarczająco, by wysunąć kilka wątpliwości i podzielić się szeregiem własnych refleksyj.

A temat jest pasjonujący, zwłaszcza dla kogoś, kto od lat siedzi w studiach wschodoznawczych, zatem, co chwila ma do czynienia z historią Rosji, Ukrainy, Białorusi, Krymu, Kau­kazu...

Prof. Paszkiewicz wystąpił w swojej książce jako pogrom­ca „antynormanistów” i to wystąpił tak mocno, że według opinii Hostowca „trudno im będzie wrócić do głosu”. Tym sa­mym rozprawił się z teorią, według której już w wieku VI po Chrystusie istniała na dzisiejszej Ukrainie jakaś organizacja ponadplemienna, zawiązek przyszłego państwa, wcześniejszego od przybycia Waregów. Stworzył tę teorię historyk rosyjski, Kluczewskij, a rozwinął ją zmarły przed kilku laty, Grickow („Walka Rusi o utworzenie swego państwa”, Moskwa, 1945). Kluczewskij oparł się na następujących danych historycznych: na przełomie starożytności i średniowiecza step nadpontyjski za­ludniali Antowie, o których pierwszą wzmiankę znajdujemy u greckiego kronikarza, Jordanesa. Antowie toczyli kilkunasto­letnią wojnę z Gotami, którym też ostatecznie ulegli. Jordanes podaje nawet imiona króla gockiego, Winitara, i wodza Antów, Boża. Prokopiusz z Cezarei, dostojnik na dworze Justyniana I-go i uczestnik wypraw Belizariusza, sytuuje Antów między Dniestrem i Donem; o ich walkach z Obrami czyli Awarami pisze Menander. Jak dotąd jesteśmy w VI stuleciu, a ostatnia wzmianka o Antach pochodzi z roku *602.go.* Odtąd głucho o tych ziemiach w kronikach bizantyńskich przez lat przeszło dwieście, co tłumaczyć należy stopniowym zanikiem starej grec­kiej kolonizacji na północnych wybrzeżach Euksynu; następnie dokładniejsze informacje przyniesie dopiero wiek IX-ty a przede wszystkim prace historyczne cesarza Konstantyna Porphyrogenety, który żył w pierwszej połowie X-go stulecia.

Dokumentacja, dotycząca walk Antów z Gotami, jest nie­zmiernie szczupła, ogranicza się właściwie do paru wzmianek. Za to o wojnie z Awarami mówi znacznie dokładniej najstarsza kronika kijowska, podając między innymi, że „Obrowie wojo­wali ze Słowianami i pokonali Dulębów, którzy byli Słowiana­mi, i znęcali się nad dulebskimi kobietami”. Kluczewskij i Griekow zgrzeszyli przesadą, twierdząc, jakoby opór Awarom sta­wiło jakieś zorganizowane państwo, któremu przewodniczyli wła­śnie Dulębowie. z notatki kronikarza wynika jednak tylko tyle, że wojna toczyła się w ogóle ze Słowianami, przy czym ich część, to jest Dulębowie, uległa zbrojnemu podbojowi. Innych plemion nie wymienia, zatem awarski podbój ograniczył się do Dulębów. Ale wojna toczyła się w ogóle ze Słowianami, to zna­czy, że poszczególne szczepy połączyły się w obliczu niebez­pieczeństwa. Taka liga wojenna, zawierana na czas najazdu, to jeszcze nie państwo, ale to już pierwszy krok w jego kierun­ku. Działo się to wszystko w połowie VI-go wieku, zatem na dobre trzysta lat przed zjawieniem się Waregów. Trzysta lat to spory kawał czasu i trudno przypuścić, aby ci sami Słowianie, którzy umieli zdobywać się na jedność plemienną w 560-ym, mieli stanowić masę całkowicie bezkształtną w wieku IX-ym.

To jednocześnie stanowi najlepsze wyjaśnienie, dlaczego awan­turniczym, a z konieczności szczupłym liczebnie drużynom Wa­renów udało się tak łatwo, a nade wszystko tak *szybko* zorga­nizować państwo. Widocznie, były już jakieś precedensy.

Może więc klęska, zadana antynormanistom przez prof. Paszkiewicza, nie jest taka kompletna i coś niecoś z tego po­gromu da się uratować. Może należałoby pójść drogą pośrednią i oświadczyć: przybycie Waregów przyspieszyło powstanie pań­stwa, które uprzednio tworzyło się stopniowo w ciągłych wal­kach z najeźdźcami. Przynajmniej tworzyło się na bardziej ogra­niczonej przestrzeni. Greccy kronikarze nie są całkowicie zgodni co do rozmieszczenia siedzib Antów; Prokopiusz mówi o prze­strzeni między Dniestrem i Donem, Jordanes podaje Dniepr jako wschodnią granicę, czyli redukuje interesujące nas terytorium do połowy.

Co jednak stało się ostatecznie z Antami, którzy dla Klu­czewskiego i Griekowa stanowią protoplastów późniejszej Rusi? Po wieku VI nazwa ta znika całkowicie. Kroniki kijow­skie jej nie znają. Może Antowie wywędrowali, zdegustowani ciągłymi napadami tiurskich przybyszów? Ich udział w inwazji Bałkanów nie ulega wątpliwości. To zatem oni, pod zmienio­nym imieniem skolonizowali kraje zadunajskie: Istrię, Illirię, Macedonię, Tracię? Kronika kijowska mówi o tych czasach, co następuje:,/Wtedy był tylko jeden słowiański naród, to znaczy: Słowianie Dunajscy, których podbili Ugrowie, Mora­wianie, Czesi, Lachy i Polanie, którzy dziś nazywają się Rusią”. Wzmianka dotyczy czasów sprzed słowiańskiej inwazji Bałka­nów; Słowianie są już w Pannonii, ale jeszcze nie poszli dalej. Zwraca też uwagę, że kronikarz nie wymienia poszczególnych plemion, używa nazw ogólnych: Czesi, Lachy, Słowianie Du­najscy. z tego byłby wniosek, że i nazwa Polan użyta została w znaczeniu ponadplemiennym. Co to ma wspólnego z Antami. **To** właśnie, że daty pokrywają się, zatem Polanie, o których dbały o ścisłość kronikarz dodaje, że „dziś nazywają się Rusią”, najwidoczniej stanowili dalszy ciąg owych Antów, co tak upar­cie opierali się Gotom i Awarom, a później częściowo wyemigro­wali na Bałkany. Według Wernadzkiego, razem z Antami za­wędrowała na stepy nadpontyjskie część plemienia Tocharów, w których języku „anty” znaczy *pole.* Jeśli Wernadzki ma rację, o czym „skrzypce Ingresa” nie mogą decydować, Pola­nie byli potomkami Antów w najprostszej linii.

Gdzie indziej kronikarz notuje, że Grecy nazywali obszary na północ od Czarnego Morza „Wielką Scytia”, przy czym uży­wali tego określenia w dwóch wersjach terytorialnych: szerszej i bardziej zredukowanej. „Dulębowie siedzieli na Bugu, gdzie dzisiaj Wołynianie, a Uliczanie i Tiwercy siedzieli na Dniestrze, sąsiadowali z Dunajem; było ich wielu, bo siedzieli na Dniestrze aż do morza, a miasta ich istnieją do dziś; a Grecy nazywali to Wielką Scytia”. w innym miejscu czytamy: „Oleh zebrał w'elu Waregów, Słowinów, Czudów, Krywiczan, Merię, Polan Sicwierzan, Drcwlan, Radzimiczów, Chorwatów, Dulębów i Tiwerców, którzy są w sojuszu. Wszystkie te plemiona Grecy na­zywają Wielką Scytia”. Różnica bardzo poważna. W’ pierw­szym wypadku mowa o trzech plemionach znad Dniestru i Bugu; w drugim dochodzą nie tylko szczepy południowe, jak Polanie i Drewlanie, ale i północne, a nawet dwa fiński©: Czudowie i Meria. Ale nas obchodzi przede wszystkim określenie —,.któ­rzy są w *sojuszu”,* oraz uporczywe nawracanie do starej grec­kiej nazwy „Wielka Scytia”. Pytanie, czy chodzi wyłącznie o termin geograficzny, czy również o jakąś organizację ponadplemienną. Skoro byli w sojuszu, to chyba jedno i drugie.

Zadziwia, jak łatwo przyszło Olehowi zebrać na wyprawę na Carogród (907) plemiona tak bardzo terytorialnie rozpierzchłe na olbrzymiej przestrzeni między Łagodą i Dnieprem, Bugiem i Oką. Ta łatwość również potwierdza, że jednak jakieś pierwo­ciny, choćby najbardziej prymitywne, ustroju państwowego musiały przedtem istnieć. a jeśli nic nie było, jak zrozumieć, że zaledwie w czterdzieści lat po przybyciu Waregów, są oni w stanie zorganizować wyprawę wojenną, ogarniającą jedenaście różnych szczepów, oddalonych jeden od drugiego o setki kilo­metrów? Odkładając zatem tezo o istnieniu państwa Antów już w VI-tym stuleciu między baśnie, zgódźmy się, że Ruś pierwszych Rurykowiczów nie wyskoczyła, jak Atene z głowy Zeusa, na sam błysk wareźskiego miecza, lecz była przygoto­wana wcześniejszym wysiłkiem słowiańskich autochtonów. w ten sposób i normandzki wilk syty i słowiańska owca cała.

III

Zasadnicze znaczenie dla sporu „normanistów” z „antynormanistami” ma sama nazwa „Ruś”. Aleksander Bruckner powiedział kiedyś — jak przypomniał w „Wiadomościach” prof. Stroński — że ostateczne wyjaśnienie tej spornej nazwy sta­nowić będzie klucz do wczesnych czasów Rusi. Czy prof. Pasz­kiewicz znalazł ten klucz?

Przypomnijmy, że spór toczy się od lat stukilkudziesięciu i po dziś dzień do uzgodnienia stanowisk nie doprowadził. Nie ulega wątpliwości, że u wielu rosyjskich historyków, a właśnie wśród nich mamy najliczniejszych „antynormanistów”, wzglę­dy uboczne, więc w danym wypadku narodowe i polityczne, od­grywały rolę decydującą. Ale nie u wszystkich i nie zawsze. Nawet i dziś, mimo że historycy w Sowietach piszą pod terro­rem, nie można ich potępiać w czambuł; Partia wszystkiego nie dopilnuje i nie dopatrzy, i tworzą się marginesy, na których na­wet sowiecki uczony może poruszać się z całkowitą swobodą. Są zresztą tematy, dla dialektyki materialistycznej obojętne.

Zdaje się, że pierwszym antynormanistą w stosunku do po­chodzenia nazwy „Ruś” był wszechstronny poligraf, Łomonosow, żaden zresztą autorytet w dziedzinie historycznej. w jego ślady podążali Ewers, Rosenkampf, Neumann, Giedeonow. Tej samej opinii przytrzymywał się Sołowjow. Najdalej poszli Zabielin i Kowalewskij, którzy twierdzili, że założyciele państwa kijowskiego byli albo autochtonami, albo wenedzkiego pocho­dzenia, przybyli zatem z południowych brzegów Bałtyku, nie ze Skandynawii. Kowalewskij powoływał się na źródła greckie i arabskie, mające świadczyć, że nazwa Ruś zjawia się *przed* przybyciem Waregów. Wtórują mu historycy ukraińscy z Hruszewśkym na czele. Wzmianki w żywotach świętego Jerzego Amastryckiego i świętego Stefana Surożskiego mówią o napa­dach „zgubnego z imienia i czynów swoich narodu Ruś” pod datą wcześniejszą. Ze znanych mi recenzyj z dzieła prof. Paszkiewicza nie mogłem się dowiedzieć, czy rozprawia się on I z tymi argumentami.

Filologia nie wiele nam pomaga. Fjnnowie po dziś dzień nazywają Szwedów „Ruotsi”, ale słaba to racja. Ktoś wysko­czył przecież ze zwariowaną hipotezą, że skoro w italskim Sa­binum była miejscowość Rosia, musiała istnieć ścisła parantela między dawną Rusią a Rzymianami czy nawet Etruskami! Na­zwy rzek miewają przeważnie prozapię odleglejszą niż nazwy krajów i narodów. Jeśli fińskie Ruotsi ma aż takie znaczenie, takie rzeczne nazwy, jak Roś, Rossa, Rosaw\*a, Rusa, Rośka, Rostowyca, Rutek, też mają coś do powiedzenia. Za to imiona pierwszych książąt ruskich świadczą na rzecz normanistów. Is­totnie, argument, że imiona skandynawskie przenikały dzięki stosunkom handlowym, podobnie jak przenikały imiona czeskie i polskie (wśród synów Włodzimierza Wielkiego mamy Bole­sława i Stanisława), wydaje się naciągnięty. Jest ich za dużo: Ruryk, Truwor, Askold, Oleh, Ihor, Olga, nawet Włodzi­mierz (od Waldemar). Na to antynormaniści odpowiadają, że zanim Waregowie opanowali Kijów, rządziła tam dynastia le­gendarnego Kija, o którym mówi Nestor. Legendarny? Nie mniej legendarna jest owa trójca wareżska: Ruryk, Sineus i Truwor. Jakże w tej kakofonii racji i kontrracji wygrać czystą melodię skromnym „skrzypeczkom Ingresa”?

Wracam przecież do swego: drużyna wikingów nie przysz­ła na ziemie politycznie i państwowo całkowicie dziewicze. Gdy­by było inaczej, trudno wytłumaczyć, dlaczego normańskie wpływy językowe były na Rusi Kijowskiej tak minimalne, na ustroju społeczno-państwowym zaważyły niewiele, a jeszcze mniej na ustawodawstwie, które aż zadziwia swą łagodnością, bardzo w nie skandynawskim stylu. To są chyba argumenty istotne.

„Zebrawszy Ruś, Waregów i Słowian, Jarosław wyprawił się przeciw Bolesławowi i Światopełkowi...” — pisze Nestor. Prof. Stroński uważał, że Ruś występuje tu jako nazwa nadrzęd­na, obejmująca zarówno Waregów jak Słowian. Myślę, że cho­dzi o pewne nieporozumienie. Skoro Ruś pierwotnie obejmowa­ ła Kijów, Perejasław i Czernihów, znaczy to, że Nestor określa jako Słowian inne szczepy, np. Nowogrodzian albo Krywiczan. Ale skąd to wyraźne wyodrębnienie Waregów? Mogła to być najemna drużyna, świeżo przybyła ze Skandynawii Thietmar w swoim opisie Kijowa wymienia Duńczyków), a może chodzi <> coś waźniejszegoi? Ruś — to miejscowi: Polanie, Siewierzanie... Waregowie — to Waregowie!

Spór o pochodzenie nazwy „Ruś” nie miałby takiego zna­czenia i nie budziłby tylu namiętności, gdyby nie łączył się z centralną polemiką o pochodzeniu państwa ruskiego. Wydaje się jednak, że te dwa spory można oddzielić. Bez względu na to, czy Waregowie narzucili nazwę Ruś, czy też powstała ona nie­zależnie na miejscu, organizacja ponadplemienna mogła istnieć nad Dnieprem jeszcze przed Rurykiem. Cytowałem już słowa kronikarza o poszczególnych szczepach, że „są w sojuszu”. Ta sama kronika mówi o epoce przed-normańskiej, że „Polanie i Drewlanie, Siewierzanie i Radimiczanie, Wiatyczanie i Dulę­bowie żyli w pokoju”. Akurat chodzi o te same plemiona, które wspólnie oparły się najazdowi Awarów, jedne — jak Dulębowie

* ulegając przemocy, inne ratując się przed podbojem. „Byli sojusznikami”, „żyli w pokoju” między sobą, walczyli razem, gdy napadał wróg. Szczupłe to świadectwo, ale dostatecznie wy­mowne. a Kijów, jak zgodnie stwierdzają wszystkie źródła, był ludnym i bogatym miastem już w drugiej połowie X-go wieku. Czy to nie zbyt szybki wzrost, jak na stolicę kraju, który ledwie sto lat temu miał być pozbawiony wszelkiej organizacji? Histo­ria nie zna podobnych fenomenów, więc „skrzypki Ingresa” protestują cienkim głosem.

**IV**

Kilkakrotnie wspomniałem o Dulębach. Na mapie, którą prof. Stroński załączył do swojej recenzji z książki prof. Pasz­kiewicza w „Wiadomościach”, daremnie szukałem tych Dulę­bów, z których żonami i córkami brzydko pohulali przed tysiącem i czterystu laty zwycięscy Awarowie. Między Wieprzem i Styrem mieszkają Bużanie, ku południowi Chorwaci (Czerwoni Chrobaci), za Słuczem ku Dnieprowi — Drewlanie. Naiwna Derewla, której wodzów podstępna Pskowianka, Olga, usmażyła w łaźni. Dulębów nie ma. z tymi nazwami w ogóle jest spory mętlik, tym bardziej, że niektóre z nich nie mogą usiedzieć na miejscu i ciągle wędrują. Wygląda na to, że jakieś odłamki Dulębów wzięły udział w bałkańskiej inwazji, dokonanej przez Antów. Może Dulębowie to właśnie Bużanie i Chorwaci? Ale tych prof. Paszkiewicz zalicza do Słowian Zachodnich, konkretnie do Lachów. Jedno wiadomo na pewno: Dulębowie mieszkali na Bugu i mieli ścisłe stosunki z innymi plemionami wschodnio- słowiańskimi, a zwłaszcza z Uliczanami i Tiwercami, siedzący­mi nad Dniestrem aż do Dunaju. Ponadto kronikarz mówi naj­ wyraźniej: Dulębowie przebywali tam „.gdzie dzisiaj (to zna­**czy** współcześnie kronikarzowi) Wołynianie”. Jeżeli, jak twier­dzi prof. Paszkiewicz, granice osadnictwa wschodnio-słowiańskiego stanowiły rzeki: Bug, Horyń ze Słuczem, lub Styr, w ta­kim razie nie tylko Dulębowie (Bużanie? Chorwaci?), ale rów­nież Uliczanie i Tiwercy nie należeli do Słowian Wschodnich, wbrew wyraźnym informacjom Kroniki kijowskiej.

Jednakże Nestor mówi nie mniej wyraźnie: „Ide Wołodymyr k Łacham i zaja’ horody ich Peremyszl, Czerwień i inne horody, iże sut’ i do seho dnia pod Rusju”. Czerwień dawno umiejscowiono nad Huczwą koło Hrubieszowa. Jeżeli ów Pere­myszl odpowiada dzisiejszemu Przemyślowi nad Sanem — to pół biedy; jeżeli, jak sądzą niektórzy badacze, odpowiada Peremylowi nad Styrem, sprawa komplikuje się. Ale co znaczy to „Ide k Łacham”? Do kraju czy do państwa Lachów? Wyjaś­nienie tej wątpliwości ułatwiłoby załatwienie sporu o charak­terze etnicznym Ziemi Czerwieńskiej za pierwszych Piastów. Przy okazji inne pytanie: dlaczego według tradycji historyczne; Bolesław Chrobry „bił żelazne słupy” na Bugu, zamiast na Styrze czy Słuczu? To również ma swoje znaczenie.

Prof. Paszkiewicz przeprowadza tezę, że nie tylko Ziemia Czerwieńska ale i zachodni Wołyń należały pierwotnie do pol­skiego obszaru etnicznego, który skurczył się następnie na sku­tek podboju politycznego, a przede wszystkim w konsekwencji przynależności kościelnej do Metropolii Kijowskiej. Co jednak począć z wiadomościami o Dulębach, którzy włażą niesfornym klinem w harmonijną całość? Przejść nad tym do porządku dziennego nie można, bo kronikarz zbyt często do Dulębów' po­wraca. Jakby się uparł! Chyba, że znajdą się dowody, że wy wę­drowali w całości na Bałkany. Takich dowodów nie znam.

Zagadnienie jest trudne, bo natychmiast kładzie się na na­szych rozważaniach cień konfliktu polsko-ukraińskiego, jak gdy­by od słuszności lub niesłuszności tez profesora Paszkiewicza zależały przyszłe losy Lewandówki. i Zamarstynowa. Wyda je się jednak, że prasa polska zbyt pochopnie podchwyciła to twier­dzenie, traktując sprawę jako załatwioną definitywnie (Stroński, Sopicki). Paweł Hostowiec w „Kulturze” dyplomatycznie ją przemilczał. Już tam historycy ukraińscy na pewno zataczają ciężkie działa i szykują prochy i kule, by przyjść zagrożonym pozycjom z walną odsieczą.

**V**

Sporo uwagi poświęca prof. Paszkiewicz zasięgowi teryto­rialnemu nazwy Ruś. Wynika z tych rozważań, że ograniczał się on początkowo do Rusi naddnieprzańskiej: Kijowa, Perejasławia, Czernihowa, zaś w znaczeniu ogólnym nazwa ta wystę­puje wyłącznie w odniesieniu do obrządku religijnego. Tak było aż do połowy wieku XIIl-go, czyli do napadu Mongołów.

Ścisłej granicy w czasie nie przeprowadzimy. Piotr Wielki zmienił nazwę państwa jednym pociągnięciem pióra; w średnio­wieczu piór do takich robótek nie używano. Proces rozszerzania się nazwy Ruś na cały kraj był niewątpliwie stopniowy i powol­ny; tytułem analogii przypomnijmy, ile czasu dla swego usta­lenia się potrzebowała nazwa Ukrainy. Jeżeli przy końcu wieku XIII-go Rusią w odczuciu ogólnym jest już Nowogród i Suzdalszczyzna, należy założyć, że sporadycznie czyniono tam to samo znacznie wcześniej. Czyli, że granica czasu, proponowana przez profesora Paszkiewicza, budzi poważne wątpliwości. „Sło­wo o pułku Ihora” powstało najpóźniej w roku 1187-ym, a właśnie w jego tekście zjawia się określenie „Ruś” w znacze­niu ogólnym. Ale tu właśnie sęk i to dziurawy! Bo autor „The Origin of Russia”, idąc za francuskim uczonym André Mazonem, uważa „Słowo” za nieautentyczne. Bezapelacyjnie! Pas­tiche, apokryf, falsyfikat. Jedyny niewygodny świadek uległ cał­kowitej kompromitacji.

Tu „skrzypce Ingrcsa” zaczynają grać nieco głośniej. Sta­ją się śmielsze. w tej sprawie głos ma prawo zabrać nie tylko historyk i filolog, ale również liryczny poeta. Spór o „Słowo” toczy się już od półtorawiecza. Zastrzeżenia wysunięto natych­miast po znalezieniu manuskryptu, który następnie spalił się, przez hrabiego Musina-Puszkina (1795). Wówczas jego wielki imiennik, ale nie krewny, Aleksander Puszkin, wystąpił w obro­nie autentyczności „Słowa”, twierdząc, że w wieku XVIII-ym nie było w Rosji człowieka, który mógłby taki falsyfikat spo­rządzić. Argument ten i po stu przeszło latach gra z równą siłą.

Zważmy. Autor podobnego apokryfu musiałby nie tylko świetnie orientować się w historii i stosunkach XII-go stulecia, o co znów nie tak trudno; nie tylko musiałby znać dobrze mito­logię irańską i tiurską, od której ech w poemacie aż się roi, ale przede wszystkim — i to najważniejsze — musiałby posia­dać talent poetycki na wielką miarę. Mamy do czynienia nie tylko z wysokim poziomem artystycznym, ale I z wielką świeżo­ścią i bezpośredniością odczuwania poetyckiego. Do tego do­chodzi tak niewątpliwa szczerość diatryb politycznych, że staje się nie do wiary, aby mógł je napisać ktoś po wielu stuleciach. Ten *ktoś* musiałby być mistyfikatorem prawdziwie genialnym. Któż więc? Na pewno nie stary Dierżawin, ani żaden ze współ­czesnych mu literatów, bo zaprzeczy temu najbardziej nawet po­wierzchowna analiza. Prof. Mazon był na byle nieostrożny, że, poszukując na gwałt kandydata na autora, wskazał na samego odkrywcę, Musina-Puszkina, i na poczciwego autora Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Moskwie, BantyszKamieńskiego, co brzmi zupełnie niepoważnie. Nie wiem, czy prof. Paszkiewicz uwzględnił w swoim dziele polemikę Jakobsona z Mazonem, która ukazała się niedawno w Stanach Zjed­noczonych. w świetle argumentów Jakobsona teza francuskiego uczonego wypadła raczej nieszczęśliwie. Apokryfy nie miewają długiego życia. Ałbo autor ujawni się sam, albo go przyaresztuje krytyka literacko-filologiczna. Tak było z „Pieśniami Osjana” i „Kraledworskim rękopisem”. Żaden Sherlock Holmes nie jest w stanie aresztować autora „Słowa”. Prowadzić śledztwo na dworze kijowskim przy końcu XIII-go wieku trochę za trudno.

Powtórzmy jeszcze raz to, co wiadomo od dawna: apokryf „Słowa” mógłby powstać tylko pod piórem bardzo wybitnego, jeśli nie genialnego poety. Osobiście uważam, że nie dokonałby tego żaden poeta osiemnastowieczny, zatem klasycyzujący, choć­by na największą miarę. Jakiś rozmiłowany w średniowieczu ro­mantyk — prędzej. Ale jesteśmy przecież w roku 1795, a wtedy o romantyzmie nikomu w Rosji się nie śniło.

Z interesującą hipotezą wystąpił ostatnio Siergiej Tarasów, w emigracyjnym „Nowym Żurnale” (XXXIX, 1954). Zwrócił on uwagę na faworyta („miłostnik”) kijowskiego księcia, Swiatosława Wsicwołodowicza, imieniem Koczkar. Dlaczego właśnie na niego? Był on prawą ręką Swiatosława, ulubieńcem i głów­nym doradcą w ambitnych planach zjednoczenia całej Rusi i wzmocnienia powagi wielkoksiążęcego „stolca” Swiatosław przedstawiony jest w poemacie w niezwykle pochlebnych bar­wach, na pewno ponad miarę, podobnie jak książęta Wsiesław i Izjasław, ojciec i brat żony Swiatosława, Marii Wasylkówny. Jeśli więc hipoteza Tarasowa jest słuszna, poeta był dworakiem, składający należne hołdy swemu władcy i jego rodzinie.

W poemacie zadziwia ilość elementów pogańskich, oraz słów tiurskiego pochodzenia. Dodać trzeba, że poza książętami inne osoby rozpływają się w bezimienności, z jednym charakte­rystycznym wyjątkiem. Chodzi o ochrzczonego Połowca Owłura, do którego autor nie tai swojej sympatii. Kronika nie podaje chrzestnego imienia Koczkara, choć niewątpliwie był chrześci­janinem. Koczkar — to imię tiurskie. Doradca księcia Swiato­sława pochodził zapewne z któregoś z tiurskich plemion, jak Torkowie, Brendeje, Kowuje czy Moguty, osiedlonych w Kijowszczyżnie i Czernihowszczyźnie pod ogólną nazwą Czarnych Kłobuków. Właśnie pochwałę tych plemion wygłasza autor „Słowa”, którego właściwości językowe wskazują poza tym na czernihowskie pochodzenie. Czarne Kłobuki reprezentowali po­ważną siłę zbrojną I w trudnych chwilach zachowywali się wo­bec książąt ruskich lojalniej niż sienkiewiczowscy Lipkowie wo­bec Rzeczypospolitej, z łasym na Basine wdzięki Azyą na czele.

Przypuszczenie jest tylko przypuszczeniem, ale przyznać trzeba, że do Koczkara autorstwo „Słowa” pasuje jak ulał. Ży­wiołowe odczucie przyrody stepowej, które musiało być silniejsze u syna koczowników, niż u jakiegoś mnicha, skrobiącego pió­rem w klasztorze, czy w ogóle mieszkańca grodu; pomieszanie elementów chrześcijańskich z pogańskimi, z przewagą tych os­tatnich, co nie powinno dziwić u neofity; znajomość termino­logii tiurskiej; przywiązanie do księcia, który wyniósł go, bądź co bądź obcego, do godności swego doradcy — wszystko to znajdujemy w „Słowie”. Sam Tarasów przyznaje, że to luźna supozycja, ale Koczkar na pewno lepiej wygląda w roli autora „Słowa”, niż lansowany przez Mazona carski urzędnik, Bantysz-Kamienskij. Na bezrybiu i Bantysz ryba...

Skoro mówimy o Koczkarze i jego tiurskim pochodzeniu, warto przyjrzeć się pod światło jeszcze jednej białej... no, po­wiedzmy — szarej plamie na mapie historycznej. Nikt dotąd nie zabrał się na serio do wszechstronnego wyświetlenia przemian etnicznych, spowodowanych przez mieszanie się Słowian połud­niowo-wschodnich z ludami irańskimi, a później tiurskimi. Cho­ciażby wspomniane Czarne Kłobuki, z ich wszelkimi odgałęzie­niami. Mogutowie, Tatrany, Szełbiry, Topczakowie, Rewugi, Olberowie i ilu ich jeszcze było. Historii powstania i rozwoju Kozaczyzny nie podobna napisać bez wyjaśnienia ich roli. Cóż dopiero, gdy ze stepu ukraińskiego zboczymy ku wschodowi i, przepłynąwszy przez Bagna Meockie, zajrzymy na Północny Kaukaz! Ale to już osobny temat, o którym może przy innej sposobności.

**VI**

Skończyliśmy naszą krótką wycieczkę w głąb Czarnego Lądu historii. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem szereg nietak­tów, a ten największy, że wypowiadam wątpliwości w związku z książką, której nie czytałem. Recenzenci mogli nie wszystko wiernie przedstawić, choć konfrontacja jednych z drugimi wy­pada bez zarzutu. Mogli to i owo pominąć — a i nuż właśnie w tym, co pominęli, zawarta jest wyczerpująca odpowiedź\* na wysunięte wątpliwości? a ponadto wyglądam trochę na uzur­patora, boć tytułu do zabierania głosu — tytułu utrwalonego na urzędowym papierze — żadnego. No, cóż... Ingres też, zdaje się, konserwatorium nie kończył... Przeprosiwszy zatem kogo należy, za nadmierną odwagę, wieszam moje rękodzielne skrzypeczki na ścianie i wracam do malowania. Piórem, oczywista.

*Józef ŁOBODOWSKI*

Dumaine: plotki i polonica

Pamiętniki niedawno zmarłego ambasadora Jacques Dumaine (Quai *d’Orsay,* 1945-1951, Juillard, 1955) porównała krytyka francuska do Saint Simona i do La Rochefoucauld. Nic w tym może specjalnie dziwnego, gdyż pewien odłam wykształconej francuskiej burżuazji od szkolnych lat stawia sobie za wzór tych dwóch pisarzy. u Dumainea odnajdujemy n:e tyle talent, co snobizm, złośliwość i plotkarstwo Saint Simona, a stara się on zamaskować je siląc się od czasu do czasu na aforyzmy, w których zado­wolenie z siebie przemyca jako rezygnację w stylu La Rochefoucauld. Książka ta jest ciekawym dokumentem społecznym. Warto by zacytować wieczór w ambasadzie brytyjskiej, wydany przez Duff Cooperów dla Bevma i jego żony. Atmosfera porozumienia ludzi należących do tej samej kasty kosztem „robociarza”, mrugnięcia okiem i półuśmiechy wymieniane przez Lady Diane i Dumaine’a ściśle określające granice zachodniej „demokracji\* w konkretnym pożyciu między ludźmi. Poczciwy Dumaine w sposób prosty i bezpośredni umie pisać tylko o ludziach z własnego środowiska. Nawet o prezydencie Auriol (którego rzekomo bardzo szanuje) nie potrafi pisać inaczej jak „ce brave Auriol ”. Jego szacunek polega właściwie na stałym zdziwieniu, że prosty człowiek z Tuluzy ma „une distinction naturelle ”, i że stosunkowo mało robi gaff. Ale jak ryba w wodzie czuje się Dumaine ze starą Bibesco i innymi intelektualnymi babusami. Frywolność (mimowolna) tych pamiętników jest zadziwiająca. z lat formacji Czwartej Republiki pozostają w głowie tego ambasadora tylko światowe ploteczki i czwartorzędne „incydenty”. Czasami incydenty te mają swoją wagę i wymowę — jak próżność De Gaulle'a, który odmawia pojawienia się przed parlamentem jeśli nie zostaną mu oddane specjalne honory (których nie przewiduje proto­kół). Albo anegdoty — jak powiedzenie Malraux że zbawić Francję mogło­by zabójstwo De Gaulle’a. Poloniców w tej książce nie wiele. Po zamachu stanu w Pradze przeciwstawia Dumaine Czechów Polakom, którzy są „prze­chwalający się, bezładni, prowokatorscy, ale zawsze patrioci”. Ciekawsze są konkretne fakty. o aresztowaniu francuskich agentów konsularnych w Polsce pisze Dumaine: „Incydent który zaszedł w stosunkach polsko- francuskich wykazuje daremność naszych prób penetracji do krajów poza że­lazną kurtyną. Trzeba by ograniczyć się do związków kulturalnych, to zna­czy do nauczania języka francuskiego... Nasza organizacja D.E.C.E. chciałaby być na wysokości Intelligence Service i amerykańskich biur „Psycholo­gica! Warfare”. Ale, aby zacząć robotę za żelazną kurtyną, oparła się ona o nasze ambasady i konsulaty, które w ten sposób są skompromitowane za każdym incydentem. Poza tym, na mocy praw wzajemności, jesteśmy w ten sposób zmuszeni do pozostawienia pewnej swobody działania szpiegostwu pol­skiemu, czeskiemu i sowieckiemu we Francji, o wiele bardziej groźnemu, gdyż korzystającemu z pomocy emigrantów I z piątej kolumny naszej partii komunistycznej. Oto już dwa lata jak staram się aby Francja zażądała redukcji personelu konsulatów polskich, co oczywiście musiałoby być od­wzajemnione redukcją naszego personelu w Polsce. Odpowiada mi się zawsze z tajemniczą miną że sprawa jest niemożliwa do załatwienia”.

*A oto,* 25 *grudnia* 1949, *sprawa bomby* pod *ambasadą polską u> Pa­ryżu:*

„Dziś rano o szóstej wybuchła bomba przed polską ambasadą. Usły­szałem wybuch, ale nie wywołał on u mnie żadnych podejrzeń. Później po­szedłem wyrazić moje oficjalne współczucie ambasadorowi (Putramentowi), który przyjął mnie spokojnie i miło; był najwidoczniej zadowolony że naprężone stosunki pomiędzy naszymi krajami nie pozbawiają go należnego mu ceremoniału i grzeczności. Putrament, poeta i dyplomata, należy do tych ludzi którzy się duszą za żelazną kurtyną. Ponieważ należy on do partii socjalistycznej, ma on mało wpływu na rząd komunistyczny. Jego położenie nie pozwala mu ani na szczerość w stosunku do nas, ani na wpływy w War­szawie. Zamach dokonany tego rana posłuży mu iako argument i pozwoli na podkreślenie swemu ministrowi niebezpieczeństw i złych stron misji we Francji. Tak że oddałem wizytę człowiekowi któremu spadł ciężar z serca, a wcale nie oburzonemu”.

1. *styczeń* 1950:

„Stosunki polsko-francuskie nie ulegają poprawie. Po bitwie na szable przyszła bitwa na koziki. Rząd polski podkreśla naszą odpowiedzialność w za­machu i nie przyjmuje argumentów ambasadora, który niedawno bardzo umiarkowanym tonem przemawiał do dziennikarzy: przeciwnie udziela mu za to nagany. Na Quai d’Orsay postanowiono zbyć tę sprawę milczeniem. Ale komunikat francuskiej agencji prasowej, ogłoszony w „Le Monde” stwierdza, że mówiąc ze mną Putrament oświadczył iż rząd francuski nie jest w niczym odpowiedzialny... Kompromituje to Putramenta, który ze swej strony musi oskarżać mnie o podwójną grę i fałsz. (Po konsultacji z sekretarzem generalnym)...zredagowano zaprzeczenie, które ukazało się w dziennikach wieczornych i które zaniosłem Putramentowi. Putrament, zżarty bezsennością i strachem, wysłuchał mnie grzecznie I z przygnębie­niem. Ale kiedy się dowiedział o zaprzeczeniu, wzrok jego ożywił się: „Uniknęliśmy katastrofy; stosunki francusko-polskie wyjdą zwycięsko z tej burzy; niech prędko powrócą do tego czym były dawniej”. Chciałem zmniej­szyć jego optymizm, mówiąc, że stosunki te są mocno nadwerężone, że po­trzebują wielu leków. „Ależ Pan mi tu przynosi penicylinę”, zakrzyknął Putrament któremu przybyło sił. Poczciwy chłopak czuł się zgubiony wiado­mościami, które ukazały się w prasie i miał uczucie topielca. Skoro miał już dla siebie alibi, wyobraził sobie, że wszystko się wyjaśniło. Nie po­dzielam jego polskiego optymizmu, ale cieszę się, że nie wyglądam już w jego oczach na nielojalnego rozmówcę”.

1. ***lipca* 1950 — *uwagi wojnie koreańskiej:***

„Znalazłem niespodziewany refleks u polskiego ambasadora, któremu ostrożnie mówiłem o sytuacji. P. Putrament nie chce się przyznać do jakiego stopnia obawia się Sowietów, ale jego strach jest widoczny i wprost poci się. Kiedy wyraziłem mój niepokój wobec przedłużającej się kampanii koreań­skiej i obawę przed jej komplikacjami, Putrament mi odpowiedział: „Niech się Pan nie łudzi. Krótka zwycięska kampania Amerykanów zmusiłaby na­tychmiast Sowiety do nowej dywersji gdzie indziej. Prawdopodobnie w Eu­ropie. Myślę, że będą się trzymać spokojnie, póki wypadki będą zlokalizo­wane na Dalekim Wschodzie”. Czy polski ambasador chciał w ten sposób uśpić nasze obawy, czy też dawał nam ciche ostrzeżenie?”

(/•)

Jean Guitton: “L’huile de la lampe”

Narody są jak dusze rozszerzone, porozumiewają się najlepiej drogą miłosierdzia. Pomiędzy Polską a Francją istnieje dużo zbieżności, a więzy miłości, które w tajemniczy sposób połączyły te kraje, więzy, których do­tąd nie znałem, odsłoniła mi piękna książka Marii Czapskiej. Tym bardziej wzruszyłem się tym jako dawny uczeń i wyznawca nieznanego Lazarysty, syna św. Wincentego à Paulo, owego,.Monsieur Pouget”, którego *Portret* ongiś skreśliłem ([[3]](#footnote-3) [[4]](#footnote-4)).

Maria Ludwika Gonzaga, królowa Polski, była „panią Miłosierdzia w duchu św. Wincentego, ona to zapragnęła wprowadzić do Polski coś z atmosfery tego świętego. Ojciec Wincenty wysłał więc do Polski pierw­szą misję: trzy zakonnice, które giną od zarazy. Uporczywy, zastępuje te pierwsze innymi.

„W obliczu nadzwyczajnych klęsk miłosierdzie musi wzrastać na ich miarę”.

Książka Marii Czapskiej przedstawia nam skutki tego aktu miłości, skutki ilustrujące prawo w porządku duchowym, które chce by czyny na­tchnione miłosierdziem stanowiły tajemną więź pomiędzy duszami, więź łą­czącą dzieło z życiem i narody pomiędzy sobą, na ile te narody stanowią jedno ciało w Chrystusie.

Spodziewamy się, wspólnie z Marią Czapską, że nie zabraknie nigdy opieki i opiekunów dla Zakładu Św. Kazimierza radicatus in tanta caritate.

*Jean GUITTON.*

Listy do Redakcji

Drogi redaktorze,

W ramach akcji przeciwko wpływom niektórych emigracyjnych pisarzy jaką prowadzi się obecnie w Polsce, prasa tamtejsza rozpowszechnia o mo­jej osobie rozmaite wersje. Nie uważałem za stosowne bawić się w śmieszne w tych warunkach sprostowania. Jednak moje milczenie staje się dla dzien­nikarzy warszawskich nowym argumentem, poza tym wielu młodych nie zna dawnych spraw. z niechęcią więc wybieram kilka wersji.

1. Że ukradłem pieniądze, bo odszedłem po pierwszym. w trosce o fi­nanse Polski Ludowej doradziłbym zbadać co się stało z moją ostatnią pensją, której nie tknąłem odchodząc 1 lutego 1951 roku oraz z honorariami autorskimi w ZAIKS'ie.

Korzystam ze sposobności, żeby zapytać co się stało z moimi książkami, skonfiskowanymi przez ambasadę w Waszyngtonie. Byłe tego ponad 600 tomów, głównie z zakresu literatury amerykańskiej, nie tylko, również białe kruki, jak „Hamlet’’ z komentarzem Matlakowskiego. Chciałbym żeby po­służyły jakiemuś zakładowi naukowemu a nie pająkom.

1. Że posiadałem za okupacji niemieckiej paszport litewski. Należy przypomnieć, że miasto Wilno i okolice zostały włączone do Litwy w po­czątku wojny. Kiedy wydawano tam na wiosnę 1940 roku mieszkańcom nowe paszporty, w rubryce „narodowość” miałem wpisane „Polak”. Póź­niej w Warszawie zachowałem litewskie papiery na prośbę „szefa” który wtedy zajmował się przekazywaniem mikrofilmów do Londynu a dziś jest w PZPR. Nie użyłem jednak dokumentu wobec Niemców ani razu i me potrafiłbym powiedzieć czy usprawiedliwiona była legenda jakoby chronił on w łapankach. We wrześniu 1944 wydostałem się z obozu na Okęciu wy­łącznie dzięki pomocy zakonnic zorganizowanej przez małżeństwo Okulicz ukrywające się w składzie nasion Hozera, wdzięczność przechowuję do dziś.
2. Że opisywałem Polskę komunistyczną żeby wkupić się w łaski Ame­rykanów. Jak wkupywałem się, wiedzą czytelnicy „Kultury”. Wiedzą też Polacy którzy składali na mnie donosy do ambasady amerykańskiej załącza­jąc moje artykuły na dowód że jestem bolszewikiem.
3. Że moja książka „Zniewolony Umysł” była zrzucana przy pomocy baloników. Nic mi nie wiadomo, żeby spotkało to jakąkolwiek z moich książek. Mogłaby to zrobić tylko Free Europe ale wtedy zwróciłaby się do polskiego wydawcy to jest „Kultury” o zgodę na specjalne wydanie, co nigdy nie nastąpiło.
4. Że „oni” mnie wydają i płacą. Jacy „oni”? Moje książki ukazują się u prywatnych wydawców a nie słyszałem żeby literat żyjący ze swego pióra popełniał przez to przestępstwo.
5. Że popchnął mnie do zerwania strach przed wojną. Czyżby z tego wynikało, że opuścić Stany Zjednoczone w okresie wojny koreańskiej i przy­jechać do Warszawy było z mojej strony aktem odwagi?

*Czeslaw MIŁOSZ*

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec rozgłosu jaki tej sprawie nadał artykuł p. Mieroszewskiego w styczniowej „Kulturze” pragnę wyjaśnić, iż rezolucja potępiająca inicja­tywę,.Kultury” jako „niebezpieczną choć *może* nieświadomą próbę dywersji w szeregach polskiej emigracji” — powzięta została nie przez Syndykat Dziennikarzy Polskich we Francji, a przez *Zarząd* Syndykatu.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Z. *MICHAŁOWSKI*

***\****

Knutange, 29. 12. 1955. Szanowny Panie Redaktorze,

Od kilku lat czytam i abonuję miesięcznik „Kultura”. Po ostatnim wystąpieniu Panów do czynników komunistycznych z propozycją dyskusji, uważam za konieczne wymówić prenumeratę, aby nie robić wrażenia, że czytelnicy aprobują szkodliwe dla Polski posunięcia Zespołu „Kultury”.

Łączę wyrazy poważania.

*J. MASZCZYK*

***\****

Londyn, 8. I. 1956. Drogi Panie Redaktorze!

Słuszny jest list inż. Jana Rakowicza z Lester o artykule dra Girniusa (patrz nr 10 i 12 „Kultury”), ale jeżeli się mówi „wspólność religii”, to trzeba pamiętać, że Wielkie Księstwo Litewskie uznawało sześć religii, co wybitnie przyczyniło się do tolerancji w całej Rzeczypospolitej.

Oczywiście, że większość Litwinów i Polaków jest wyznania rzymsko­katolickiego, ale inż. Rakowicz, czytając w „Kulturze” zajmującą „Dolinę Issy” Czesława Miłosza, mógł sobie uprzytomnić tak pięknie ujętą w niej „Jednotę Litewską”.

Te braterskie zrzeszenie, tzw. „Kalwinów” istnieje i dotychczas nie- tylko w uczuciach pokrewieństwa ale I w fakcie wyboru w roku 1936 oby­watela Republiki Litewskiej, księdza Konstantego Kurnatowskiego, profe­sora Uniwersytetu w Kownie, superintendentem Konsystorza Ewangelicko- Reformowanego Wileńskiego.

Synod zaś Litewskiego Kościoła Ew.-Reform. na uchodźstwie w Chi­cago wybrał w roku 1954, księdza profesora K. Kurnatowskiego, generalnym superintendentem Kościoła Ew.-Reform. Republiki Litewskiej z pozostawie­niem superintendentem Polskiego Konsystorza w Wilnie.

Więc te przykłady braterstwa polsko-litewskiego mniejszości religijnej jeszcze bardziej podkreślają tezę autorów.

*Inż. Edward RAYSKI* Toronto (Kanada), 20. 12. 1955.

***\****

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Michał Sokolnicki w liście do Redakcji zamieszczonym w grudtiiowym numerze „Kultury’\* (12/98) pokwitował tezę dr. Girniusa o złamania Umowy Suwalskiej zdaniem:,.Oczywiście strona polska wie, że niewy­pełnienie Umowy Suwalskiej wyżłobiło ciężką urazę”...

Prof. Władysław Wielhorski w swej pracy „Polska a Litwa — Sto­sunki Wzajemne w Biegu Dziejów”, The Polish Research Centre, Londyn 1947 na str. 347-349 pisze:

„... rokowania o zawieszenie brom z Litwinami I o ustalenie warun­ków rozejmu, przerwane zostały w Kalwarii 18 września 1920 roku. Rozpo­częły się one 30 września 1920 roku na nowo w Suwałkach, na propozycję polską. Po tygodniowych naradach, 7. 10. 1920 r. strony doszły do spisa­nia warunków częściowego i lokalnego zawieszenia broni. Konwencja Su­walska z 7. 10. 1920 r. została, dzięki usilnej i wytrwałej propagandzie litewskiej, przedstawiona światu, jako polityczny traktat pokojowy między dwoma państwami, zerwany nazajutrz po podpisaniu go przez Polaków.' Po dwudziestu latach autosugestii w tym kierunku, społeczeństwo litewskie zdaje się, już nawet szczerze uwierzyło w powyższą wersję. Najważniejszą oko­licznością przy upowszechnianiu tego mitu pozostawał fakt, że treść umowy Suwalskiej, o której bezustannie wiele pisano i mówiono w Litwie, prawie nikomu znaną nie jest. Logiczny i gramatyczny sens tekstu — zastąpiła le­genda. z podziwu godnym uporem i konsekwencją była ona upowszechnia­na. Okoliczność powyższa każę poświęcić nieco uwasi temu dokume. 'owi. Mówi on sam za siebie. Nazwa umowy brzmi po polsku po prostu; „Umo­wa” a nie „Traktat”. w tłumaczeniu francuskim „Convention” a nie „Traité”. Mamy pod ręką tłumaczenie francuskie tej umowy. Oto najważ­niejsze jej przepisy:

Art. I-szy. „Ustanowiona zosbaje pomiędzy wojskiem polskim a litewskim linia demarkacyjna, która nie przesądza wcale praw terytorialnych z uma­wiających się stTon”. Następuje dalej opis tej linii. Biegnie ona na terenie Wileńszczyzny z zachodu na wschód, od stacji kolejowej Orany do stacji kolejowej Bastuny. (Uwaga autora: Stacja Bastuny leży wprost na południe od Wilna, w odległości powietrznej około 68 km.) Artykuł głosi dalej, że linia demarkacyjna nie może być przekraczana przez wojska obu stron.

Art. Il-gi. „W celu potwierdzenia i wykonania czasowego i częścio wego zaprzestania działań wojennych pomiędzy wojskami polskimi i litew­skimi... układające się strony zobowiązują się do zaprzestania działań wo­jennych pomiędzy obu wojskami na całej długości linii demarkacyjnej od granicy Prus Wschodnich do południa, który przechodzi przez wioskę Poturze, położoną mniej więcej o 9 km. na północny-zachód od Ejszyszek”. Pomiędzy południkiem wsi Poturze a stacją Bastuny „zaprzestanie działań wojennych pomiędzy wojskami polskimi a litewskimi nastąpi natychmiast, gdy wojska sowieckie wycofane zostaną na wschód od toru kolei żelaznej Lida-Wilno". Art. 11-gi postanawia wreszcie, że dla wstrzymania walk po­między wojskami polskimi a litewskim na wschód od stacji Bastuny — zbierze się specjalna konferencja po usunięciu stamtąd wojsk sowieckich. Jeżeli porozumienia na niej nie osiągnie się, to strony zwrócą się do Ligi Narodów.

Art. Ill-ci umowy decyduje drobne zagadnienia użytkowania przez wojska obu stron stacji kolejowej Orany. Art. IV przyrzeka „w zasadzie przystąpić do wymiany jeńców pomiędzy stronami. Sprawa ta ma się osta­tecznie zdecydować później. Art. V i ostatni, postanawia, że umowa wchodzi w silę 10 października 1920 roku w południe i „pozostaje w mocy do chwili ostatecznego uregulowania sporów terytorialnych pomiędzy Polską a Litwą”. Dalej czytamy wzmianki o mapie, na podstawie której umowę zawierano oraz wypowiedź, że oryginały są spisane po polsku i po litewsku. Oto wszystko. Ze strony polskiej rokowaniom przewodniczył i umowę pod­pisał J. Lukasiewicz (późniejszy ambasador w Moskwie i Paryżu), oraz pułk. M. Mackiewicz.

Powyższe porozumienie posiada więc charakter czysto wojskowy. Jest umową incydentalną, ograniczoną ściśle w czasie i przestrzeni. Załatwia sprawę cząstkowego zawieszenia broni na określonych odcinkach frontu. Pośrednio przewiduje zatem nawet dalsze walki zbrojne polsko-litewskie na wschodnim odcinku frontu, które trwać tam mogą aż do chwili odsunięcia wojsk sowieckich poza ten teren, względnie do zakończenia prac specjalnej Konferencji. Art. I-szy zastrzega wyraźnie, że linia demarkacyjna nie prze­sądza w niczym praw terytorialnych stron. Rozgranicza ona jedynie obszary dyzlokacji dwu wojsk pozostających z sobą podówczas w styczności bojo­wej. Umowa wschodzi w życie w trzy dni po jej podpisaniu: 10. 10. 1920 roku w południe.

Gdyby generał L. Żeligowski działał podówczas nawet nie w imieniu ludności wileńszczyzny, lecz jawnie w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, to mógłby z równym skutkiem prawnym — gdy chodzi o powyższą umowę — operacje swoje rozpocząć i prowadzić, wychodząc, ze stacji Bastuny. 1 to aie tylko z tego powodu, że w dniu 8 października, gdy się akcja generała Żeligowskiego rozpoczęła, Umowa Suwalska w ogóle jeszcze nie obowiązy­wała stron, lecz i dlatego, że działania te wyszły z odcinka frontu, nie objętego umową o zawieszeniu broni w Suwałkach, gdzie operacje wojsko­we obu stron me były krępowane, co wyraźnie tekst umowy zaznacza, \* nawet przewiduje je niejako, stwierdzając, że zatrzymane zostaną dopiero przez „Specjalną Konferencję”, po odejściu z tego rejonu wojsk sowieckich. Konferencja taka w momencie, o który chodzi, zaprojektowaną jeszcze nie została.”

Dr Gimius pracę prof. Wielhorskiego z pewnością zna, niestety nie znamy jej my, czego dowodem wypowiedź ambasadora Sokolnickiego.

Pragnę dodać, że dla czytelnika zaznajomionego z chłodną i bezna­miętną rozprawą naukową prof. Wielhorskiego, artykuł dr. Girniusa nabiera całkiem innego wydźwięku, niż zamierzony przez autora.

Łączę wyrazy szacunku,

*Marian T. CHYLIŃSKI*

***\****

Spinkhill via Sheffield, 2. I. 56.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia przeczytałem z daleka dostojewszczyzną zalatujące samobiczowanie się Stanisława Mackiewicza w nu­merze 11/97 „Kultury”. Ten dokument, raczej dla psychoanalityka, niż ba­dacza „najnowszej historii Polski”, nie nadaje się oczywiście do polemiki. Jeden tylko jest problem, który Mackiewicz porusza mimochodem, nakazu­jący szersze omówienie, a mianowicie niezmiernie istotne zagadnienie komu­nikowania się emigracji z Krajem. Jeśli odrzucić słusznie przez opinię pu­bliczną na emigracji potępione metody Bergu, to pozostaje jedynie droga radiowa. Mackiewicz, zapominając, że jedynie w klimacie duchowym so­ wieckim obelga jest racją, a wyzwisko dowodem, potępia korzystanie z ob­cych radiostacji w czambuł, bez podania jakiegokolwiek cienia nawet argu­mentu.

Jak swego czasu pisałem o tym na łamach „Życia”, sprawa jest bardzo prosta. Niewątpliwie, najlepiej by było, gdyby emigracja mogła mieć do swej pełnej dyspozycji jakąś radiostację odpowiedniej mocy. Chociaż i to — jak świadczy smutne doświadczenie z podległą Rządowi Polskiemu w Londynie radiostacją czasu wojny — nie byłoby gwarancją właściwej informacji Kraju. Niestety jednak takiej radiostacji emigracja nie posiada I w najbliższej przyszłości na pewno posiadać nie będzie. Dwie są tylko więc możliwości: albo w ogóle zaniechać komunikowania się z Krajem, albo też korzystać z radiostacji obcych tak długo, jak długo nie stoi to w sprzeczności z polską racją stanu. Otóż nikt dotąd w całej polskiej prasie nio zarzucił żadnej z polskich ekip radiowych aby choć jedna z ich audycji była z punktu widzenia polskiego szkodliwa. Już to samo jest najlepszym dowodem, że na ich czele stoją ludzie właściwi, którym z punktu widzenia polskiego niczego zarzucić nie można, lecz raczej na odwrót — należy się wdzięczność. a tym samym zarzucać im, że są „organami dywersyjnymi i nieodpowiedzialnymi” może jedynie tak nieodpowiedzialny publicysta jak Stanisław Mackiewicz. Na czym bowiem polega jego zarzut? Oto, że w „momentach” gdy polityka Ameryki wobec Rosji „nabiera charakteru największej koegzystencji” ton „Wolnej Europy” i innych radiostacji „nie ulega żadnej zmianie”. Na miłość Boską, czyż pan Mackiewicz wyobraża sobie, że ilekroć Eisenhower uśmiechnie się do Chruszczowa, radiostacje polskie winny głosić „finis Poloniae” i wzywać Kraj, aby zaniechał wszek kiego oporu wewnętrznego i dobrowolnie dawał się rusyfikować i komunizować? Czyż właśnie taka zmiana tonu radiostacji, zależnie od chwilowej taktyki amerykańskiej, nie byłaby dowodem, że dana radiostacja pilnuje bardziej racji stanu amerykańskiej, niż polskiej?

Wydaje mi się, że ton zasadniczy polskiej akcji radiowej na Kraj powinien — niezależnie od fluktuacyj polityki Zachodu — podtrzymywać tego ducha opozycji wewnętrznej, o którym pisze „Neue Zuencher Zeitung” (str. 149 tego samego numeru „Kultury”). Unikając więc wszelkiego nawet pozoru wzywania do jakiejś akcji czynnej, czy organizacji podzielo­nej, które mogłyby wywołać niepotrzebne represje (a tego wszystkie polskie ekipy radiowe ściśle przestrzegają), zasadniczy ton propagandy musi na wszelkich polach (naukowym, religijnym, literackim, ideologicznym, społecz­nym, politycznym itp.) przeciwstawiać się tezom komunistycznym i tenden­cjom rusyfikacyjnym i tym samym dostarczać ludziom, a zwłaszcza młodzie­ży, w Kraju strawy duchowej i amunicji do wzmożenia oporu wewnętrzne­go. a że polityka Zachodu się wciąż zmienia? Cóż z tego? Wierzymy i wiemy, że konflikt Zachodu z Rosją nabrzmiewa nawet wbrew woli polity­ków i mas Zachodu, po prostu w wyniku nie dających się pogodzić sprzecz­ności ekspansji sowieckiej z podstawowymi założeniami życia i kultury Za­chodu. Kiedy ten konflikt wybuchnie w formie takiej, że wyzwolenie Pop ski stanie się możliwe, nie wiemy, ale jedno jest pewne: byłoby niepowe­towaną klęską, naprawdę końcem Polski, gdyby konflikt ten miał zastać Kraj doszczętnie zrusyfikowany i duchowo skomunizowany.

I właśnie dlatego z dwu możliwości: korzystania z radiostacji obcych w granicach polskiej racji stanu lub też zaniechania wszelkiej propagandy radiowej, aby się nie „strefnić”, to ostatnie wyjście byłoby więcej niż zbrodnią, bo głupotą.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

*Tadeusz FELSZTYN*

1. Kapistów łączy się zawsze, i słusznie, z Pankiewiczem. Ale jeżeli grupa ta wybrała Pankiewicza na swego nauczyciela w 1923 roku, to ***kołyska*** kapistów stała nie w pracowni Pankiewicza, który wówczas był jeszcze w Paryżu, ale w zadymionej kawiarni Esplanada, tuż przy ,.Gałce Musz­katułowej”. [↑](#footnote-ref-1)
2. Galerie Maguy (69, Fbg St.-Honoré). [↑](#footnote-ref-2)
3. Marie Czapska, ***L’Huile de la Lampe,*** préface de Robert Garric, Desclée de Brouwer, str. 124 i 4 nlb. [↑](#footnote-ref-3)
4. O pracach J. Guitton, dotyczących O. Pouget, patrz „Kultura”, Nr 93/94 1955 r. [↑](#footnote-ref-4)